

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/625

1999



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**W. STANISŁAWSKI: BAŁKANY ZACHODNIE:
PERSPEKTYWA WIELOLETNIEGO CHAOSU**

Z. KLONOWSKA: GRUDZIĄDZ

**E. NOWAKOWSKA: „NIE ZAŚNIEMY W PAN-ie!”
ROZMOWA Z PROF. MOSSAKOWSKIM**

SPIS RZECZY

Wojciech Stanisławski:	<i>Balkany zachodnie: perspektywa wieloletniego chaosu</i>	3
Zofia Klonowska:	<i>Grudziądz</i>	14
WIERSZE		
Mariusz Byliński:	<i>Mapa i pustynia. – Poniżej Akropolu</i>	35
Anna Frajlich-Zajac:	<i>Sonante</i>	37
Florian Śmieja:	<i>Niepamiętanie</i>	38
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Mirosław Matyja:	<i>Ekonomia równoległa w Europie Wschodniej</i>	39
WYWIADY „KULTURY”		
Ewa Nowakowska:	<i>Nie zaśniemy w PAN-ie!</i>	49
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Pokrótce, w antrakcie</i>	60
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	65
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	83
Andrzej Koraszewski:	<i>Finał Konkursu Pamięci Polsko-Zydowskiej w Płońsku</i>	94
SPRAWY I TROSKI		
Andrzej Koraszewski:	<i>Czy warto ratować spółdzielczość?</i> ..	97
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Synod Europejski i nowe tysiąclecie</i> ..	105
SĄSIEDZI		
Jerzy Giedroyc, Jan Nowak-Jeziorański:	<i>W odpowiedzi p. Andrzejowi Stelmachowskiemu</i>	112
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina przed wyborami prezydenta</i> ..	116
–	<i>Kronika białoruska</i>	121
CI, CO ODESZLI		
Jan Malicki:	<i>Paweł Czartoryski (1924-1999)</i> ...	122
NOTATKI REDAKTORA		
KSIAŻKI		
Leszek Szaruga:	<i>Język zmiany</i>	128
Halina Filipowicz:	<i>Czy Adam Czerniawski był kochankiem Stanisławy Przybyszewskiej?</i> ..	132
Andrzej Pasternak:	<i>Stosunki polsko-ukraińskie 1939-47</i> ..	137
Krzysztof Wolicki:	<i>Podsumowanie w antrakcie</i>	142
Marek Skwarnicki:	<i>„Wartości w sztuce w czasach zamętu”</i> ..	150
–	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ...	153
–	• <i>Komunikat o stypendiach</i>	155
–	• <i>Wydarzenia miesiąca</i>	156
Ewa Gierat:	<i>List do Redakcji</i>	158
–	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159

KULTURA

Balkany zachodnie

PARYŻ Październik/Octobre 1999

INSTYTUT



LITERACKI

KULTURA

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia pamięci Przyjaciela, Tadeusza Polanowskiego – poety i satyryka – w czwartą rocznicę Jego śmierci – Zbigniew Chudoba, Sztokholm – SEK 400,00	F. 283,00
Stanisław Ficowski, Warszawa	F. 700,00
Andrzej Kozłowski, Paryż – po raz 33-ci	F. 200,00
Bolesław T. Łaszewski, New York – po raz 29-ty – dol. 124,00	F. 760,00
Elżbieta i Janusz Majewscy, Wyomissing, PA (USA) – po raz 2-gi – dol. 70,00	F. 435,00
Longin E. Sztachañski, Seminola, FL (USA) – po raz 51-szy – dol. 20,00	F. 125,00
W 11-tą rocznicę śmierci Męża – Freda Loefflera i w 4-tą rocznicę śmierci Przyjaciółki Grażyny Włodkowskiej-Pawlak – Grace Loeffler, Milford, CT (USA) – dol. 250,00	F. 1.550,00
Z zapisu testamentowego Mai Prądzyńskiej, zmarłej w Kanadzie 27 kwietnia 1997, dodatkowy dar na Fundusz „Kultura” (vide <i>Kultura</i> nr kwietniowy 1996) – dol. can. 6.000,00	F.25.000,00

DZIĘKUJEMY

SPROSTOWANIE

Hanna i Maciej Szymańscy – Vancouver (Kanada) przysłali nam czek na 50,00 dol. can. z przeznaczeniem na Fundusz „Kultura” „zamiast kwiatów na grób architekta Macieja Krasieńskiego, zmarłego w Warszawie 8.02.99”. Ten dar zamieściliśmy w kwietniowej *Kulturze*, niestety z pomyłką w imieniu i nazwisku pani Szymańskiej, mianowicie podaliśmy „Marta Komler i Maciej Szymański” zamiast *Hanna Kamler i Maciej Szymańscy*, za co państwa Szymańskich najserdeczniej przepraszamy.

(Redakcja)



Ewa Gierat, Leszek Gierat, Czesław Miłosz

Balkany zachodnie: perspektywa wieloletniego chaosu

Moja dwutygodniowa „rekonesansowa” podróż służbowa do Sofii, Skopje i Tirany, dokonana dla potrzeb rządowego Ośrodka Studiów Wschodnich, gdzie prowadzę Dział Bałkański, w żadnym razie nie dostarczyła wystarczającej ilości spostrzeżeń czy prawd, by pokusić się o spisywanie „dziennika peregrynacji”. Nawet zresztą, gdyby przybysz w te okolice miał dość tupetu, by po kilkunastu dniach zdobywać się na uogólnienia – przestrzega go przed tym właśnie łatwość wyciągania „całościowych” wniosków, która wydaje się być jednym z przekleństw (nie tylko) bałkańskich. Im któryś z rozmówców dalszy był od wzorca „światowego polityka”, tym łatwiej i chętniej sięgał po argumenty i narzędzia analizy, które wydawały się pochodzić z głośnej książki Huntingtona o „zderzeniu cywilizacji” – tyle, że „przykrojonej do użytku młodzieży”, jak to dawniej z „Podróżami Guliwera” czyniono. „Rosjanie na wschodzie, Amerykanie na zachodzie, Balkany jako ‘skrzyżowanie’ o światowym znaczeniu, konspiracje islamskie i wyznawcy Proroka, którzy chcą *via* Albania, Kosovo i Bośnię wbić ‘zielony klin’ w Europę...” – ot, i złożoność sytuacji bałkańskiej wyjaśniano mi w ten sposób w Sofii i Skopje zwłaszcza, w niecały kwadrans. W żadnym razie nie chciałbym dołączyć do grona tych ekspertów. Stąd to, co poniżej, to raczej garść spostrzeżeń, w najlepszym razie na miano „listu z podróży” zasługująca.

Obserwatorowi w pierwszej kolejności nasuwa się przekonanie o ogromnym osłabieniu aparatu państwa. Najsilniej może w Jugosławii widać, że słabość ta stanowi niejako „drugą stronę medalu”, kontrastując z brutalnością, jakiej dopuszczono się w Kosowie. Ale funkcjonowanie „szarej strefy”, w której zatrudnienie i dochód znajduje do 30% pracujących, słabość działań antykorupcyjnych policji – widoczne są i w pozostałych państwach. W relacjach dziennikarskich zwykło się od pewnego czasu mówić o „gniciu” tamtejszych instytucji. Równie na miejscu byłyby jednak zwroty mówiące o ich „usychaniu”: W Skopje, w Sofii, funkcjonują „resorty siłowe” i dyplomacja; państwo „rezygnuje” jednak niemal z roztaczania opieki społecznej czy przyzwoitego finansowania oświaty. Nie mówiąc już o północnej Albanii czy Kosowie; tam mamy do czynienia z „czarnymi dziurami”, przy czym ta metafora „kosmologiczna” wydaje się naprawdę nieźle pasować: podobnie jak w przypadku gwiazdnych czarnych dziur, z tego rodzaju stref nie wydostaje się żadna wiarygodna informacja, wszelkie zaś środki materialne zostają tam „wciągnięte” niemal bez śladu.

Popularny *bon-mot*, przywołany ostatnio kilkakrotnie również przez ministra spraw zagranicznych RP, mówi, iż „Bałkany mają za dużo historii, by móc ją skonsumować”. Ze spostrzeżeniem tym można się w pełni zgodzić – z dwoma uzupełnieniami. Raz, że za konsumowanie historii narody biorą się zwykle wówczas, gdy brakuje im innej strawy – z tego zaś płynie nadzieja, że przy wzroście poziomu życia ucichną namiętności. (Nie próbuję twierdzić, że cały cykl bałkańskich dramatów ostatniej dekady był wywołany zapaścią gospodarczą po wyjściu z komunizmu. Ten „klucz interpretacyjny” mógłby się okazać równie zawodny, jak inne, tłumaczące wybuch kotła bałkańskiego napięciami religijnymi.) Znacznie bardziej kłopotliwy, jeśli chodzi o „masową świadomość historyczną” jest jednak fakt, że historia odbierana jest i przywoływana tylko w postaci, w jakiej „masy” potrafią ją skonsumować, to zaś znaczy – uproszczona do kilku prostych formuł. Zjawisko arcyniebezpieczne, bo oddala możliwość toczenia sporu racji i argumentów.

Szczególnie dobrze widoczne jest to w Jugosławii. Blisko trzy czwarte Serbów (z „rdzennej” Serbii, rzecz jasna) nigdy

w życiu nie odwiedziło Kosowa. Mimo to twierdzą, że to „kolebka Serbii”, bez której „nie wyobrażają sobie życia” – i chyba rzeczywiście sobie nie wyobrażają. Ile lat minie, zanim kluczem do kariery politycznej w pro-Miłoszewiciowskiej Jugosławii przestanie być „odzyskanie prastarej serbskiej ziemi”? Inna rzecz, że drugie pokolenie Wrocławian nie marzy o *urbs celeberrima* dawnej Rzplitej.

Kolejną cechą wspólną całemu regionowi jest „odrębność poszczególnych państw”, by nie rzec „izolacjonizm”. Do pewnego stopnia trudno tu oddzielić skutek od przyczyny. Izolacja poszczególnych krajów ma miejsce na poziomie infrastruktury transportowej. (Doświadczyłem tego zresztą, podróżując po kilkanaście godzin między miastami odległymi o 200 km – autokarami, jakich nie uświadczą się zazwyczaj na trasach „międzynarodowych”. Pociągiem byłoby na pewno wygodniej, ale międzynarodowe połączenia kolejowe na zachód od Dunaju niemal nie istnieją). Oczywiście, wielki to *handicap* dla tamtejszych gospodarek; mają trudności z wyeksportowaniem tych swoich produktów, które mogłyby być konkurencyjne, nie czerpią też niemal żadnych korzyści z transportu. Turecy kierowcy nakładają drogi przez Grecję bądź Ukrainę, wiedząc, że to szlak bezpieczniejszy i wygodniejszy, choć dłuższy.

Konsekwencją tego jest oczywiście izolacja – bądź przynajmniej dystans – gospodarczy i polityczny. Ostatnio zaczęto to nieco przewycięzać: niejedną stronę zająć by mogło wyliczenie wszystkich „trójkątów współpracy regionalnej”, które zawiązały się w ciągu ostatnich dwóch lat (a część i w ciągu ostatnich kilku miesięcy, w nadziei na wspólny podział funduszy rekonstrukcyjnych). Niektóre zresztą rozwijają się całkiem żwawo (jak albańsko-macedońsko-grecki). Sceptyk powiedzieć mógłby – nietrudno, skoro punktem wyjścia była pełna izolacja. Ta ma jednak swoje korzenie w stanie świadomości, który utrzymuje się niezależnie od tego, czy i ile mostów i szos da się zbudować za fundusze UE przez najbliższych kilka lat. Z podróży i rozmów odniosłem wrażenie, że tamtejsze kraje i społeczności żyją na codzien całkowicie „osobno”. Uderzająca różnica z sytuacją w Polsce i ościennych krajach, gdzie coraz częściej używany jest termin „środkowo-europejczy” jako element „autodefinicji”. Nadal nieraz trąci

on lekkim snobizmem literackim lub politycznym, ale pojawia się przecież nie tylko w wypowiedziach polityków. Na Półwyspie niemal nie spotkałem się z określeniem „my, mieszkańcy Bałkanów” – można wręcz odnieść wrażenie, że jest ono „politycznie niepoprawne”. Owszem, można usłyszeć o „korzeniach bałkańskich” – ilekroć mowa o niepowodzeniach, zjawiskach negatywnych, dramatach. Zwrot „Balkan” (i rozłożenie rąk) towarzyszy zarówno opowieściom o czystkach etnicznych, jak napotkanej podczas spaceru ze znajomą scenie rodzajowej: gospodyni, wysypującej śmieci wprost na ulicę. „Wiadomo, Bałkany...”. Kiedy jednak mowa o racji stanu bądź kierunkach działania na przyszłość – Sofia, Skopje czy Podgorica orientują się na Brukselę i Waszyngton, w ościennych stolicach upatrując jedynie sprawców swoich nieszczęść. To wszystko przy „wspólnym losie” znacznie bardziej zbieżnym („tureckie jarzmo”) niż np. polski i czeski. Jeśli jakiegokolwiek programy czy działania (nie wymagające wielkich nakładów finansowych) można było tamtejszym elitom proponować, to chyba „wymianę młodzieży” na wzór polsko-niemiecki czy (realizowany z oporami) polsko-izraelski.

Spśród krajów regionu najwięcej trosk obserwatorów (poza, rzecz jasna, Kosowem), budzi obecnie Albania. Nie wydaje się przy tym, by krajowi temu zagrażała rola „przyczółka fundamentalizmu islamskiego”. Tamtejsza społeczność jest zateizowana do głębi i wygląda szans emigracji zarobkowej do Włoch lub Grecji; „naród polityczny” podzielony jest urazami, w których argumenty zdają się być jedynie „przykrywką” głębszych i dawniejszych rywalizacji. Meczety – prawda, że widoczne w niemal każdej wsi – budowane są za pieniądze hojnych inwestorów z Arabii Saudyjskiej. Wątpliwe więc, by „księstwo orłów” stało się „północną flanką ‘zielonego pierścienia’”, jak nie przestaje obawiać się większość Bułgarów, Macedończyków i Serbów. Oczywiście, nie znaczy to, że zagrożenie fundamentalizmem nie istnieje: wysiedlanie z Tirany i okolic kolejnych terrorystów egipskich bądź sudańskich, dokonywane siłami policji albańskiej wspieranej przez bardziej fachowe instytucje amerykańskie, pokazuje, jakie siły chciałyby uzyskać tam „przyczółek”. Niewykluczone też, że grupy sfrustrowanej młodzieży sięgną po ideologię radyka-

lizmu islamskiego, jako najlepiej zaspokajające ich frustracje.

Bez porównania poważniejszym problemem Albanii wydaje mi się być jednak wymieniana w większości reportaży „klanowość” i całkowita niemal atrofia „świadomości państwowej” czy „rozumienia dla instytucji państwa”. O roli klanów i kryminalizacji prowincji, praktycznie niekontrolowanej przez rząd, świat dowiedział się więcej odkąd w okolicach Tropoje czy Bajram Kukes pojawiły się dziesiątki ekip dziennikarskich, a w ślad za nimi – żołnierze NATO. Ci pierwsi zwykle wracali stamtąd *per pedes*, bez samochodu, kamer i aparatów. Ci drudzy zaczynają sobie, sądząc z komunikatów, zdawać sprawę na jakich grząskich piaskach przyszło im budować linie zaopatrzeniowe. O tym, jak dalece podziały w establishmencie politycznym kraju przekładają się na lojalność wobec poszczególnych grup przemytników, krąży raczej pogłoski, niż analizy; wydaje się jednak, że takie fakty, jak stawienie się (w połowie czerwca br.) obecnego gabinetu rządzącego niemal w komplecie na mafijno-rodzinnej uroczystości w mieście Vlora, którym rządzi mafia przemytnicza, stanowi niezłą ilustrację tego zjawiska.

To pewne, że takie wydarzenia nie podnoszą szacunku dla instytucji państwa. Wydaje się wręcz, jakby nawet elity pogodziły się z myślą o tym, że jest ono „przegnięte do fundamentów”, i że jedyna nadzieja w pomocy z zewnątrz. Jak długo miałyby ona trwać, co robić po jej zaprzestaniu – z próbą udzielenia takich odpowiedzi nie spotkałem się. Formuła „listu z podróży” pozwala na przytaczanie anegdot i rozmów, nie od rzeczy byłoby więc przywołać wymianę zdań z jednym z moich *cicerones* – światłym i sceptycznym inteligentem z Tirany. Na pytanie, jak dalece sięgnąć jeszcze może w Albanii interwencjonizm „Zachodu”, skoro instytucje Straży Granicznej powoli przejmowane są przez Włochów, a wojsko „obudowywane” jest strukturami NATO, mój rozmówca odparł: – Tak, teraz warto byłoby jeszcze (mamy na to nadzieję), by urzędnicy Unii Europejskiej przejęli kontrolę nad budżetem, gromadzeniem podatków i wydatkami administracji państwowej. No i policja, ktoś musi przejąć kontrolę nad naszą policją, by wyleczyć ją z korupcji. – Co jednak – pozwoliłem sobie na uwagę – pozostanie w takim razie z „Państwa Albańskiego”? Za całą odpowiedź starczyło zamara-

kowe przez uprzejmość wobec gościa, wzruszenie ramion. „*Who cares?*” I z tym problemem, zubożonych i pełnych roszczeń apatrydów, Europa zetknąć się może znacznie prędzej, niż z fundamentalizmem islamskim w odmianie bałkańskiej. Nie tylko zresztą w Albanii.

Powszechnie chwalona przez żurnalistów za „pokojowy rozwód z Jugosławią” Macedonia stanęła tej wiosny w dramatycznej sytuacji. Uczucie, jakie zdecydowana większość Macedończyków i miejscowych Serbów żywi dla Albańczyków da się najogólniej określić jako „zimną, stęzoną niechęć”. „Nie możemy wam zrobić tego, co w Kosowie – ale nie wpuścimy was na uczelnie i do polityki”. Nigdzie nie miałem tak wyraźnego, jak w Macedonii, uczucia, że – uciekając się do niezbyt zgrabnego porównania – „Albańczycy są macedońskimi Żydami”. Ta sama paleta argumentów, co w tekstach polskich endekoidów lat trzydziestych: jedni przędą cienko i intelektualnie, drudzy walą na odlew. Od profesora wyższej szkoły administracji słyszałem rozważania w huntingtonowskim stylu, o „obcym etnosie” i planach rozbioru Macedonii. Od sklepikarza *vis à vis* mojego hoteliku, u którego zaopatrywałem się wieczorami w wino – o tym, że miejscowi Albańczycy trzymają się razem i są najbogatsi (w co *nota bene* skłonny jestem uwierzyć – taka już dynamika rozwoju mniejszości rugowanej zewsząd i skazanej na handel); taksówkarze syczeli tylko bezsilnie, że „oni żenią się z własnymi siostrami” i „zaczepiają nasze dziewczyny”. Razem wzięwszy – bardzo niewygodna sytuacja dla koalicyjnego rządu (niepodległościowcy macedońscy z lekkim zabarwieniem nacjonalnym – radykałowie albańscy, przez ostatnie lata w ostrej opozycji), który w dodatku dokonuje rzeczywiście istotnych zmian – np. zapowiadając zamiar zalegalizowania prywatnego uniwersytetu albanojęzycznego w Tetowie. Jeśli ta koalicja nie rozsypie się w przeddzień zapowiedzianych na koniec października wyborów prezydenckich (a jest to coraz bardziej prawdopodobne, wobec faktu, że trzem rządzącym partiom nie udało się wyłonić wspólnego kandydata, w związku z czym już dziś patrzą na siebie wilkiem) – rząd Georgijewskiego ma szanse siebie i kraj utrzymać. Choć nie będzie im łatwo – a kipiące tuż obok Kosowo może napięcia podsycać.

Jeszcze jeden „obrazek z podróży”, który pozwałam sobie przytoczyć, bo dość charakterystyczny. Do Tirany jechałem przez Skopje rejsowym autokarem (dość wyczerpująca, kilkunastogodzinna jazda w skwarze po wysokich grzbietach – winna oczywiście szosa albańska, jaką w Polsce spotkać można już bodaj tylko w Bieszczadach, ta zaś pełni rolę jednej z głównych arterii międzynarodowych), przegadując większość podróży z moją sąsiadką. Dwudziestoletnia Aisha włada perfekcyjnie angielskim i francuskim; pochodzi z albańskiej rodziny zamieszkałej w Skopje, jednak kilkadziesiąt (!) razy w roku przebywa tę autokarową górską trasę do Tirany, gdzie studiuje medycynę. W Skopje nie miałyby na to szans ze względu na lokalną odmianę *numerus clausus*: miejsc „dla Albańczyków” jest na akademii medycznej mniej niż kandydatów z odpowiednią liczbą punktów. Aisha powtarza drogę swej starszej siostry, która w tejsze Tiranie ukończyła marketing, zaś jej młodszy brat w przyszłym roku zamierza tam zacząć studiować – bodajże fizykę.

Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Macedończycy dochowiają się właśnie pierwszego pokolenia młodej inteligencji, która odczuwać będzie żywą więź z Albanią (dotąd, ze względu na pełną izolację kraju Envera Hodży, kontakty były sporadyczne), zostanie ukształtowana przez życie w Tiranie, gdzie spędza najbardziej „formacyjne” lata. Nic dziwnego, jeśli za dziesięć lat zapragną rozmycia granicy macedońsko-albańskiej (zwłaszcza biorąc pod uwagę perspektywę bezrobocia, jakie czeka Aishę w państwowej – macedońskiej służbie zdrowia) i teza o „dążeniu do Wielkiej Albanii”, dziś w mawiana Albańczykom przez propagandystów z Belgradu i Skopje, stanie się prawdą. „Umiej przewidzieć pożar z jasnością nieomylną – po czym podpalisz dom i spełni się, co stać się miało”.

Osobny temat to mniejszość serbska w Macedonii: jak pokazują ostatnie zamachy bombowe na bazy NATO, których autorami okazali się być miejscowi Serbowie, mniejszość ta jest niezwykle podatna na inspirację ze strony odpowiednich służb w Belgradzie. Spotkania z nimi były jednymi z bardziej malowniczych, jakie odbyłem w Skopje. Wszyscy aktywiści miejscowej partii mniejszości serbskiej, ucharakteryzowani byli na „Vuka Draskovicia”, znanego światu także

z iście hipisowskiej fryzury, zaś na ścianie wisiał ogromny portret „kata Vukovaru” gen. Ratko Mladicia – bynajmniej nie w charakterze listu gończego Trybunału w Hadze. Rozmowa z sympatykami rzezi w Bośni wydała mi się też zajmująca jako świadectwo trwałości czegoś, co można określić mianem „mentalności targowickiej”. Mają oni mianowicie niestęchanie prostą receptę na zachowanie niepodległości Macedonii w sytuacji, gdy na jej niepodległość – jak się okazuje – czyhają wszystkie ościennie państwa. Przed serbskim, bułgarskim, greckim i albańskim imperializmem obrona jest tylko jedna, a mianowicie – całkowicie się rozbroić, wówczas bowiem ościennie stolice będą się nawzajem szachować. Skopje nierządem stoi?

Serbię nietrudno wróżyć dziś rychły upadek tyрана – ale też nielekki czas przedtem i potem. Potencjał niezadowolenia jest ogromny; po części wynika to stąd, że nie sposób już było pielęgnować złudzeń po „utracie Kosowa i czwartej przegranej wojnie”, po części stąd, że sympatie – zwłaszcza na Bałkanach – mają dynamikę wahadła. Po kilku latach idolatrii zaczęło się „wahnięcie”, które pozbawia Miloszewicia stronników, i jest to coś więcej, niż znużenie „opatrzoną” przywódcą, znane demokracjom Zachodu. W jednym z ostatnich rankingów zorganizowanych przez opozycyjny dziennik *Blic* (fakt, że w otwartym i odważnym Belgradzie) za odejściem prezydenta opowiedziało się 71% pytanych. To ogromny skok, w stosunku do kilkunastu procent oponentów z jesieni ub. roku.

Bardzo istotna jest też „decentralizacja” protestów, które w 1997 roku ograniczyły się do kilkunastu większych miast. Dziś rzeczywiście „stoi” prowincja, rolnicy zapowiadają blokadę dróg (śmieszna rzecz, jak bardzo będziemy im sekundować z polskiej perspektywy, nie mając zarazem dość mocnych słów potępienia dla Leppera), a żołnierze rozpoczynają głodówki. Ta wielość, i nawet rywalizacja poszczególnych koalicji stanowiąc będą siłą protestu jak długo nie dojdzie do próby siłowej pacyfikacji demokratów (czego, po ostatnich deklaracjach generałów, można się obawiać), bądź dopóki opozycja nie będzie zmuszona przejąć odpowiedzialności za „masę upadłościową”, jaką stanowi dziś serbska gospodarka.

Kłopoty zaczną się bowiem wraz z nadejściem jesieni i właściwie już w tej chwili jest zbyt późno, by im w pełni zaradzić. Niezależnie od poważnie zniszczonej infrastruktury transportowej, przemysłowej etc., dramatem Serbii może stać się brak prądu elektrycznego. Naloty poważnie uszkodziły zarówno generatory, jak linie przesyłowe. Zachód odmawia przesłania nowego sprzętu uznając – poniekąd słusznie – że wykracza to poza zakres „pomocy humanitarnej”. Tym samym jednak większość domów serbskich, ogrzewanych przy pomocy prądu, czeka ciężka zima. Już teraz hitem w działkach ogłoszeń drobnych belgradzkich gazet są oferty zakupu drewna opałowego, a w nieprzystosowanych do tego domach montuje się „kozy”.

Świat rychło też zacznie mieć kłopoty z opozycją serbską, nieświadom, że część przynajmniej ugrupowań potępią Miloszewicia nie za to, co zrobił z mieszkańcami Kosowa, lecz za to, że dopuścił do jego utraty. Klasyczny przykład stanowi tu tzw. „Serbski Ruch Oporu” z Momczilo Trajkoviciem na czele, zrzeszający serbskich mieszkańców Kosowa. Od lat najwierniejsi stronnicy i elektorat postkomunistów jugosłowiańskich, dziś obrzucają prezydenta obelgami „za zdradę” i wyrzekają się jego pomocy. Oczywiście, zapraszani są przez urzędników ONZ do nowo powstających „ciał społecznych” w Kosowie jako jedyni zorganizowani przedstawiciele serbskiej mniejszości – ale trudniej z nimi będzie niż z Vukiem Draskoviciem.

Oczywiście, największy kłopot będą mieć Serbowie sami ze sobą – gdy przyjdzie czas na refleksję nad tym, „co naprawdę stało się w Kosowie” i „Dlaczego musieliśmy je stracić?”. Na razie o winie, o odpowiedzialności, skłonnych jest pisać kilku intelektualistów i mówić – kilku (nie wszyscy!) wyższych duchownych prawosławnych. To głosy ważne dla całości obrazu, i może nawet mogą one uratować serbski honor – ale na razie nie są powszechnie słyszane i nie one decydują o stanowisku większości. Osobny, wielki, przez nikogo dziś bodaj w Serbii nie dotykany temat, to debata nad przyszłością Kosowa. Zastanawiałem się w tym kontekście – przy zachowaniu wszelkich proporcji!!! – nad polskim powojennym wymuszonym „rozstaniem z Kresami” i roli, jaką odegrała *Kultura* w nawiązywaniu rozmowy z narodami, sąsiadującymi z nami na Wschodzie.

Dodatkowym źródłem konfliktów tej jesieni może stać się w Serbii – i szerzej, na Bałkanach – „nowa moda na etniczność”. Czarny humor nakazywałby przypuszczać, iż niedługo okaże się, że Serbia składa się z samych mniejszości: o protekcję dziś (a autonomię jutro) zabiegają już nie tylko Węgrzy Wojwodiny, ale i mniejszość bułgarska (w okolicach spornego, przygranicznego Dimitrowgradu) i muzułmańsko-słowiańscy, na kształt Bośniaków, mieszkańcy prowincji Sandżak, i znani dotąd niemal tylko etnografom wołosko-rumuńscy Gorańcy, których okazuje się być (w deklaracjach ich liderów) blisko milion. Oczywiście, w pierwszej chwili czuć można satysfakcję z doskonale spełniającej się prawdy, iż kto mieczem wojuje, od miecza zginie – ale tak naprawdę tego rodzaju ruchy wywołać mogą jedynie reakcję obronną Serbów i ożywić w nich na poły paranoiczne przekonanie, że cały świat jest przeciw nim. Tym bardziej to niepokojące, że moda na nagłaśnianie problemów z „nieuznaną mniejszością” zaczyna się szerzyć w regionie szybciej niż niejeden fason odzieżowy. W Bułgarii rejestrowane są kolejne partie Turków z okolic Kjustendiłu, w Rumunii odzywa się rosyjsko- i bułgarskojęzyczna mniejszość w delcie Dunaju, a grecka policja wzięła się za arcybrutalne wysiedlanie pół miliona emigrantów albańskich (zresztą przyznać trzeba, podnoszących solidnie wskaźniki przestępczości w Atenach). „Drugiego Kosowa” z tego nie będzie – ale nie przybędzie też od tego stabilności Półwyspowi.

Prawdziwy paradoks – z którego nie chce sobie zdawać sprawy Zachód, stawiający na prezydenta Czarnogóry Milo Djukanovicia bez zastrzeżeń – rozpocznie się jednak, jeśli w przyszłości demokratyczna Serbia rozpocznie rozmowy z demokratyczną Czarnogorą. Ta pierwsza, dążąc do uznania przez Zachód, będzie widziała jedyny sposób zachowania Kosowa pod swą kontrolą w zaferowaniu tej prowincji jak najszerszej autonomii, a najlepiej – nadania mu statusu trzeciej republiki w obrębie federalnej Jugosławii. Przebiekiwano o takich scenariuszach po cichu jeszcze przed Rambouillet. Przeciw temu rozwiązaniu najostrej jednak zaprotestuje republika związkowa Czarnogóra – zrównanie statusem z Kosowem nie odpowiada ani jej randze, ani aspiracjom Czarnogórców. W takim konflikcie Zachód, obawiając się

niepodległego Kosowa, poprze Serbię – i dzisiejsze role się odwrócą.

Sprzeczności jest więcej. Nie chcąc nużyć zbytnią drobiazgowością, najkrócej tylko wspomnę o niejasnych losach Sandżaku. Część tego niewielkiego, historycznego regionu, zamieszkałego przez „Słowian wyznania muzułmańskiego”, należy dziś administracyjnie do Serbii, część do Czarnogóry, mniej więcej na zasadzie *fifty-fifty*. Dziś opozycjoniści z Sandżaku i Czarnogóry są naturalnymi sojusznikami, walcząc z centralistycznym i autorytarnym Belgradem. Co jednak się stanie, jeśli Czarnogóra zapragnie zwiększyć zakres swej niezależności, dokonując tym samym czegoś w rodzaju „rozbiorów Sandżaku? Lub w sytuacji odwrotnej, gdy Sandżak zażąda autonomii, pozbawiając Czarnogóry kontroli nad kilkoma gminami? – Tak, wątpić można, czy zjednoczenie wszystkich żywiołów opozycyjnych wobec reżimu Miloszewicia będzie w Jugosławii trwałe.

Wojciech STANISŁAWSKI

Grudziądz

Damusi

Nazwy mówią. Być może – Grudziądz, bo „jak po grudzie”. Dla mnie Grudziądz skojarzył się z grudniem, w którym do niego przyszedłam.

W życiu trzeba być rozsądnym, przewidującym i odpowiedzialnym. Dbać o zapewnienie sobie teraźniejszości i przyszłości. Wiedzieć, na czym się stoi. Znaleźć oparcie. Nie narażać się. Ufność zachować dla osób i sytuacji już sprawdzonych, pewnych i nie grożących nadużyciem.

Jakież nudne i ciężkostrawne staje się wtedy życie. Solidny kawał młdey, niewątpliwie nader pożywnej, ale rosnącej w ustach zapiekanki, w której jest wszystko, z wyjątkiem smaku. Bo smak do niczego nie jest potrzebny i bez niego można się obejść.

Życie *va banque*, ryzykować, to jak skok z wysokiej trampoliny albo narciarski. Świszcze w uszach, ma się upajające poczucie pokonania siły ciężkości, choć na chwilę, bo przecież wiadomo, że nie przestaje ona obowiązywać i zaraz wróci, za tę chwilę, która nie jest jej, tylko moja. Pęd – i wyląduję. Nawet nie bardzo się boję. Łamiąc kark podobno cierpi się krótko. Poza tym wystarczy się bać, żeby przestać działać i myśleć. Strach zajmuje całe miejsce, gdy mu się pozwala wejść. Tylko trzymany w ryzach pracuje jako doping.

Uczelni miałam już po dziurki w nosie, z jej układami. Takiej pracy, jak zaproponowana, jeszcze nie wykonywałam i miałam na nią wielką ochotę: nieco twórcza, nieco artystyczna, oparta na znajomości literatury.

Ciemna strona, to nader niskie wynagrodzenie.

Ciemne strony muszą być, bo nie byłoby widać jasnych. Ważne, że zapewniono mi mieszkanie, a jakoś się wyżywię. Mam wprawę, najwyżej przypomnę sobie studenckie czasy, pozbawione akademika, stołówki i stypendium.

Dodatkowym atutem, jakże upragnionym, jest świeże, zwłaszcza w zestawieniu ze Śląskiem, powietrze.

Jadę. Kierownik literacki Teatru Ziemi Pomorskiej.

Rzadko zdarza się taki szybki krach.

Pół roku. I zaczyna się likwidacja Teatru Ziemi Pomorskiej.

W pierwszej chwili osłupienia kojarzona z rozbiórką cegieł, do pustego placu, skoro likwidacja.

Sierpień. Nie ma już aktorów w mieście. Przerwę urlopową wykorzystują na szukanie pracy. Jeżdżą „po Polsce”, za granicę też, coś tam się komuś udało załatwić w czeskim pasie przygranicznym.

Nie ma już mieszkań teatralnych. Zwrócono je miastu. Mogłam jeszcze sierpień w moim przemieszkać, prawo (ha! jak żałośnie brzmi to „prawo” wobec takiej kłęski) mi to gwarantuje. Miesiąc dłużej, ma to sens? Tylko po to, żeby o ten miesiąc opóźnić oddanie wszystkich lokali?

Nie ma sensu. Rezygnuję z tego prawa. Nie bawi mnie złośliwość przegranego.

Będę mieszkać w Teatrze, w pokojach gościnnych, do czasu powrotu na Śląsk. Nie wrócę „na tarczę”, bo przeżyję tę kłęskę, ale niewątpliwie ugięta. Z tarczą w zębach.

W budynku nie ma już prawie nikogo. Tylko portier i księgowość, siedząca całymi dniami i wieczorami, a częściowo jeszcze w domu, nocami, żeby zakończyć likwidację, czyli inwentaryzację na opak z czterdziestu pięciu lat.

„Można było to przewidzieć!”

Jasne, wszystko można przewidzieć. Po fakcie.

Najlepiej nie robić nic, żeby uniknąć kłęski, bo kłęska jest czymś wstydlivym, jak śmiertelna choroba. Nowotwór. Niby nie zaraźliwy, ale lepiej o nim nie wiedzieć i nie dopuszczać go do siebie myślami. Równie wstydliva i nie do przyjęcia jest śmierć. Najlepiej o niej też nie wiedzieć, nie widzieć jej, niech ona się dzieje gdzie indziej i innym. W odgradzonych od codzienności umieralniach. Takich ludzkich śmietnikach.

Gdy się o niej nie wie, to jej nie ma. Proste? I jakie słuszne.

Tak potraktowana śmierć, umierający i umarli wzięli odwet:

Mamy żywe cmentarze. Mamy żywych nieboszczyków.

Jeszcze są, jeszcze się ruszają, krzykliwe udowadniają swoje życie? Bo są! Naprawdę są! I jest im dobrze! Lepiej niż drugim! Są szczęśliwi! Zwyciężają i zawsze będą zwyciężać! Klęski nie ma! Śmierci nie ma!

Niech wam będzie, nieboszczycy *in spe*.

Nie wiecie, jak bardzo smakuje to, co jest życiem. Nawet z klęską.

A ona?

Chesterton pisząc o św. Franciszku porównał ponížanie świętego do schodzenia w głąb ziemi. Gdy znalazł się najniżej, w jej środku, być jeszcze niżej oznaczało podnoszenie się. I wyjście, tyle, że w innym miejscu.

Dlaczego doszło do likwidacji?

Bo Teatr przeznaczono na straty. Najprostszym, finansowym sposobem: ani władze miejskie, ani wojewódzkie nie ujęły go w bilansie. Oczywiście tylko dlatego, że każda z tych stron była pewna, że robi to druga.

Przez pół roku Teatr w 40 procentach zarabiał na siebie. Resztę wyszarpywał, gdzie się dało. I zawał nie nastąpił, jak się spodziewano: w styczniu, lutym. Agonia trwała pół roku.

Jadąc do Grudziądza jechałam jak do rzeźni. Albo jak do komory próżniowej, bez zapasu tlenu.

„Głupotą było nie zorientować się w tym podstawowym braku!”

Niewątpliwie, głupotą. Tylko, że brak był podstawowy. Czyli przyjmując pracę w jakimś obiekcie należy spytać, czy jest w nim powietrze?

„Mądry człowiek sprawdzi wszystko!”

To na jaką pracę będzie czas, jeżeli przystępując do niej w pierw trzeba zbudować, na nowo, przejęty po poprzednikach świat? Chytrze zburzony tam, gdzie nie widać? I wchodząc na scenę dostarcza się widowiska: ufnie rozpoczętego lotu do zapadni. W dół! Tylko włosy miotnęły i – uaaaa! Ach, jakie to było śmieszne, to zaskoczenie! Jak śmieszny jest każdy, kto nieoczekiwanie potyka się, siada bez krzesła,

wpada do otwartego kanału. Boki zrywać. Jak to przeżył czy nie przeżył, tego już, uczciwszy wrażliwość patrzących, nie widać.

Nie ma ich. Wreszcie. Bo na co komu Teatr? A aktorzy „to darmozjady, które tylko piją i się kurwią. Wyrzucanie pieniędzy”.

Cisza.

Nie cisza! Kotłują się! Coś wrzeszczą! Za niska ta zapadnia była, mówiłem przecież!

Trochę to nieprzyjemne, bo jak się zarzyna ofiarę, to powinna się dogodnie nadstawić. Niechże zrozumie, że być rzezakiem to przykre i niech ułatwi! Już upadek w zapadnię powinien być ją przekonać, że nie ma żadnych szans. Niepotrzebna ta długa obrona. No, jeszcze trochę i będzie wreszcie spokój.

Najlepiej na tej sytuacji wyszedł teatr sąsiedni. Otrzymał lekką wojewódzką rączką pieniądze Teatru z Grudziądza. Bo przecież wojewoda myślał, że miasto, a miasto myślało

Przyjemne odczucia sąsiedniej Sceny trafnie ujął tytuł artykułu na ten temat w lokalnej gazecie: „Pieniądze spadły z nieba”. Zaplecze cudu autor pominął. Ówczesny dyrektor nawiedzony łaską nadprzyrodzoną placówki obecnie wprowadza w życie twarde i realne prawa rynkowe na innej Scenie, Czas cudów minął.

Jak wyglądało te pół roku dorzynania w zapadni? A dajmy temu spokój.

Sierpień. Nie ma Teatru w Grudziądzu. Jest budynek. Nie ma Teatru.

Niedziela. Upał. Suche chaszcze za budynkiem, suchy plac przy wejściu, suche, ale ocienione ogromnymi kasztanami trawniki i kwietniki od frontu. A kanał zakryty, który się mija, idąc obok Teatru na most, wciąż śmierdzi podgniłą cebulą.

Sucho, gorąco, pusto. Jałowo pusto. Miasto i czas jest taki, jak ten spalony, gliniasty plac: skorupa pozornie nie do przebicia. Trwała, beznadziejna, goła. Nic tego czasu nie wzruszy, będzie mordował dzień po dniu, póki się moje zesłanie nie skończy. To jest nienormalne i czuję się nienormalnie.

W tygodniu usiłuję się prostować powszednimi czynnościami: najlepsze są zakupy (na które niestety trzeba pieniędzy) i gotowanie (tylko później trzeba to zjeść, więc zrozumiałe, czemu ludzie starzy, samotni albo mający beznadziejne życie są grubi), i pranie. Czyści są też?

Nie zostaną w Grudziądzu. Chociaż znalazłabym miejsce: mieszkania, pracy.

Skoro klęska związana jest z krzywdą, muszę ją przeżyć, ale nie zgodzę się jej uznać.

Tryumfuj, ale beze mnie. Swojego hołdu do twego tryumfu nie dołożę. Uznać, czyli pozostać tu – byłoby hołdem. Sądzę, że opłacałbym. Może nawet – nieźle.

Niedziela. Miasto jest głuche. Śpi? Leży w wyrach. Leżąc kaca. Lub z nawyku: na to jest niedziela, by wreszcie nie robić NIC. Telewizory włączone od rana.

Pójdę nad Wisłę. To przyjemnie brzmi i równie przyjemnie się odbywa.

Wychodzę z teatru, w którym mieszkam, z mojego drugiego piętra, które z zewnątrz niezwykle wygląda. W pokoju się nie czuje, że cała ściana budynku od tej strony jest przeszklona i tylko podsztukowana po piętrach płytami pilśniowymi. Dzięki temu nie mieszkam na werandzie, w jednym z wielu scenicznie ujawnionych pomieszczeń. Pokój gościnny, który zajmuję, jest jednym z kilku.

Portier – dzień dobry, milczące uśmiechy. Plac. Z przyłonej białym nalotem badylastej zieleni wychodzi pies, mozolnie odpracowuje szczekanie. Zaraz, to przecież dźwięk, który towarzyszy mi cały czas.

– Czyj to pies? – wracam.

Portier nie wie. Denerwuje go, jakiś nienormalny. Cały czas tu szczeka. Szczeka na Teatr, który stanął, rozsypał się i jest likwidowany. Pierwszy zlikwidowany Teatr w kraju. Gdy człowiek umiera, pies wyje. Gdy Teatr umarł...

Słońce oślepia. Jest tak samo niewzruszone, jak ta zeskorupiała glina. Białe miasto wydaje się w nim jeszcze bielsze, jasne płyty deptaka jeszcze jaśniejsze, a czerwona cegła... Cegła jest słońcem opalona, biel jest słońcem wybielona.

W mieście jest uroczy park, z sadzawką i łabędziami.

Ale nad Wisłą też są łabędzie. Wisła jest piękna. Patrząc na nią można nie myśleć o mieście za plecami, tak skutecz-

nym w swojej zaciętości. Wisła ożywia i widokiem, i chłodem wilgoci w największy zar. Są trzciny po jej drugiej stronie, po tej – są wygodne zejścia do wody, z wysepkami kęp trawy. Wędkarze, kilku ich, pojedynczy, sporo od siebie oddaleni. Rozległe płaszczyzny łąk, nudne do przejścia (chyba, że z psem), radosne do patrzenia.

Bydgoszcz ma swoją atrakcję. Podkreśla ją nazwa: Bydgoska Wenecja. Dla mnie brzeg Wisły, tutaj, jest ładniejszy.

Skarpa spichlerzy. Mur wyrasta z nasypu, wznoszącego się łagodnie i przechodzącego z zieleni: trawy najpierw, gdy niziutki, a drzew później, w ceglaność budowli, przyklejonych do siebie, smętnymi oczkami wąziutkich okienek wpatrzonych w Wisłę. Czy płynię pokarm, bo puste są brzuchy spichlerzowe.

Ile godzin można patrzeć? Życie ucieka. Choć wydaje się niewarte teraz siebie, zasychające i kurczące się w tej kanikule, bez sensu.

Po powrocie zastaję sytuację nieco zmienioną. Do nieustępliwie obszczekującego zwłoki Teatru psa dołączyły dzieci, które tu znalazły doskonały obiekt zabawy: porzucony wrak samochodu, chyba syrenki. Kto ją tu zostawił, dlaczego? Nawet milicja nie wyraziła zainteresowania, choć portier dzwonił i zawiadamiał.

Dudnią okrzyki radości, już oswojonej i rozbuchanej, widocznie bawią się tu codziennie, tylko nie było ich tak słychać jak dziś, w tej martwej, niedzielnej głuszy.

To koncert muzyki pod tytułem: Grudziądzkie lato.

Tło muzyczne: regularne, apatyczne szczekanie.

Muzyka eksperymentalna: piski, nieartykułowane krzyki dziecięce o zmiennym natężeniu, połączone z trzaskaniem o blachę.

Jak dobrze, że eksperymentalność muzyki nie sięga swoich szczytów i wrak nie ma klaksonu. Zresztą, może zepsuł się z nadużycia.

Trwa ten przerażający dzień poza czasem, dla niego stojącym w miejscu, choć zegarek temu przeczy, poza życiem. Jak wysoki jest budynek, tak wysoka jest pustka. Czytać. Spać.

Poniedziałek

– W którym pokoju mieszkasz? – zapytał Sławek, były dyrektor Teatru i oczy mu z lekka uciekły, gdy odpowiedziałam:

– W 309.

– I jak się tam czujesz?

– A wiesz, mam takie dziwne wrażenie, gdy wchodzę, w ogóle do tego skrzydła, a im bliżej pokoju, tym silniej, jakby ktoś na mnie czekał i szedł przede mną. Jakby ktoś tam był. Czemu masz taką minę?

– Nie, nie, nic, coś mi się przypomniało, ale to nie na temat, kiedy indziej ci powiem. No i co?

Wzruszyłam ramionami.

– Sama tam mieszkasz?

„O czym on mówi? A niby z kim? No tak, stres otępia. Mnie pewno też.”

– No. Portier jest na dole.

– Dwa piętra niżej?

– Skoro na drugim mieszkam? Myślisz, że mogłabym się zacząć bać? Ach, jak szwungu ze strachu dostanę, to po poręczy zjadę.

Żartobliwość nie znajdowała oddźwięku, więc dociskałam, wysiloną:

– Akurat na portierni mnie wyrzuci.

Obraz zaczął mnie wciągać. Zawahałam się:

– Chociaż... To bardzo wysokie piętra i na ostrych zakrętach mogę się nie utrzymać...

Sławek zbladł.

– No co ty, wpadnę na ścianę, nie na dół. I może zmądrzeję, jak się mocno huknę? Wielu mi tego życzy.

– Przestań – Sławek był niewyraźny.

– Czemu miałabym się bać? – nie odpowiedział, nie zdążył? Bo wróciła Jadwiga z zakupami. Skończyło się włączeniem telewizora, ciastkami i kawą. I mówieniem na wszystkie, ze starannym pomijaniem teatralnych, tematy. I to Sławek dbał o utrzymanie tego kierunku rozmowy, bo Jadwiga co rusz zbaczała. Przyjemnie spędzało się czas u nich (dlaczego się mówi: spędzanie płodu?). O co przedtem Sławkowi chodziło? Nie chciało mi się nad tym zastanawiać.

Wygadał się portier. Nie ten niedzielny, chudy, blade, chory na wrzody żołądka, tylko codzienny, rumiany i gładki.

– Dobrze się mieszka? – to on mnie zagadnął, nie czując, że za pogaduszkami nie przepadam i nie zraził się oszczędnym odzewem na jego zainteresowanie. – A tamten pani nie przeszkadza?

– Kto? – (żeby portier nie wiedział, że poza nami dwojgiem nikogo w budynku nie ma?)

– No, ma pani pokój koło niego przecież.

– Nie, nic – odpowiedziałam odruchowo, jednocześnie dorozumiewając się, że coś ważnego przede mną ukryto. Mój całozyciowy brak sprytu zrehabilitował się w tym jednym pytaniu, w dodatku brzdękniętym od niechcenia:

– A kiedy to się właściwie stało?

I pooooozła opowieść.

– No, już ze sześć lat będzie. Nie, pięć, bo córka jak raz do pierwszej komunii szła, a trzynaście teraz skończyła. I patrz pani, to ja na niego trafiłem. Rozespany, bo na rano szedłem, najpierw się na tej krwi poślizgnąłem. Rozlana była... Ale ciemna, bo na dworze nie całkiem jasno. Tyle wody skądś się wzięło – to sobie pomyślałem. Chociaż przecież bez deszczu. A on, to myślałem, pijany się pod teatrem uwalił. Na co mu to było, starszy człowiek przecież, tyle pił to i niedługo by już pożył. A tak – pani, co się działo! Pół miasta przybiegło. A tej krwi to się nie dało doczyścić. Co złali wodą, zasypali, zaś wyłążyło. Wreszcie straż wodą zlała. Też było gadania, a tej krwi, że coś znaczy.

Słuchając miałam spuszczone oczy. Starąłam się, ile mocy, utrzymać w miarę nieruchomą twarz. Czy jest środek na paraliz mimiki? Wysilek był kosztem słuchania.

– I mówi pani, że pani nic?... Bo tak później, to jedna sprzątaczką aż ataku dostała, wrzeszczała jak głupia, że tam sprzątać nie będzie, w tych pokojach. Widziała go, czy coś. A pani nic – był zawiedziony.

„A choćbym i zobaczyła, to ci nie powiem, ty wścibinuchu! – pasja mną trzęsła. – I bodajeś się moim strachem zadławił!”

Dobrze, że ta rozmowa trafiła we mnie wychodzącą. Wejść teraz do pokoju zaraz po niej... chociaż portier przecież myślał, że ja wiem i nic sobie z tego nie robię. Może uważa,

że mi to obojętne, bo było dawno i człowieka nie znałam? Mignęła mi w nieposlušnej wyobraźni scena, gdy wrzaskiem w środku nocy poruszam nie tylko szyby w teatrze i portiera, ale pół Grudziądza i rzucam się do ucieczki wskakując na poręcz. Za wolno? Oszałała pragnieniem błyskawicy wykonuję lot z piętra i niesie mnie sypiącą skrami strachu, ponad biegnącym do teatru tłumem. Wyobraźnię okiełznać (Jezu, jak?), strach oswoić. Bo on – jakie mam inne wyjście? Jeszcze mi zostały dwa miesiące do wytrzymania, choć czas wypowiedzenia mi skrócono.

Sama jestem i będę w tym budynku. Pozostali pracownicy byli albo z Grudziądza, albo mogli już wyjechać, bo ich umowy wygasły, albo jak Sławek z Jadwigą, zostali w mieszkaniu przeznaczonym do zamiany w terminie zależnym od nich i okazji. Nieustalonym.

Takie to było dobre, wygodne (dla wszystkich) rozwiązanie, ten pokój w Teatrze. W części gościnniej, gdzie łazienka i kuchnia.

I duch.

Wyć i dostać konwulsji można, ale co mi to da? Ludzi zabawię. Może w szpitalu wyląduję. I wrócę wzbogacona o „takie” papiery.

I wroga sobie z tego ducha zrobię, zaprzysięgłego. Skoro jest. A jest, bo „coś” wyczuwałam, nic jeszcze nie wiedząc. I o coś mu widocznie chodzi.

Mogę się za niego modlić. Mogę, tym bardziej, że miejsce, które jest w Grudziądzu szczególnie, to pojezuicki kościół Salezego. I teraz będę tam chodzić w konkretnej, ważnej sprawie. Ukaże mi się? No to mi się ukaże. On stary, ja sama – zrobimy duet. Będzie rażniej.

Czemu on to zrobił? Po pijanemu, nie wiedząc, że to robi? Albo nie mogąc znieść myśli, że wytrzeźwieje? Zabrakło mu na dalsze picie?

Kościół nie rzuca się w oczy.

Szara płaszczyzna frontowej ściany stopiona w zabudowę tego drugiego rynku, wyżej położonego i mniejszego. Dlaczego chciało się wejść do tego nie zachęcającego urodą wnętrza? Bo chciało się. Żaden z pobliskich kościołów, a było ich po drodze z Teatru ile? – na pewno trzy, choć po drodze niekoniecznie prostej – tak nie oddziaływał. Dlatego, że była

tu pierwsza w diecezji Kaplica Wieczystej Adoracji? O czym dowiedziałam się sporo później. Dlatego? Bo coś tu takiego było, w tej świątyni, najmniejszej z pozostałych, całej jawnej, jasnej, a więc nie wpływającej na wyobraźnię tajemniczością cienia?

Tu dawało się słyszeć, niesłyszalne. Bicie serca.

Teatr to rozpusta, pijaństwa, orgie i inne artystyczne wyuzdaństwa. A tu kierownik literacki (były): wraca samotnie. Do Teatru. Po mszy św. i komunii. W intencji ducha.

„Nic mi nie zrobisz, bo wiesz, że ci dobrze życzę i wracam do ciebie, wiedząc o tobie. I nie boję się ciebie, Choćbym to miała sobie bez ustanku wmawiać.”

Był, nie da się ukryć, był. Obecność odczułam już w pierwszych drzwiach, tych do skrzydła pokoi gościnnych. Nieprzyjemnie, że światło znajdowało się dopiero przy kuchni i te kilka metrów przechodziło się w ciemnościach. Zadusić wyobraźnię, ukreślić jej łeb, stłamsić, nie dopuszczając... Wieczny odpoczynek... Już. Jasno. Jednak obecność trwała nadal.

Doszliśmy do drzwi mojego pokoju i – tu się pożegnał.

No dobrze, przywitał, to niech teraz odprowadzi. Nie będę tu siedzieć z tym wszystkim, co się dziś we mnie kotłuje. Do Sławka i Jadwigi!

Odprowadził.

Sławka wreszcie odblokowało. Jadwigę jeszcze bardziej. „Nie musisz tam wracać, możesz u nas spać”.

A jużci. Raz, pierwszy raz stchórzyć, to stchórzyć już na zawsze. Właśnie dziś muszę tam wrócić. Choćby po nocy. I muszę wrócić sama, tak przecież będę wracać.

Jeszcze był trudny moment, gdy Sławek zapytał, takim rozchwianym dykcynnie głosem:

– Ty mieszkasz... w tym ostatnim pokoju?

– Przedostatnim. A... – moja dykcja też się zachwiała – on?

Co za ulga! On mieszkał w ostatnim. Na pewno, bo to był narożny pokój, ten jego. Ulga, że ludzie w Teatrze, z Teatru, nie doświadczyli mnie tak – okrutnie. Dali mi pokój – obok. Lepszy. Z dwóch możliwych do wyboru. W następnych poskładowano umeblowanie z tych oddanych miastu

mieszkań. Meble były na tzw. stanie teatralnym, tu musiały wrócić do rozliczeń.

Dla Sławka to też była chyba ulga, że nie firmował, jako dyrektor (były) mojego aż tak krańcowego doświadczenia.

– I gdyby się ten bałwan nie zdradził...

– I tak coś podejrzewałam. Ty też byłeś niewyraźny. Wszyscy tacy spłoszeni, gdy o moim zamieszkanu tam była mowa, i przy wręczeniu kluczy, i – nie wiem – unikaniu mnie? W każdym razie braku zainteresowania, jak mi się mieszka, braku chętnych do odwiedzin. Dziewczyny z księgowości, taki kwadrans na pewno mogły urwać, przecież po jakimś czasie mózg przestaje pracować i trzeba dać mu odsapnąć. Blisko miały... A tu nic. I przecież wiesz, że czułam coś dziwnego...

– I nadal czujesz? – oczy Jadwigi zabłyśły.

Tu się zamknęłam. Duch i ja to była zbyt delikatna sprawa, żeby opowiadać. Wszystko w tej nie-materii brzmiało śmiesznie, wymówione. I było nielojalnością wobec niego.

„Ja to przeżywam, a dla ciebie – sensacja. Nic z tego. Może ci też kiedyś będzie dane, a skoro nie, to proszę: włącz telewizor, obejrzyj film grozy.”

Wróciłam. Asysta czekała. Dobranoc przy drzwiach pokoju. To co, już się dziś nie myć? Ileż mnie kosztowało, zdecydować się na zmycie tego zapoconego strachem i emocjami dnia z siebie! Bo może będzie miał dość moich spacerów i zakłócania mu spokoju? I....!?!?

Tymczasem był chyba wyposzczony osamotnieniem, bo ochoczo czekał przy drzwiach. „Czy ty przed nimi stróżujesz?” – aż mi się chciało go zapytać, natychmiast uzupełniając: „Tylko się nie obraż”. Wszystko w myślach, rzecz jasna, tylko w myślach. Żeby odpowiedzi nie było.

Zrozumiałam, że przebywa u siebie, tylko potrafi się tak natychmiastowo przemieszczać. Porządny, do łazienki się nie pchał.

„I właśnie, że zasnę.”

Choć drzwi od środka nie można było zamknąć na klucz, tylko od zewnątrz, zamek miał defekt.

„Zasnę. Dobranoc. Wieczny odpoczynek...”

W przedobudzeniu wraca rzeczywistość, w której

zasnęłam. Pokój. Pokój był ohydny. Bury i starociowaty. Uwłaczająco. Czemu uwłaczał? Poczuciu estetyki? Też. Ładu? Też. Przyzwoitości.

Bo: podłoga to wypaczone deski z obłazącą brązową farbą. Chodziły razem ze mną, jęcząc i skamłąc. Szafa. Śmierdziała przenikliwie, mdląco i nie do odwonienia. Prawdopodobnie był to cuch biedy, bo bieda pachnie wstydem. Po przekroczeniu tej swojej granicy, która pozbawia człowieka godności. (Gdy kleci się jakiś sprzęt z desek nadających się tylko do spalania, zmurszałych, wyrzuconych przez kogoś na śmietnik. I jeszcze się majsterkowaniem szczyci: proszę jaki jestem zaradny.)

Chyba ktoś ukradł szafę z wyposażenia, zastępując ją tym – ścierwem meblowym, które wybrukowano (do pokoju gościnnego dobra). Rozkładało się to i na węż, i na oko. Drzwi zamykało dopiero przyparcie krzesłem. Zapowietrzyć w niej te moje pięć ciuchów na krzyż? Zrezygnowałam z wnętrza szafy, obwieszając ją na zewnątrz.

Ściany były buroróżowe. Sufit szary. Łóżko żelazne. Z materacem, który na nim leżał, jakby się wstydził własnej wåtłości. Nocna szafka (wolałam jej nie otwierać, znów zaduch buchnie), której tylko blatu używałam, dopełniała całości.

W tym półśnie przypomniało mi się mieszkanie Brygidy, kiedy poszła do niej komisja z księgowości wycenić meble. Chciała je nabyć od Teatru w ramach tej likwidacji. Skoro już u niej były, wypożyczone, a okazały się przydatne, to po co się pozbywać, wbrew przyzwyczajeniu i kupować nowe? Logiczne. W komisji brakowało jednej osoby, więc mnie poproszono.

Nie zapomnę. Rozpaczy i wstydu, jakie tam przeżyłam, z czego sobie chyba nikt poza mną nie zdawał sprawy.

Brygida zaczynała się starzeć. Życie miała ciężkie. Oboje z mężem przeżywali je pracowicie, na etatach i poza nimi, bo w dodatku uprawiali ogród działkowy. Brygida świetnie piekła i wszystkie – nie uczyły, to za wielkie słowo, ale coś w rodzaju przyjęć z okazji premier i świąt w Teatrze, były jej dziełem.

Mieszkali... W zagraconych norach. Brudnych brudem wżartym w ściany i meble, a słowo „szmaty” oddaje treść

reszty wyposażenia. Kolor i wiotkość szmat miały wiszące w oknach zasłony, koce na barłogu (to właśnie była wersalka, którą chciała kupić), dywan, czyli płaczące się pod nogami niebezpieczeństwo. Buro-szare, z odchyleniami w stronę brązu, czerni, różu. Ściany były równie brudnoróżowe, jak w moim teatralnym pokoju, sufit równie szary. Szafa z tej samej rodziny. Również przewidziana do kupienia.

Zaniżałam wycenę, ile mogłam, czekając na zdroworozsądkowe stwierdzenie: po określonym czasie następuje amortyzacja sprzętu i traci on wartość. Nie doczekałam się. Kobieto! Powinni ci dopłacić, że zgodziłaś się pozbawić Teatr rupieci. Przecież wywóz śmieci kosztuje!

Brygida ubrana w sposób kolorystycznie i fakturowo zgodny ze swoim mieszkaniem, była gospodarna. Zastaliśmy ją w trakcie robienia powideł (owoce z działki). Słoiki przetworów zapełniały wierzch szafy. Powidła przynajmniej pachniały. Ładnie.

Bieda lubi zagrazone wnętrza. Ma wtedy złudzenie obfitości, czyli swego zaprzeczenia. Biedy nie stać na odnawianie. Wyciera, odkurza, poleruje i tym wgniała kolejne warstwy brudu w ściany, meble i podłogi, oszukując się, że to, co błyszczący, jest wyczyszczone. Bieda lubi kolory tzw. ochronne, bo „na nich nic nie znać”. Jej nie znać.

Bieda jest upokorzeniem, gdy nie potrafi sama do siebie się przyznać.

Jestem przecież równie, albo bardziej, biedna jak Brygida. Nie kupię żadnej starej rzeczy – ani okazynego mebla, ani okazynego telewizora ani okazynych zasłon. W moim mieszkaniu może być pusto, ale nie będzie w nim śmierdzieć. Są kwiaty. Są książki. Są trzy podstawowe meble. Kupione nowe. Tylko moje, dla mnie. Albo z domu, od rodziców, którzy je też kiedyś nowe kupili.

Rzeczy nasiąkają człowiekiem. Zwłaszcza te najbliższe, najbardziej osobiste. Nie było mnie stać na tapczan, to spałam na materacu z gąbki na podłodze. Będę siedzieć na pakach z książkami, ale nie połączę się na spróchniałe fotelisko, które ktoś wyrzucił. Po holendersku będę patrzeć na świat przez gołe okna, bez firanek. Czyste. A jeżeli to z sąsiedzkich powodów zbyt krępujące, będę głodować (spokojnie! tak szybko się z głodu nie umiera) i kupię firanki. Nowe.

Gdybym była bogata, mogłabym sobie pozwolić na kaprys kupna rzeczy używanych, nawet najbardziej osobistych, jak łóżko czy ubranie. Bogactwo naładowałoby mnie odpornością na rozmaite, także złe, wpływy. Ale będąc biedna? Wy-klu-czo-ne.

Ta sama rzecz jest inna, gdy co innego za nią stoi. Bury kolor, przykrywający pieniądze, jest dostatni, zakrywający niedostatek – łachmaniarski. Ciemno pomalowane ściany wewnątrz pałacowych oznaczają dyskrecję fortuny, która nie musi się starać o łatwy efekt. Woli cię, aby nie popisywać się swoją wyższością, oczywistą. Ciemna nora mieszkaniowa ujawnia, że lokatorów nie stać na farby. Zaniedbanie bogatego jest jego fantazją. U biedaka sygnalizuje, że poddał się, bo stracił nadzieję na odmianę losu.

W tym okrucieństwie rzeczywistości tylko fantazja jest ratunkiem. Bo fantazji nie można kupić. Można ją wynająć i wtedy w perfekcyjnie urządzonym przez dekoratora wnętrzu najbogatszy człowiek nie mieszka u siebie, tylko u dekoratora. Najgorsza (w wycenie) nora może stać się niezwykła i pociągająca. Chyba, że lokator postanowił zrobić sobie z niej trumnę. Wtedy niech o nią nie dba, nie odnawia, położy się w niej i koniec.

Z tą grą w fantazję radzi sobie teatr. Jego fantazją jest światło, przetwarzające w cuda i olśnienia stare szmaty, papiery, dyktę. Być może z tego wyciągnęła wnioski Brygida, pracownica techniczna od (z raportu komisji wyceniającej nabyte rupiecie) początku pracy zawodowej. Może uznała, że cud przemiany zdarzy się i u niej w domu? I przyzwyczała się do tego, co ją otacza, bezskutecznie na ten cud czekając? Przystając widzieć, w czym naprawdę mieszka? Widząc to samo co ja, całkiem inaczej, niż ja? Bo to jest JEJ DOM.

A jeżeli nie będę mieć ani grosza? Nawet na podstawowe potrzeby. Bez perspektywy zmiany na lepsze. Wtedy ukradnę. Jeszcze tego nigdy nie robiłam, ale ukradnę. Na chleb i na farby. Remontować będę sama. Żebrać ani prosić nie będę. I jeśli mnie złapią, co jest bardzo prawdopodobne, to na jakiś czas mi byt zapewnią. Stop! Dość. Proszę, abym nigdy nie musiała kraść. Jean Valjean to wspaniała postać, ale do czytania, a nie do wcielania.

Obudziłam się, wstrząsem tych ostatnich myśli.

Nowy dzień daje pewność: jakikolwiek, ale będzie nowy. Z całą pewnością, nie taki, jak wczorajszy. Nigdy i dla nikogo taki sam, zawsze nowy – jak świetnie, że bezkarnie można mówić te słowa, których mówić w życiu nie należy i że ta bezkarność jest dozwolona. Nigdy. Zawsze.

Wystarczy upojeń, choć do kompletu mam radość, że duch mnie nie zadusił. Śniadanie? Nie mogę jeść w pokoju. W tym wnętrzu najczystsza serwetka, talerz, szklanka wydają mi się brudne. Śpię przy otwartym oknie i pewno zaduch nieco zelżał, ale wiedziałabym to wracając ze świeżego powietrza. Będąc tu, nie wiem. Co poczułam wracając tu wczoraj? Też nie wiem. Całą siebie nakierowałam na ducha. Nos, jak się okazuje, także jemu służył.

Kuchnia. Rano, a on – jest? Inny, łagodny, słaby. Jakby dopiero teraz kładł się spać – tfu, jakby teraz odpoczywał. Jego obecność jest obecnością drzemiącego. Zostawił mnie w tej kuchni samą. Jakby nie chciał mi patrzeć w zęby. Czego nie znoszę („A co jesz? A dobre to? A daj skosztować. Fu! Jak możesz coś takiego! Bue!”) Gdy widzę przy jedzeniu takie latające i głodne ślepia, to dziękuję. Wtedy nie jem. Wystarczy, że człowiek pije. Kawa ze śmietanką, czy to nie wspaniałe śniadanie w takiej sytuacji?

Dlatego nie wyobrażam sobie siebie na wczasach, koncentrujących się wokół talerzy i obgadywań. Samotni dostarczają tematów, a ja jestem sama. Chwilowo nie: z duchem.

Któryś z kolejnych dni, nie tylko inny „na pewno” od poprzednich, ale z góry pełen przyjemności: jedziemy z Elą do lasu. Na duży spacer. Może jakieś grzyby? Może wrzos? Choć wrzосу podobno lepiej nie przynosić do domu, bo przynosi domowi nieszczęście. Nieszczęście przyszło przed wrzosem, nie jest domem pokój gościnny. Duchowi się może spodoba. Czy on kiedykolwiek był tu w lesie? Czy tylko: próby i woda?

Trzeba było pojechać pociągiem, boczną linią, do TEGO lasu. Bo był też las inny, do którego się szło na bliski spacer. W maju chodziłyśmy z Lidką „na konwalie”, jak cały Grudziądz. Było ich zatrzęsienie nieprzebrane. I ten zapach.

Ten, do którego jedziemy, to las „prawdziwy”, ciągnący się daleko, początek puszczy.

Co jest takiego w pojęciu „las”? To zbiorowisko drzew, przecież. Z towarzyszeniem runa leśnego, a to mchu, jagód...

Wystarczy wejść tam, gdzie jest las, a jest się w innym państwie. Przez całe te pół roku w Grudziądzu nie byłam tak bezinteresownie w pełni szczęśliwa, jak wtedy, wieczorem, kiedy wracałyśmy z Elą z naszej wycieczki. Szczęście po premierach (zrobiliśmy trzy, do mojego przyjścia Sławek, jeszcze z budżetem, też trzy, podobnie bankrut wciąż wraca myślami w przeszłość) było szczęściem umotywowanym.

Z Elą. Przecież ona mnie nawet nie lubiła. Jej zmysł sekretarki-urzędniczki bezustannie cierpiał, że mnie nie obowiązuje normowany czas pracy. Nie mogła się z tym pogodzić i tego mi wybaczyć, choć nie mogła też swoich pretensji wyrazić. Wszyscy kierownicy literaccy cierpią na taką urzędniczą ocenę, tylko nie do wszystkich ona dociera. Do mnie też nie powinna była dotrzeć.

Skąd więc ta propozycja? Nie chciało mi się w to wnikać. Ela też była szczęśliwa, to właśnie najdziwniejsze. Bo nawet niespecjalnie rozmawiałyśmy.

Cały dzień chodziłyśmy po lesie. Siadając, owszem, żeby zjeść kanapki i wtedy była zła, że tyle ich zostało. Miałam swoje, z żółtym serem, też nie zjadłam. A ona: jakiś wymyślny pasztet. Piętrowe ciasto. Nie z kremem, bo by się roztopił. Z owocami. Przemiękały. Poczęstowałam się, bo namawiała. Trochę. Zjeść coś tylko dlatego, żeby nosić to w żołądku, a nie w rękach? To jest logika dziecka z Bullerbyn. Żeby nie wieść z powrotem? Taka jestem cholera (cytat), że głuchnę na podobne argumenty. To nawet nie był zgrzyt. Miała za dużo i zabrała do domu. Choć w pociągu wmusiła w siebie ten pasztet: „on już chyba koloru dostaje” (dobra matka, dzieciom mogłoby zaszkodzić, a wyrzucić żal). Żal. Czego innego.

„Byłyśmy razem w lesie” – powiedziała Ela tuż przed moim odjazdem z Grudziądza. Westchnęła właściwie. Więc ona też zapamiętała ten dzień. Trudno go określić. To był i zapach, i wiatr, i powietrze: świeże, chłodne, ciepłe w nachodzących na siebie falach. To były i kolory, i kształty, i wszechobecność czegoś, co pozwala się przekonać, że piękno to nie tylko mrzonka, słowo lub efekt pracy artysty. Kogoś? Jeden bukiecik wrzосу wzięłam do pokoju. Drugi

wstawiłam do stoika po dzemie i dałam go na korytarz. Stał tam stół. Zabawne, skądś wiedziałam, że to Mu się podoba. Choć prawie natychmiast aromat tych gałązeczek zdławiła atmosfera murów, ale przynajmniej był taki moment, tuż przedtem. I został widok.

Wciąż, coraz spokojniej, rozmawiałam z Nim w myślach. „Gdybym miała pieniądze, jakiś naddatek, którego mogłabym się wyrzec, zamówiłabym ci mszę”.

O to mu chodziło? Czy wmówiłam sobie jakąś reakcję, której nie ma ze strony czegoś, czego nie ma, bo wariuję? Z samotności, to oczywiste. Może już zwariowałam, robiąc sobie z ducha towarzysza, tylko jeszcze taję tę chorobę? Bo przecież życie ma swoje prawa i nie wolno ich lekceważyć.

Właśnie. Nie lekceważę praw swojego życia i płacę za to pełną cenę, m.in. samotności.

Wiedziałam, że zgadłam, chciał tego, czego nie mogłam mu zapewnić. Zrozumiał i pogodził się z tym, że codzienna obecność na mszy i komunii św. w jego intencji jest wszystkim, co dla niego mogę zrobić. Może się łudziłam, że tego nikt nie obserwuje, ale nie chciałam oceny: dewocja z nadmiaru wolnego czasu. To już wolałam: fioł na punkcie spacerów (do kościoła było daleko). Chociaż jakie znaczenie mogła dla mnie mieć jakakolwiek ocena, tuż przed rozstaniem z tym miastem.

Nie miałam książek. Już teraz cieszyłam się na powrót do wszystkich stałych wypożyczalni. Teraz czytałam *Dialogi*, sporo było roczników dostępnych mi, o radości, i tak trafiam na scenariusz „Podwójnego życia Weroniki”. Kolejne: to, co niezapomniane.

Staralam się żyć na bieżąco. Dlatego eliminowałam odwiedziny u Sławków, bo oni, zwłaszcza Jadwiga, międlili wciąż to samo, umiędlone już do gołych włókien. „Jak to się mogło stać.”

Stało się.

Tylko Lidka nie pozwalała się zapomnieć. Sądziłam, że odruchowo mi ją przypomina każdy pobyt w kościele. Odruchowo, ponieważ Lidka była pobożna: niezwykle, w sposób nieopanowany. Głodny. Nic dziwnego, jej pobożność miała dopiero parę lat. Była nowością, z którą nie umiała się jeszcze oswoić i nie potrafiła jej zatrzymać dla

siebie. Było jej żal, że inni nie widzą tego, co ona zobaczyła. Apostolstwo ma w sobie zawsze coś z nawiedzenia i śmieszności, o ile wyraża się w słowach i w przekonywaniu. Niestety. Niestety ponowne, bo swoje obnażone, nadwrażliwe (była dobrą aktorką) nerwy zaoferowała do, Niestety po raz trzeci, zabawy swoim kosztem.

Lidki już tu nie ma. Wyjechała i tak jako niemal ostatnia z zespołu. Przykrość wspomnień z nią związanych miała mi ułatwić niepamiętanie. Bo czułam wstyd, gdy mówiła na tematy, na jakie rozmawiać nie mogę – jak się modli, jak odmawia różaniec. Nie mogę! Podobnie nie mogę mówić o tym, jak zachowuję się w trakcie kochania. Gdy jest miłość, w łóżku nie ma miejsca dla trzeciego. Podobnie w modlitwie, mówienie jest tym trzecim.

Mimo to wciąż widzę Lidkę. Czyżby to wpływ obu Weronik, niepojętym kluczeniem myśli uruchomił te obrazy?

Widzę ją wpadającą do Teatru po recitalu w mieście. Fascynująco piękną, bo makijaż w kameralnej sali musiał być upiększający, a nie podkreślający, jak na scenę. Jest więc wyzywająco, ale świetnie umalowana, ubrana w czerwoną wydekoltowaną sukienkę. Miłość, o której śpiewa, jaki może mieć symbol? Poza tym, że miłość jest kobietą? Właśnie czerwień, kolor płomienia, właśnie dekolt. Miłość, czyli uczucie, o którym śpiewa, to także ciało, które śpiewa. Dlaczego tylko zło ma być kusicielskie?

I słyszę ją też. Bluzgającą jak szewc w pijackim szale. Parę lat narzuconej pokory szczęło, Lidka jest rozjuszona krzywdą, jaka ją spotkała. Właśnie taka jest dla mnie nie do zapomnienia, ogarnięty furją anioł niszczący diabła. Bo te ryszotkowe klątwy nie były wulgarne w tym jej wykonaniu. Nie wiem, jak to możliwe.

Powód? Przez cały czas recitalu, a więc występu wymagającego najwyższej koncentracji, samotnego, jedynie z fortepianem, przedstawicielka Wydziału Kultury rozmawiała. Nie szeptem, skąd. Półgłosem. Z mężczyzną, koło którego siadła.

Być może mężczyzna był zainteresowany Lidką (w pełni zrozumiałe) zamiast panią, przedstawicielką... Więc trzeba pokazać tej aktorce! Likwidowanego teatru! – tej!... – że to co robi, nie zasługuje na uwagę! Podobnie, jak ona sama!

Przeszkodzić w pracy? W wypełnianiu swego zadania?

Masz rację, Lidka, najgorsze słowo tej podłogi dosięga. Przekleństwa to jak miecz w ręku anioła, z narzędzia zbrodni zmienia się w narzędzie sprawiedliwości. Anioła? Właśnie. Aktorskiego.

Występy Lidki w kawiarni teatralnej (a jakże, była taka, przez cztery miesiące, och, to przecież czwarta premiera – znów sygnał kalkulacji bankruta) był przyjmowany w milczeniu. Oddechy wstrzymane, kawa stygła, bo brzęk łyżeczki mógł zakłócić nastrój. A nie było selekcji widowni, uczniowie mieszały się ze studentami, pracownikami technicznymi, ich matkami, żonami. Z urzędniczkami też.

Już coraz mniej czasu bycia tutaj. Zaczął się wrzesień, ostatni miesiąc, niepełny.

Duch oswojony. Ze mną. Ja z nim. Przecież nikomu o tym nie mówię, że on cieszy się, gdy wracam. Zawsze jest przy drzwiach, gdy je otwieram. Korytarz wciąż ciemny, ale teraz to mi już nie przeszkadza. Później on siedzi (!) u siebie, ja u siebie. Dobrze ci tam, obok? Bo mnie dobrze.

Od czasu do czasu szłam jeszcze do księgowości. Blade były, wymordowane. Coś im tam usiłowałam pomóc, ale brak mi było wprawy. W dodatku każda pozornie niewinna pomyłka to były długie godziny szukania błędu i w rezultacie więcej kłopotu, niż pożytku. Lepsza już była nasza rozmowa. Dla nich – jakieś odprężenie, dla mnie – przypomnienie, że żywi też są w tym budynku.

Ciekawe, że choć również unikały wspomnień, w nieoczekiwanych uwagach pojawiała się Lidka. Wycena czerwonych kotar – pamiętacie jej sukienkę? Deszcz lał od rana – pamiętacie, jak śpiewała „Taki jasny dzień?”

Równie nieoczekiwanie, przy opowieści o chrzestnym, który przyjechał ze wsi, a łysy jest!, powróciło wspomnienie Aktora. Bo też łysy. Poza tym, jego jedna scenka, w dodatku niema, w której grał lokaja, to był majstersztyk.

Takie nic. Po prostu wychodził zza kulis. Tylko jak on to robił! Najpierw pojawiała się noga. Wytrzymywana pod kątem prostym akurat tak długo, żeby wszystkie oczy skupiły się na niej. Wtedy powoli druga, równie wysoko, równie wolno i łysy lokaj z ceremonialnie uniesioną tacą majestatycznie wkraczał na scenę. Dochodził, wręczał tacę,

odchodził i paradoks tego majestatu sprawiał, że brał dla siebie i zabierał ze sobą całą uwagę widowni, choć nie jemu tylko należą. „To reżyser” – Aktor nie silił się na skromność, tylko chciał być chyba sprawiedliwy. „Miał facet łeb. Ja tylko zrobiłem, co chciałem. Ech, reżyserzy”.

Pozegnam się z Duchem, już lada dzień. Mogłam go zrekonstruować: jak się nazywał, ile miał lat, jak wyglądał. Co grał. Ale – po co? Człowieka przecież nie ma. Duch jest ważny, a duch jest i bez tych wiadomości. Zaczęło się od wzajemnej nieagresji, a teraz jest niemal wzajemna sympatia. I życzliwe zainteresowanie. Mówię za siebie, bo co on może. Zaraz! Przestraszyć mnie, tak, to wciąż może.

Wystarczyłyby chyba rytmiczny skrzyp desek podłogi w pokoju obok, abym skórę zgubiła uciekając, nim dogoniłaby mnie świadomość tego, co robię. Jeszcze teraz, przy opanowanej nawykami sytuacji. Spokój od paniki dzieli granica – albo nie dzieli? I jedno może w każdej chwili stać się drugim?

„Nie straszysz mnie. A dlaczego nie chcesz stąd odejść? Nie pozwala ci – kto? Masz tu jakieś porachunki? Coś ci wiąże? Coś, co zrobiłeś? Czy tobie zrobiono? Znikniesz, gdy Teatr zostanie do końca zlikwidowany? To jest twoja zemsta na Teatrze, czy Teatru na tobie? Czy – twoja niezgoda na to, co się stało? Nie, nie odpowiadaj, tak pytam, więcej dla siebie, niż ciebie. I sama odpowiem. Że dla mnie jesteś dobry, bo zostałam skrzywdzona po drodze tego, co się dzieje, przypadkowo i niepotrzebnie i mnie żałujesz? To ci dziękuję”.

Na myślenie to ja tu miałam czas. Utrwaliłam, co już wiedziałam, ale może nie tak świadomie jak teraz.

Na kim mi zależy?

Na mężu – przyjacielu. Tak, zależy mi. Spokojnie, ale zależy. Bez uniesień, że to ma być ktoś, kto mnie bez reszty zrozumie, kto... kto... kto... Ani ja go nie rozumiem w taki absolutny sposób, ani on mnie. I nie o to chodzi. Przyjaźń, to od sprzyjania. Sobie wzajemnie. Śląskie „pszajesz mi” czyli „kochasz mnie” też od tego słowa wywodzę. To tylko nie ma być ktoś, z kim będziemy się zagłuszać telewizorem oraz zajmować, przy wymuszających naprzemienną uległość awanturach: gotowaniem, sprzątaniem, praniem jako podstawowymi treściami życia. Od tego samotność jest lepsza.

Jestem idealistką i nie będę tego mieć?

To nie.

Tylko co to za idealizm/ (niezyciowy) chcieć tego, co dobre, naturalne i normalne? Mogę tego nie mieć, ale nikt mi nie zabroni chcieć.

Można mnie potępiać, aprobując łapankę jako podstawową drogę prowadzącą do małżeństwa, na którą wstęp jest tylko dla młodych, a ja za stara jestem na takie pragnienia.

Phi. Nie sami młodzi na tym świecie. Młodość to zresztą czas zbyt okrutny, żeby mieć siły na drugiego człowieka, kiedy ze samym sobą człowiek nie umie sobie dać rady. I naprawdę, naprawdę nie wie wtedy, czego n a p r a w d ę chce. Choć fenomeny dojrzałości i u młodych, nawet i niezwykle młodych, się zdarzają.

Grudziądz jest miastem, którego nie przestanę błogosławić. Choć tak paskudnie się ze mną obszedł. Ale tak mnie odbił we właściwą stronę. Tym, niestety, kopniakiem. Różne są sposoby prostowania.

Miasto. Istnieje coś takiego jak duch miasta.

I to, że po klęsce wracam z nadzieją, to jest zamierzone, czy wbrew niemu?

Jest przegrana. Jest Grudziądz. I jest Duch.

I też ich już nie ma.

Zofia KLONOWSKA

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Wiersze

Mariusz BYLIŃSKI

MAPA I PUSTYNIA

Pustynia jest sucha i pusta.

To wie każde dziecko.

Gdy rozkłada mapę,
na mapie – pustynia jest żółta.

Pożytek z pustyni

można liczyć w litrach,

galonach, tankowcach,

rozpiętością skrzydeł odrzutowca,

gdy wlatuje w niebo.

I wtedy pożytek z pustyni

widać jak na dłoni –

pustynia jest wszędzie.

Człowiek na pustyni

szuka przewodnika.

Kładzie się na ziemi.

Przesypuje piasek. Gotów jest

przekopać pustynię rękoma,

łaknie, pragnie, tkwi

po uszy w pustyni

czyli w częścce siebie...

Anna FRAJLICH-ZAJĄC

Jestem idealistką i nie będę tego mieć?

To nie.

Tylko to co chcesz.

PONIŻEJ AKROPOLU

Nie uciekliśmy od sielskich krajobrazów –
bo ich nie było.

To dobrze.

Z nadmiaru wspomnień tylko tkliwość
i wieczne wygnanie
duszy z ciała.

Istnieją sposoby pogodzenia
bieli kamienia z błękitem nieba,
spadającej gwiazdy z falą przyływu,
radości z goryczą.

Uczymy się szybko.

Robimy setki fotografii
z kreską uśmiechu na każdej,
która trwałość obrazu tnie w poprzek
ironią.

Pod nimi podpisy zwięzłe i czytelne nie
jak treści naszych snów –
żadnych koszmarów i westchnień.

Umiar. Przede wszystkim umiar.

Wśród cnót pierwsza tolerancja –
zamyka usta przed słowem, przez co
dodatkowy łyk powietrza dodaje nam
lekkości.

I zwykły spacer ma przymioty lotu.
Bezboleśnie, zwiewnie odmierzamy kroki.
Szczypta pyłu na butach –
cały koszt wyprawy.

Mariusz BYLIŃSKI

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konradów 10, 100-000

Frankfurt/M 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Anna FRAJLICH-ZAJĄC

Florian SMIEJA

III SONANTE III

Archiwum polityczne

„...przecież powiadam, że się na niczym
innym nie rozumiem, tylko na miłości.” – Sokrates

„Uczta” Platona

1.
Odnalazło się odbicie
w srebrnym lustrze
przejmujące
niebezpieczne jak rana.

2.
Był Sokrates bardzo brzydki
i różnił
się od wszystkich
którzy go kochali.

3.
Słowo „dusza” znów pojawia
się w druku
znów zapomnę srebrne lustro
i odjadę.

4.
Nie rozumiem
o czym mówił Sokrates
nie pamiętam
czemu pił Alcybiades.

2 sierpnia 1999

Anna FRAJLICH-ZAJĄC

Florian ŚMIEJA

NIEPAMIĘTANIE

Za dużo mam na głowie.
by wszystko zapamiętać

retencja tego co było
wymaga zbytniego zachodu

przykładem choćby ten wiersz
układałem go we śnie

kiedy się przebudziłem
zostały z niego okrucy

jak niedostępna czasowo
sprawność komputerowa

dopuszczam niepamiętanie
za równą kompetencję

uważam że zawiera
niewiele mniej prawdy

Alzheimer żaden ani pusta głowa
po prostu rezygnacja z czujności

wszystkie odchyłki w normie
przepisowa arytmia

nieważkość zamiast grawitacji
fakty w swobodnym obiegu

osobom w pewnym wieku
jest z nim bardziej do twarzy.

Florian ŚMIEJA

Archiwum polityczne

Ekonomia równoległa w Europie Wschodniej

Przyczyny rozwoju i definicja

Ekonomia równoległa była do końca lat osiemdziesiątych, przynajmniej oficjalnie, fenomenem tylko niektórych państw ówczesnego świata kapitalistycznego oraz krajów rozwijających się. Kojarzyła się niejako automatycznie z działalnością mafii włoskiej, korupcyjnym rządem w Grecji lub handlem bronią i narkotykami w krajach południowo-amerykańskich i azjatyckich.

Pod pojęciem ekonomii równoległej rozumiana jest ta część gospodarki, która z różnych powodów nie jest uwzględniona w oficjalnych statystykach i tym samym nie przyczynia się do oficjalnego wzrostu dochodu narodowego.

Popularnym terminem dla określenia tego typu gospodarki jest w literaturze anglosaskiej *black economy*, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „szarą gospodarkę” bądź „szarą sferę” ekonomii. Niektórzy autorzy posilkują się innymi terminami, używając ich jako synonimy. Najbardziej adekwatnym pojęciem do omawianego zjawiska wydaje się być „ekonomia równoległa”, ujmującym ową problematykę globalnie i nie koncentrującym się jedynie na jej wycinkowych aspektach.

Bardzo rozpowszechnionymi rodzajami ekonomii równoległej są przestępstwa podatkowe, celne, przemyt i nielegalny handel, korupcja, pranie brudnych pieniędzy oraz wykonywanie nielegalnych, zabronionych zawodów.

Fenomen ekonomii równoległej nie narodził się z dnia na dzień w byłych europejskich krajach komunistycznych. Transformacja polityczna i gospodarcza w tych krajach była jedynie przysłowiowym „zielonym światłem” w rozwoju tego rodzaju systemu gospodarczego. Używam świadomie słowa „system”, bowiem w ciągu ostatnich dziesięciu lat ekonomia równoległa w Europie Środkowej i Wschodniej stała się zjawiskiem na porządku dziennym, ustabilizowała się i zdążyła wykształtować własną tradycję.

Korzenie ekonomii równoległej w omawianych krajach tkwią jednak w poprzednich systemach politycznych i gospodarczych. Przede wszystkim dyktatura komunistyczna z jej wypaczonymi konwencjami społecznymi doprowadziła do wykreowania pewnego typu schematów, charakterystycznych dla tego typu ekonomii w procesach gospodarczych. Przykładem może być tzw. własność społeczna, wytwór nomenklatury komunistycznej, nie mający nic wspólnego z realną ekonomią. Również nieuwzględnianie sektora usług w dochodzie narodowym prowadziło do wypaczeń i manipulowania finansami państwa. Polityka cenowa nie miała nic wspólnego z prawami popytu i podaży, co generowało przestępstwa finansowe dużego kalibru. Ciekawym przykładem ekonomii równoległej w epoce komunistycznej było funkcjonowanie kościołów (szczególnie Kościoła katolickiego w Polsce), nierzadko zwolnionych od opłat podatkowych i egzystujących na zasadzie „państwa w państwie”. Wreszcie nie sposób nie wspomnieć tzw. gospodarki ogródkowej w Rosji lub nieopodatkowanego handlu wszelkiego rodzaju towarami w Polsce i na Węgrzech. Przykłady można by mnożyć.

Po procesie transformacji politycznej na początku lat dziewięćdziesiątych i stopniowej zmianie stosunków własności w krajach środkowoeuropejskich, dokonały się tam przemiany i przewartościowania w ramach ekonomii równoległej. Czynniki generujące te zmiany związane były bezpośrednio z otwarciem granic, procesem prywatyzacji i źle funkcjonującym systemem prawno-administracyjnym w tym regionie Europy. Szara sfera gospodarki rozwijała i rozwija się dynamicznie (nie tylko) według motto: „co nie jest zabronione, jest dozwolone”.

Istnieją zasadnicze różnice w dynamice rozwoju nielegalnej gospodarki postkomunistycznej w krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Różnice w kształtowaniu się komunistycznego systemu gospodarczego i politycznego w poprzedniej epoce, mentalność społeczeństw, kodeksy postępowania, a także rozwój historyczny i tradycje demokratyczne lub ich brak w przeszłości tych państw, są ważnymi czynnikami, determinującymi kształt ekonomii równoległej w omawianych krajach.

Szczegółowa analiza rozwoju nielegalnego sektora we wszystkich krajach środkowoeuropejskich i wynikających z tego procesu implikacji dla gospodarki tego regionu nie jest w tym miejscu możliwa. Dlatego autor dokonał wyboru najbardziej charakterystycznych i reprezentatywnych spośród nich.

Ekonomia równoległa w Rosji

Rozwój ekonomii równoległej w krajach byłego Związku Sowieckiego uwarunkowany jest bezpośrednio rozwiązaniem jego państwowości i rozpadem tradycyjnych związków między poszczególnymi podmiotami gospodarczymi, byłymi republikami i regionami.

Nie bez znaczenia jest również rosnąca działalność kryminalna, jak również specyficzne, nie do końca ustalone, stosunki własności oraz niejasne układy między pracownikami i właścicielami środków produkcji.

Z pewnością należy stwierdzić, iż relikty systemu komunistycznego nie są decydujące w rozwoju nielegalnych komponentów w gospodarce posowieckiej. Już dzisiaj mamy tam do czynienia z zasadniczo nowo wykreowanymi mechanizmami ekonomicznymi i społecznymi. Dominują korporacyjne i monopolistyczne uregulowania, zaś jedyne, co pozostało z poprzedniej epoki, to charakterystyczny dla dyktatury komunistycznej biurokratyczny styl rządzenia. Państwo – jako przedstawiciel społeczeństwa – stało się swoistego typu korporacją, natomiast gospodarka narodowa stanowi jedynie część całego rynku z jego szeroką paletą zróżnicowanych interesów. Jest to niewątpliwie system

charakterystyczny dla okresu przejściowego z gospodarki socjalistycznej do wolnorynkowej, zdominowany panowaniem elementów pseudopaństwowych oraz pseudorynkowych form rządzenia. Przykładem są nowo powstające korporacje energetyczne, a także sektor finansowy, z jednej strony pozostające pod teoretyczną kontrolą struktur państwowych, z drugiej zaś strony zdominowane przez korporacyjno-biurokratyczne klany. Ów przedłużający się systemowy okres przejściowy doprowadził do wykreowania w Rosji nowych struktur ekonomicznych i społecznych, charakterystycznych dla ekonomii równoległej. Wykształciła się niewielka grupa społeczna, osiągająca olbrzymie zyski, zaś stagnacja tradycyjnego sektora państwowego prowadzi do zubożenia większej części społeczeństwa. W ten sposób doszło do zachwiania równowagi między oficjalną i nieoficjalną sferą gospodarki. Obecnie jest trudno stwierdzić, kto jest właściwym gospodarzem w Rosji, a już zupełnie niemożliwe jest definitywne rozróżnienie sektora państwowego od prywatnego. Pomieszanie form własności jest o wiele większe, aniżeli podają to oficjalne statystyki i środki masowego przekazu.

Typowe dla rosyjskiej szarej gospodarki są szczególnie nielegalne manipulacje bankowe i pranie brudnych pieniędzy. Owa przestępcza działalność gospodarcza wzięła swój początek już w 1987 roku, kiedy to rozpoczęto zakładanie pierwszych małych prywatnych przedsiębiorstw. Ich prawnoadministracyjny status był szczególnie korzystny dla nielegalnego przelewu pieniędzy z kiesy państwowej do prywatnej. Po wydarzeniach sierpniowych w 1991 roku podjęto w Rosji próby odnalezienia pieniędzy partyjnych. Poszukiwań tych zaniechano po serii tajemniczych morderstw na byłych członkach komitetu centralnego partii komunistycznej. Przypuszcza się, iż z pieniędzy byłej partii sfinansowane zostały w Rosji nowe struktury o charakterze komercyjnym, w tym głównie w sektorze bankowym.

Masowa prywatyzacja w Rosji, rozpoczęta w 1994 roku, doprowadziła rychło do prawie totalnej (blisko 70-procentowej) wyprzedaży własności państwowej i to po bardzo niskich cenach. Proces prywatyzacyjny dokonywał się „na szybko”, bez dokładnych szacunków cenowych, co stanowiło niewątpliwie przysłówiową „wodę na młyn” dla ekonomii

równoległej w tym kraju, zaś kto i na ile się wówczas wzbogacił, pozostanie na zawsze tajemnicą.

Obecna biurokracja w Rosji jest jednym z motorów nielegalnego obrotu gospodarczego. W rozmaitych urzędach pracuje *gros* urzędników, w których władzy leży „dać” lub „nie dać”. Na skutek różnic w dochodach, szansa na dodatkowy zysk motywuje ludzi do pracy w biurokracji, zaś niektóre źródła podają, iż około 80 procent rosyjskich urzędników jest skorumpowanych.

Granica Rosji, licząca ponad osiem tysięcy kilometrów, jest praktycznie otwarta dla nielegalnych praktyk eksportowo-importowych. W ten sposób znikają z tego kraju miliony ton ropy naftowej i metali kolorowych, gaz ziemny, a także broń i materiały radioaktywne, zaś korupcja i przekupstwo umożliwiają i wspomagają ową działalność przemytniczą.

Również pranie brudnych pieniędzy rozpowszechnione jest w Rosji na szeroką skalę. Deponowanie pieniędzy w bankach nie wymaga bowiem potwierdzenia ich pochodzenia. Oprócz tego ciągle jeszcze praktykuje się płacenie w gotówce, co w całym cywilizowanym świecie należy już dawno do przeszłości.

Podsumowując należy stwierdzić, iż bezpośrednią przyczyną rozwoju gospodarki równoległej w postkomunistycznej Rosji jest szybki i nieprzemyślany do końca proces prywatyzacji, który doprowadził z jednej strony do zakrojonych na szeroką skalę operacji spekulacyjnych i kryminalizacji gospodarki, z drugiej zaś strony przyczynił się do spotęgowania socjoekonomicznego różnicowania społeczeństwa. Dla jednych ekonomia równoległa stanowi możliwość szybkiego wzbogacenia się, dla drugich zaś jest ona jedynie szansą przeżycia.

Nielegalna sfera w polskim procesie gospodarczym

Utopią byłoby mniemać, iż Polska jest inna i lepsza od pozostałych krajów omawianego regionu. Mimo to należy stwierdzić, iż kraj nadwiślański jest dzisiaj demokratyczny, posiada solidny system polityczny, nową konstytucję i gospodarkę wolnorynkową. Więcej niż 70 procent udziału

w produkcji narodowym pochodzi z sektora prywatnego.

Mimo to, nielegalna sfera w procesie gospodarczym w Polsce w bieżącej dekadzie jest reakcją polskiego społeczeństwa na rosnące ubożenie, objawiające się przede wszystkim w spadku realnych dochodów, wysokich obciążeniach finansowych w tzw. oficjalnej gospodarce oraz wzrastającym bezrobociu i inflacji. Obok tych przyczyn o charakterze ekonomicznym, istnieją również motywy prawnopolityczne. Niestabilny system prawny, „dziurawe” przepisy celne i brak koordynacji w kontaktach z sąsiednimi państwami to tylko niektóre z nich.

Poglądy na temat ekonomii równoległej w Polsce są bardzo podzielone. Z jednej strony krytykuje się przestępstwa kryminalne, pranie brudnych pieniędzy, brak kontroli państwa w procesie gospodarczym i rosnące różnice w dochodach społeczeństwa. Z drugiej zaś strony wskazuje się na pozytywny aspekt szarej sfery gospodarki, będącej motorem rozwoju gospodarki i szansą wzrostu prywatnych dochodów, a tym samym podniesieniem poziomu życia niektórych warstw społecznych.

Z ekonomicznego punktu widzenia inwestycje w ramach ekonomii równoległej gwarantują w Polsce maksymalny zysk kapitałowy. Negatywnym aspektem tego zjawiska, z punktu widzenia ekonomii oficjalnej, są natomiast malejące dochody z tytułu podatków, ograniczenie formalnych zdolności produkcyjnych w państwie oraz hamowanie wydajności powszechnie uznanych podmiotów gospodarczych. Spadające zaufanie do państwa, jako organizatora życia społecznego i gospodarczego oraz krystalizująca się sieć kryminalnych stosunków gospodarczych, stanowią kolejny negatywny aspekt społeczny omawianego zjawiska.

Decentralizacja procesu prywatyzacji i źle funkcjonująca kontrola organów prywatyzacyjnych niewątpliwie sprzyjają rozwojowi ekonomii równoległej w Polsce. Nie można przy tym pominąć faktu, iż fenomenem polskiej szarej sfery gospodarczej jest przemysł rozwinięty na szeroką skalę, a generowany specyficznym geograficznym położeniem kraju.

Nielegalne podejmowanie pracy w Polsce stało się w ostatnich latach poważnym problemem, związanym bezpośrednio z dużym bezrobociem i niezdolnością oficjalnej

gospodarki do zagwarantowania nowych miejsc pracy. Podejmowanie nielegalnego stosunku pracy, szczególnie przez wykształconych ludzi młodych, staje się coraz bardziej powszechne. Dane szacunkowe oceniają kwotę nielegalnie zatrudnionych w Polsce na około jednego miliona.

Zakres ekonomii równoległej w Polsce jest bez porównania mniejszy, aniżeli w Rosji, co z jednej strony związane jest z zachowaniem państwowości po procesie transformacji, a z drugiej strony z pewnymi tradycjami demokratycznymi, które w Rosji są zupełnie nieznanymi.

Szara sfera gospodarki na Węgrzech i w Czechach

Ekonomia równoległa na Węgrzech ma bez wątpliwości najbardziej „ludzkie oblicze” w Europie Środkowej. Według różnych statystyk dochody z kryminalnej działalności oszacowane są na jedynie 5-6 procent w dochodzie narodowym, co stanowi w porównaniu z innymi krajami tego regionu niewielki odsetek. Podobnie w Czechach szara sfera gospodarki osiąga o wiele mniejsze rozmiary, aniżeli w Polsce czy w Słowacji, a pomijając zupełnie Rosję.

Zarówno Węgry jak i Czechy zdołały dość szybko uporać się z przeprowadzeniem reform gospodarczych i politycznych. W ten sposób należy też argumentować stosunkowo niski udział nielegalnego obrotu gospodarczego w ekonomii oficjalnej tych krajów. Poza tym udział ten przez cały okres lat 90-tych pozostawał proporcjonalny do wzrostu dochodu narodowego, co oznacza stabilizację nielegalnego obrotu w tych krajach.

W obydwu krajach najpospolitszą formą ekonomii równoległej są przestępstwa podatkowe. Na Węgrzech popularne są także manipulacje finansowe, a w szczególności bezprawne, pozakulisowe udzielanie kredytów. Na drugim miejscu jest nielegalne podejmowanie pracy, nie tylko przez obywateli tych krajów, lecz coraz powszechniej przez obcokrajowców. Spektrum nielegalnie wykonywanych zawodów jest szerokie, począwszy od pracowników sezonowych w rolnictwie, poprzez nierejestrowany handel wszelkiego rodzaju artykułami, a skończywszy na prostytucji. Nielegalnie

zatrudniani obcokrajowcy rekrutują się przede wszystkim z państw byłego Związku Sowieckiego.

Nielegalne „dorabianie” się jest zjawiskiem występującym we wszystkich grupach zawodowych i społecznych w tych krajach, zaś realne zarobki w obrocie równoległym są o około dwadzieścia procent wyższe od nominalnych.

Korupcja urzędnicza i handel narkotykami są zarówno na Węgrzech, jak i w Czechach konsekwentnie zwalczane. Oczywiście nie można w tym wypadku mówić o modelu zachodnim, lecz równocześnie byłoby błędem porównywać stan tych rzeczy z sytuacją w krajach byłego Związku Sowieckiego, Rumunii, Bułgarii czy krajów bałkańskich.

Obydwa omawiane kraje graniczą z różnymi pod względem poziomu rozwoju gospodarczego państwami, co generuje transakcje przemytowe we wszystkie możliwe strony. Na Węgrzech istnieją od 1994 roku pewne formy kontroli produkcji i importu towarów dzięki systemom komputerowym w urzędach celnych i podatkowych, zainstalowanych tam z pomocą OECD. W Czechach natomiast nie istnieje jeszcze jednolity system obowiązkowego plombowania i rejestrowania importowanych i eksportowanych towarów, co utrudnia znacznie kontrolę państwową handlu towarami typu kawa, napoje alkoholowe, tytoń i benzyna.

Przeprowadzenie strukturalnych reform społecznych w obydwu wymienionych krajach natrafia ciągle jeszcze na bariery, wynikające przede wszystkim z norm etycznych, według których oceniany jest z kolei ich polityczny i gospodarczy rozwój.

Ekonomia równoległa fenomenem okresu przejściowego?

Ekonomia równoległa w krajach Europy Środkowo-Wschodniej nie jest jedynie zjawiskiem przejściowym w tym regionie kontynentu. Jako ustabilizowana i w pewnym sensie zaakceptowana sfera gospodarki, posiada ona również pozytywne funkcje, szczególnie gdy tzw. oficjalna ekonomia nie spełnia swoich ustawowych zadań. Całkowita likwidacja szarej gospodarki nie leży w interesie ani jej aktywnych podmiotów, ani rządzących w tych krajach elit. Bardziej istotna wydaje się

natomiast stopniowa redukcja bądź też wyeliminowanie czynników kryminalnych z tej sfery gospodarki. Jedną z metod przynajmniej częściowej kontroli ekonomii równoległej stanowiłoby skonkretyzowanie prawa własności w omawianych krajach. W Czechach, Polsce i na Węgrzech osiągnięto w tym zakresie widoczne sukcesy. Zaś Rosja i pozostałe kraje byłego Związku Sowieckiego znajdują się ciągle jeszcze w powijakach, jeśli idzie o stabilizację stosunków własności.

Konkretne kryteria organizacyjno-prawne i gospodarcze, zawarte w nowo kształtującym się ustawodawstwie, stanowią kolejny nieodzowny warunek likwidacji negatywnych komponentów tamtejszej ekonomii równoległej.

Podkreślam jeszcze raz, iż nie chodzi tu o likwidację szarej sfery gospodarki lub poddanie jej całkowitej kontroli. Po pierwsze nie jest to realne ani możliwe ze względów technicznych, a po drugie gospodarka państwowa musiałaby przejąć rolę ekonomii równoległej, co obecnie przerasta jej możliwości. Przykładem mogą być nowo powstające i właściwie niefunkcjonujące kasy chorych w Polsce. Dodatkowo „koperciane” wynagrodzenie dla lekarzy jest nadal, mimo zmiany systemu politycznego, bardzo aktualne. Z punktu widzenia moralnego nie jest to zjawisko pozytywne, ale obecnie jest to jedyne efektywne rozwiązanie nabrzmiałego problemu, podkreślając fakt, iż państwo nie spełnia tu swojej opiekuńczej funkcji. Podobny proces można zaobserwować w wypadku pozostałych, przeprowadzanych na szybko, „bez ładu i składu” reform społecznych i gospodarczych, dobrze wyglądających jedynie na papierze, a stanowiących pole do popisu dla nielegalnego sektora, którego ingerencja staje się po prostu egzystencjalną koniecznością dla większości grup społecznych.

Doświadczenia krajów wysokorozwiniętych (w niektórych z nich ekonomia równoległa partycypuje do dziesięciu procent w wytwarzaniu dochodu narodowego) wskazują na fakt, iż korporacyjne i nie zawsze legalne formy systemu polityczno-ekonomicznego nie są szkodliwe, pod warunkiem, że nie posiadają komponentów kryminalnych i nie zagrażają demokratycznym formom rządzenia oraz poddane są przynajmniej częściowej kontroli państwowej lub samorządowej.

W ten sposób uzupełniają one, a nie zastępują istniejącego oficjalnego systemu gospodarczego. Wyżej dokonana analiza nie obejmuje oczywiście całości kształtu omawianej problematyki, która przez najbliższe dziesięciolecie nie straci z pewnością na swojej aktualności, a to głównie ze względu na jej dynamikę rozwoju.

Mirosław MATYJA

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87
od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Wywiady „Kultury”

Nie zaśniemy w PAN-ie!

(ROZMOWA Z PROF. DR. HAB. MED.
MIROSLAWEM MOSSAKOWSKIM,
PREZESEM POLSKIEJ AKADEMII NAUK)

Ewa NOWAKOWSKA: – *Został Pan prezesem PAN w czasach niesprzyjających nauce, zaś Akademii szczególnie niezycliwych. Projekt ustawy, którego celem miało być radykalne zreformowanie szkolnictwa wyższego i nauki, przewidywał odebranie placówkom PAN prawa habilitowania i wnioskowania o nadawanie tytułu naukowego profesora, zaś instytutom PAN – prawa prowadzenia studiów doktoranckich. Pod ciśnieniem środowiska nauki ministerstwo wycofało się z tych pomysłów, ale niepokój pozostał. Czy zna Pan ostateczną wersję ustawy, która musi być głosowana w Sejmie do połowy października?*

Mirosław MOSSAKOWSKI: – Nie, ale dokładam starań, aby zdobywać bieżące informacje. Jak Pani wie, również poprzedni projekt, a ściślej projekty były przez wiele miesięcy przedmiotem swoistej gry pomiędzy resortem edukacji narodowej a środowiskiem akademickim. Dowiadaliśmy się o nich w większości z ustnych przekazów: mniej lub bardziej oficjalnych, potwierdzanych lub dementowanych zależnie od miejsca i okoliczności. Sądzę, że wynikało to z mnogości kolejnych wersji. W efekcie gdy zgłaszaliśmy zastrzeżenia ministerstwo odpowiadało: „Uwagi są spóźnione – dotyczą projektu, który już jest nieaktualny”. Przypominało to nieco zabawę w kotka i myszkę, ale spowodowało pewien

dobry skutek. Zintegrowało środowisko nauki, na co dzień przegrodzone murami sztucznych podziałów. W obronie placówek Polskiej Akademii Nauk wypowiedziały się publicznie Rada Główna Szkolnictwa Wyższego i Konfederacja Rektorów Szkół Akademickich – instytucje nie zawsze dzielące nasz punkt widzenia.

E.N.: – *Burzenie murów pomiędzy nauką uniwersytecką, PAN-owską, instytutową i jakąkolwiek inną, jest ideą, której od dawna daje Pan wyraz w słowach i konkretnych staraniach.*

M.M.: – To niby oczywiste, że nauka jest jedna i że nie miejsce zatrudnienia, tylko talent i pracowitość, mierzone osiągnięciami, powinny budować autorytet uczonego i decydować o zdobywaniu stopni i tytułów naukowych. A jednak mury, wzniesione w Polsce pomiędzy tzw. pionami nauki ciągle stoją i bywają wykorzystywane w różnych grach, nierzadko politycznych. Przeciwstawia się uczelnie Akademii, kreuje konflikty interesów między instytutami resortowymi a PAN-owskimi. To szkodzi całemu środowisku. Przyjmując funkcję prezesa PAN uznałem za swój główny cel integrację środowiska naukowego. Niemałą rolę przypisuję tu Akademii z racji jej ponadresortowego składu i reprezentatywności.

E.N.: – *Karkołomne zadanie. Od dziesięciu lat trwają próby likwidacji Polskiej Akademii Nauk jako dziecka z nieprawego łoża – rzekomego bliźniaka sowieckiego modelu organizacji nauki. Wewnątrz PAN funkcjonują podziały na MY czyli pracownicy placówek naukowych i ONI czyli korporację uczonych wraz z wyłonionym z niej kierownictwem Akademii. To główne, choć nie jedyne pułapki.*

M.M.: – Rzeczywiście, stale jesteśmy atakowani z powodu naszej genealogii, którą symbolizuje data powołania Akademii – 1951 rok. Prawda jest jednak taka: po wojnie środowisko nauki było zdziesiątkowane, a warsztaty badawcze zniszczone. Wybitni uczeni, którzy przetrwali i spotkali się w zniszczonym kraju, dążyli do jak najszybszego odbudowywania struktur i zasobów nauki. Powstanie PAN było wówczas taką

szansą i dobrze, że z niej skorzystali, realizując zresztą dążenia uczonych z okresu międzywojennego do stworzenia ogólnokrajowej instytucji. Stawianie współczesnej PAN zarzutu, że pół wieku temu wzorowano ją na sowieckim modelu organizacyjnym jest co najmniej śmieszne. Nasze instytuty są od dawna odpowiednikami sieci takich placówek badawczych, jak CNRS we Francji, federalne placówki w USA lub instytuty Maxa Plancka w Niemczech. Czy wymienionych należy także podejrzewać o radzieckie miazmaty?

E.N.: – *Niektórzy pamiętają Akademii to, że była centralnym urzędem w nauce.*

M.M.: – Była, ale czy kiedykolwiek faktycznie pełniła taką rolę? Na podstawie moich wieloletnich doświadczeń – nie. Ideowym zwolennikom demokracji i przeciwnikom centralizacji w zarządzaniu nauką chciałbym zwrócić uwagę na wprowadzoną ostatnio ustawę o działach (gospodarki – przyp. E.N.) Wbrew ustawie o Polskiej Akademii Nauk i bez konsultacji z nami, ten równoległy akt prawny oddaje Polską Akademię Nauk pod nadzór ministra odpowiedzialnego za naukę. Ten, kto nim będzie, ma sprawdzić, czy prezes PAN działa zgodnie z przepisami ustawy o PAN, która nie przewiduje podobnej zależności. Wybranego przez środowisko prezesa Akademii powołuje premier, on także przyjmuje sprawozdania z naszej działalności i tylko on może je kwestionować.

E.N.: – *Aby ułatwić zrozumienie tej kompetencyjnej ekwilibrystyki, opiszmy, czym jest i jak działa Polska Akademia Nauk.*

M.M.: – Jesteśmy państwową instytucją naukową, która służy rozwojowi, promocji i upowszechnianiu nauki oraz rozwojowi edukacji i wzbogacaniu kultury narodowej. Akademia składa się z samorządnej korporacji uczonych, której skład i organy – Zgromadzenie Ogólne oraz Prezydium – pochodzą z wyborów, oraz z części badawczej czyli placówek naukowych o liczącym się potencjale naukowym i nierzadko unikalnym majątku w postaci zbiorów, archiwów oraz aparatury. Ich podstawowym zadaniem jest prowadzenie badań

o charakterze międzydiscyplinarnym, wymagających dużych zespołów i zróżnicowanego warsztatu naukowego. Korporacja skupia 340 członków krajowych i 209 zagranicznych. W ponad 80 placówkach badawczych zatrudniamy ok. 4 tys. pracowników naukowych o najwyższych kwalifikacjach zawodowych. Jesteśmy największym środowiskiem naukowym w kraju, skupionym w jednej organizacji. Jeśli ktoś mówi MY i ONI to wprowadza sztuczne, konfliktujące podziały nie tylko wewnątrz Akademii, ale w całym środowisku nauki. Czym bowiem jest Zgromadzenie Ogólne PAN? To przedstawiciele wszystkich trzech pionów nauki, wybrani w demokratycznych wyborach o wysokim procencie kwalifikacyjnym. Proporcje każdego ze środowisk są następujące: 70% członków Zgromadzenia stanowią przedstawiciele wyższych uczelni czyli nauczyciele akademicki, ok. 10% przedstawiciele instytutów resortowych i ok. 20% pochodzi z placówek Akademii. Jest to pełna reprezentacja środowiska, ogromny potencjał intelektualny, po prostu *cream of the cream*.

E.N.: – *A jak wygląda dorobek naukowy placówek badawczych PAN na tle dorobku całej polskiej nauki?*

M.M.: – Pracownicy instytutów PAN stanowią mniej niż 10% kadry naukowej w kraju, ale ich publikacje naukowe w liczących się na świecie czasopiśmie naukowych (z tzw. listy filadelfijskiej i innych) tworzą ponad 20% polskiego dorobku. To znaczy, że 10% środowiska tworzy więcej niż jedną piątą prestiżowych publikacji naukowych. Duża w tym zasługa Rad Naukowych naszych instytutów, które są znakomite dzięki systemowi naboru członków: oprócz własnych pracowników należą do nich obligatoryjnie uczeni z zewnątrz. Zilustruję to przykładem z farmakologii. Nawet w dużej Akademii Medycznej w Radzie Wydziału jest najwyżej kilku farmakologów. W Instytucie Farmakologii PAN w Krakowie mamy ich ponad dwudziestu – w tym wszystkich z liczących się środowisk akademickich, łącznie z Collegium Medicum (w Krakowie AM połączyła się z UJ – przyp. E.N.). Jest to ciało najbardziej kompetentne do nadawania stopni naukowych i do oceny pracowników, kandydujących do tytułu profesora.

E.N.: – *Projekt odebrania tych uprawnień placówkom Akademii świadczyłby więc o niewiedzy na temat ich kadry, dorobku i systemu funkcjonowania.*

M.M.: – Nie chciałbym wracać do tego tematu, ponieważ projektodawcy zmienili stanowisko. Projekt ustawy powstał z chęci szybkiego – nazbyt szybkiego – zwiększenia kadry pracowników naukowych, ponieważ brakuje wykładowców w ciągle powstających szkołach wyższych. Wynikało stąd potencjalne zagrożenie dla poziomu środowiska. Sam dostrzegam potrzebę skrócenia drogi rozwoju naukowego, złości mnie rozciągnięte w czasie dochodzenie do samodzielności badawczej. Jednak nadmierne przyspieszenie możliwe jest tylko poprzez obniżenie kryteriów wymagań. Stąd też jestem gorącym przeciwnikiem „rozmydlenia” warunków uzyskiwania stopni i tytułów naukowych, awansów za „całokształt działalności” i zamiaru przesunięcia wszystkich decyzji kadrowych na szczebel uczelni. Odnoszę się z głębokim szacunkiem do środowiska akademickiego, ale uczelnie mamy różne. Im słabsze, tym bardziej potrzebują rozmnożenia kadry i zrobiłyby to kosztem obniżenia poziomu. Powstanie ponad stu wyższych szkół prywatnych, które działają poza systemem akademickim, pozyskują kadre przez podkupowanie z uczelni państwowych i czerpią niemałe korzyści finansowe stąd, że uczelnie państwowe nie są w stanie pomieścić młodzieży z wyżu demograficznego – wymaga nowej regulacji prawnej. Nie mieszajmy jednak do tego nauki, nie deprecjonujemy procedury uzyskiwania stopni i tytułów naukowych! Jeśli profesura ma być wyłącznie stanowiskiem uniwersyteckim, takim jak asystent, adiunkt – to ja się do tego nie wtrącam. Jeśli jednak utrzymujemy *status quo*, tzn. profesura pozostaje tytułem naukowym, to poziom wymagań musi być utrzymany, a nawet podwyższony. Profesorowie i docenci, którzy mają prawo wykładania – *veniam legendi* – to powinni być najznakomitsi przedstawiciele środowiska. Nie można ich „wyprodukować” mocą pospiesznej ustawy.

E.N.: – *Kilka z instytutów PAN także powołało niepaństwowe wyższe uczelnie, które – jak np. Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej – cieszą się ogromnym zainteresowaniem*

kandydatów i reprezentują wysoki poziom. Czy sprzyja Pan tym inicjatywom?

M.M.: – Dlaczego by nie, skoro dobrze sobie radzą i skutecznie wypełniają lukę edukacyjną? Jednak postulowany przez różne środowiska pomysł sfederowania tych szkół w „Uniwersytet PAN” uważam za chybiony. Zarówno potencjał kadrowy Akademii, jak i posiadana baza zobowiązują nas, moim zdaniem, do postawienia sobie poprzeczki wymagań znacznie wyżej. Uczeń z Akademii powinien szerzej włączyć się do działalności edukacyjnej, ale naszą domeną powinny być studia podyplomowe czyli kształcenie elity intelektualnej, wyselekcjonowanej spośród najlepszych absolwentów uczelni. Na przykład w środowisku warszawskiego Campusu na Ochocie, gdzie skupiły się nasze instytuty przyrodnicze i medyczne, dyskutujemy od dawna nad koncepcją podyplomowej szkoły biologii molekularnej i pokrewnych nauk. Byłyby to studia trzyletnie, prowadzące do uzyskania specjalizacji, potwierdzonej certyfikatem zaliczenia kursów z określonego obszaru wiedzy, np. biologii molekularnej, genetyki, neurobiologii. Najambitniejszym stworzymy szansę zrobienia w tym czasie doktoratu. Niemal każdemu studentowi możemy zapewnić własnego opiekuna naukowego czyli tutora, który będzie go tak prowadził, jak w najlepszym uniwersytecie brytyjskim. W naszych instytutach studenci znajdują bardzo dobre laboratoria, nierzadko górujące nad uczelniami.

E.N.: – *Słyszałam o pomysłach stworzenia polsko-amerykańskiej uczelni, gdzie naszą stronę reprezentowałaby właśnie Akademia.*

M.M.: – Prowadzimy w tej sprawie rozmowy z Drexel University w Filadelfii, naszym potencjalnym partnerem. Uczelnia byłaby zorganizowana wedle systemu i programów amerykańskich, takie też uprawnienia dawałaby absolwentom. Oferowalibyśmy studia w zakresie zarządzania, menedżmentu i ochrony środowiska, z czasem doszłyby także nauki ścisłe. Polsko-amerykański uniwersytet byłby zlokalizowany w Jabłonnej k/Warszawy, w sąsiedztwie należących do PAN zabytkowych obiektów.

E.N.: – *Mówimy o tych planach tak, jak gdyby Akademia nie przeżywała większych problemów, nękających polską naukę.*

M.M.: – Projekt ustawy, o którym zbyt dużo już tu mówiliśmy, był jak koza w znanym żydowskim dowcipie. Kozę wyprowadzono i odetchnęliśmy z ulgą, choć przecież wszystkie narosłe wcześniej problemy pozostały. Chyba największym zagrożeniem dla naszych placówek jest głęboka luka pokoleniowa i zbyt zaawansowany wiek znacznej części wysoko-kwalifikowanych pracowników. Mamy znakomite instytuty, gdzie średnia wieku tej grupy zbliża się niebezpiecznie do sześćdziesiątki, a młodych naukowców, rozpoczynających pracę, jest kilku, najwyżej kilkunastu. Oni nie zapewnią przetrwania tych placówek! Prawidłowa struktura kadrowa powinna mieć kształt trójkąta, gdzie podstawę tworzą najmłodsi. To się odwróciło m.in. z powodu żenująco niskich zarobków w nauce i obniżenia atrakcyjności zawodu uczonego. Są jednak i korzystne zjawiska, np. Instytut Biochemii i Biofizyki lub Instytut Biologii Doświadczalnej PAN mają liczne zespoły młodych adeptów nauki. W Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej mógłbym zatrudnić dowolną liczbę młodych pracowników, gdybym miał więcej etatów. Utalentowana i ambitna młodzież wie, do jakich dziedzin nauki należy przyszość i zdolna jest do wyrzeczeń, byle znaleźć się w centrum najważniejszych wydarzeń, takich, jak badania mózgu czy poznawanie tajemnic kodu genetycznego.

E.N.: – *Dla patrzących z zewnątrz symbolem Akademii są mocno wiekowi panowie o wytwornych manierach i konserwatywnych poglądach, oderwani od bieżących wydarzeń. Kiedyś usłyszałem o profesorze X: „Zasnął w PAN-ie” co miało oznaczać, że po otrzymaniu członkostwa Akademii spoczął na laurach i wycofał się z twórczego, aktywnego życia.*

M.M.: – Szczęśliwie złośliwość ta rzadko znajduje potwierdzenie w faktach. Przekornie powiedziałbym, że wszystkim Akademiom przystoi pewien konserwatyzm, skoro mają przenosić tradycyjne wartości nauki i etosu uczonego. Zarazem każda Akademia – skupiając wybitnych przedstawicieli wszyst-

kich dziedzin nauki – ma prawo i obowiązek publicznego zajmowania stanowiska w ważnych dla kraju sprawach: przedstawiania opinii, ekspertyz i prognoz. Polska Akademia Nauk robi to także, chociaż z różnym powodzeniem. Rolę zbiorowego eksperta – obok Zgromadzenia Ogólnego – spełnia ponad sto Komitetów Naukowych Akademii, które skupiają ok. 4 tys. uczonych, reprezentujących całe środowisko. To właśnie sieć Komitetów, rozszerzających bazę intelektualną Akademii, stanowi jedno z podstawowych ogniw działalności. Ich zadaniem jest rozwiązywanie specjalistycznych problemów, najistotniejszych z punktu widzenia rozwoju życia społecznego, kultury i gospodarki. W ubiegłym roku Komitety wykonały 32 duże ekspertyzy naukowe i wydały 210 opinii.

E.N.: – *Znam kilka bardzo rzetelnych opracowań Komitetu Prognoz „Polska w XXI wieku”. Przygotowali je wybitni uczeni z niekwestionowanym dorobkiem. Jednak na praktykę podejmowania politycznych decyzji, np. w sprawach reform, te opracowania nie mają wpływu.*

M.M.: – Może jesteśmy za mało aktywni w prezentacji i nagłaśnianiu swoich opinii? Zbyt układni, podczas gdy dzisiaj trzeba być agresywnym, aby przebić się i zaistnieć publicznie? Prezydium PAN jako pierwsze złożyło kilka opinii w sprawach ważnych dla nauki i rozwoju kraju, ale media tego nie zauważyły. Może tzw. statystyczny wyborca za mało o nas wie i dlatego politycy uważają, że ze środowiskiem nauki nie muszą się liczyć? Malejące nakłady budżetowe na naukę mają bezpośredni związek z niedocenianiem jej sprawczej roli w procesie transformacji. Obecnie są one ponad dwukrotnie niższe w stosunku do zamożności społeczeństwa.

Ale zamiast narzekać, chciałbym raczej zwrócić uwagę na podejmowane przez środowisko Akademii próby wypracowania nowego systemu organizacji i finansowania badań w Polsce. Wstępne propozycje w tym zakresie przygotowali nasi członkowie Michał Kleiber i Bogdan Marciniak. Wiemy, że korzystne przemiany w Wielkiej Brytanii rozpoczęły się po opublikowaniu „Białej księgi”, zawierającej dokładną analizę organizacji, finansowania i zarządzania nauką. Wynikiem naszych prac mogłaby być „Biała księga nauki polskiej”.

E.N.: – *Nie zaśniecie w PAN-ie?*

M.M.: – Podczas mojej prezesury na pewno nie! Jak już mówiliśmy, moją fikcją jest integracja środowiska nauki wokół rozwiązywania konkretnych, ważnych problemów badawczych. Wychodzenie z zamkniętych klatek instytutów i wydziałów, usuwanie murów pomiędzy tzw. pionami nauki czyli PAN-em, uczelniami i instytutami resortowymi. Między innymi chciałbym, korzystając z programu Centrów Doskonalenia PHARE, tworzyć środowiskowe zespoły badawcze z wykorzystaniem całego potencjału Campusu na Ochocie, gdzie mieszczą się zarówno instytuty PAN-owskie, jak i uniwersyteckie. Porozumiewaliśmy się już na ten temat z prof. Piotrem Węgleńskim, nowym rektorem Uniwersytetu Warszawskiego, chcemy także włączyć Akademię Medyczną. Kolejną moją fikcją jest promowanie nauki polskiej w świecie i współpraca z sąsiadami – zwłaszcza na Wschodzie.

E.N.: – *Czy powstaną nowe stacje naukowe Polskiej Akademii Nauk za granicą?*

M.M.: – Tak, mamy bardzo zaawansowane przygotowania do otwarcia nowej stacji w Berlinie. Jesteśmy jednak pragmatyczni i mierzymy zamiary wedle sił, rozpoczynając od tworzenia przedstawicielstw PAN w Akademiach krajów ościennych. Sądzę, że już w pierwszym kwartale przyszłego roku otworzymy takie przedstawicielstwa – zaczątek przyszłych stacji – w Kijowie i Mińsku. Znaczenie placówek już istniejących i tych planowanych naprawdę trudno byłoby przecenić. Wyjątkową rolę od lat odgrywa stacja w Paryżu, której w jakiejś mierze zawdzięczamy rozwój humanistyki polskiej po 1956 r. Stacja w Wiedniu, po przejęciu jej przez prof. Franciszka Gruczę, także rozwija się bardzo dynamicznie, obejmując swoimi wpływami cały obszar niemieckojęzyczny. Stacja w Rzymie jest przede wszystkim biblioteką polską, ale także miejscem odczytów, seminariów naukowych i prac badawczych. Nigdy nie lekceważyliśmy strategicznego znaczenia kontaktów ze wschodnimi sąsiadami – wszystkimi, chociaż współpraca przez długie lata odbywała się *via* tzw. duża Akademia Nauk Związku Sowieckiego. Z pewnością

naszym strategicznie najważniejszym partnerem pozostaje Rosyjska Akademia Nauk, przy której już przeszło dwa lata temu utworzyliśmy przedstawicielstwo PAN. Reprezentuje nas prof. Adam Urbanek, wybitny paleontolog, od dawna współpracujący z miejscowymi środowiskami naukowymi.

E.N.: – *Jakie są subtelności kontaktów naukowych z naszymi nowymi sąsiadami na Wschodzie?*

M.M.: – Można powiedzieć, że Akademia działała tutaj z politycznym wyprzedzeniem. Już w latach 80-tych pozawieraliśmy bezpośrednie umowy o współpracy z Akademiami Nauk Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy i Białorusi. We wczesnych latach 90-tych podjęliśmy rozmowy, dotyczące powołania przedstawicielstw PAN na Ukrainie, Białorusi i Litwie. Przyznaję, że szły bardzo opornie. Sądzę, że nasz błąd polegał na proponowanej lokalizacji: chcieliśmy mieć stacje we Lwowie, Grodnie, gdzie zamierzaliśmy odkupić dworek Elizy Orzeszkowej, i w Wilnie. Dla każdej ze stron były to czułe miejsca, a bojąc się, że dla naszych rozmówców stanowiły barierę polityczną. Zmieniliśmy koncepcję, proponując lokalizację naszych przedstawicielstw tam, gdzie oni mają siedziby Akademii: w Kijowie, Mińsku i... znów w Wilnie.

E.N.: – *A będą tylko w dwóch pierwszych miastach?*

M.M.: – Na początek. Mamy aprobatę Ministerstwa Spraw Zagranicznych i ogromne poparcie ambasad. Już tylko od ministra finansów zależy, czy w pierwszym kwartale dwutysięcznego roku otworzymy uroczyste przyszłe stacje zagraniczne PAN na Ukrainie i Białorusi. A do rozmów z władzami litewskimi wrócimy w przyszłym roku. Uczeni zza ściany wschodniej chcą współpracować z naszymi placówkami, wykorzystują wszystkie tzw. tygodnie wymienne, a nierzadko chcieliby mieć ich więcej. Biorą udział w pracach naszych placówek międzynarodowych, we wspólnych programach badawczych. My też jesteśmy otwarci, szczególnie chętnie zapraszamy młodych naukowców.

E.N.: – *Mówi pan o entuzjazmie sąsiadów dla pobytów naukowych u nas. A jak jest z ruchem w drugą stronę?*

M.M.: – Szczególnie chętnie jeżdżą tam nasi humaniści – chodzi o dostęp do źródeł. Słabiej jest z naukami ścisłymi i doświadczalnymi, biologicznymi i biomedycznymi, ponieważ część tamtejszych instytutów pracuje na półobrotach z braku środków na utrzymanie laboratoriów. Ale wymiana jest płynna w obie strony, realizujemy łącznie setki tygodni wymiennych. Nie ma także problemu z obsadą kierownictwa nowych przedstawicielstw, na ogłoszone konkursy zgłosiło się sporo kandydatów. Tu jednak musimy być bardzo ostrożni, nie możemy skierować do Kijowa lub Mińska kogoś bez uznanego, liczącego się dorobku naukowego. Uczeni w tamtych krajach czują się elitą i są bardzo wybredni w kontaktach. Można tam pojechać, zrobić złe wrażenie, a w konsekwencji nie być zauważanym przez miejscowe środowisko nauki, nie zaistnieć w nim i nie osiągnąć niczego. A nam chodzi o to, żeby stacje PAN zaistniały jako centra promocji polskiej nauki i kultury, miejsca otwarte, przyjazne i akceptowane.

E.N.: – *Zamiast stereotypowego Przedmurza, którego miejscowi się boją, Polska Akademia Nauk chce tam wnieść nowy styl partnerskich kontaktów?*

M.M.: – Myślę, że jest to niezła propozycja.

E.N.: – *Dziękuję Panu za rozmowę.*

*Z prof. Mirosławem MOSSAKOWSKIM
rozmawiała Ewa NOWAKOWSKA*

Prof. dr hab. Mirosław Mossakowski (ur. 1929 r.) jest dyrektorem Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej Polskiej Akademii Nauk. W grudniu ub.r. wygrał wybory na prezesa PAN, wcześniej (od 1996 r.) był jednym z wiceprezesów Akademii. Jest także prezesem Stowarzyszenia Neuropatologów Polskich i Polskiego Towarzystwa Badań Układu Nerwowego oraz członkiem-założycielem Międzynarodowego Towarzystwa Neuropatologów i Europejskiej Federacji Towarzystw Neurologicznych. Autor ponad 300 prac naukowych, członek redakcji kilku specjalistycznych czasopism.

Ewa Nowakowska jest publicystką *Polityki*.

Kraj

Pokrótce, w antrakcie

Jako sprawozdawca polityczny z całomiesięcznym wyprzedzeniem nie mogę dzisiaj zaproponować czytelnikom *Kultury* nic więcej niż repertuar możliwych wydarzeń. Czytając niniejsze za miesiąc będziecie Państwo mogli sprawdzić, co grano w polskim kinie.

Około 20 września premier przedstawić miał swym kolegom i koalicjantom proponowaną wersję zmian w Radzie Ministrów. Nieszczęsny premier jest w cęgach dwóch niemożności. Z jednej strony, chciałby ograniczyć się do zmian kosmetycznych, ale wie, że to wywołałoby jedynie szyderczy śmiech. Ostatni sondaż OBOP (z 4-6 września), który podaje, że pracę rządu ocenia dobrze zaledwie 19% (złe – 74%) nie pozostawił cienia wątpliwości w tej sprawie. W ciągu zaledwie roku, od września 1998, saldo ocen pogorszyło się z „minus 5” do „minus 55”: jest to zarazem saldo Czterech Wielkich Reform w opinii publicznej. Buzek pociesza się wprawdzie, że kiedy reformy się „ułożą”, ludzie docenią pozytywy. Nie wdając się w dyskusję nad realnością ułożenia się czegoś, co dla zwykłych ludzi jest raczej łożem Prokrustowym, trzeba stwierdzić, że aby ewentualnie doczekać „sprawiedliwej oceny”, rząd musi się bardzo zmienić już teraz. A zatem – „głęboka restrukturyzacja” czyli owa druga niemożność. Bo wielu żąda rekonstrukcji aż tak rozległej, żeby zmienił się również sam premier, przede wszystkim jednak dyskusja nad taką rekonstrukcją ujawniłaby nieuchronnie głęboki kryzys w łonie koalicji. Aby pozbyć się premiera nie dopuszczając przy tym do głosu prezydenta, trzeba tzw. konstruktywnego wotum nieufności w Sejmie,

czyli przynajmniej 231 posłów za innym kandydatem na premiera. Na ściśle zamkniętym posiedzeniu Klubu AWS, Marian Krzaklewski opowiedział podobno scenariusz spisku, uknutego przez broniącego się przed upadkiem Tomaszewskiego. Wraz z grupą wiernych mu akolitów z AWS (wśród których jest, jak donosi prasa, 11 następnych klientów Sądu Lustracyjnego) i w porozumieniu z całą opozycją, z prawa i z lewa, uchwalono by wotum nieufności desygnując na premiera jakąś figurę z prawicy. Ale stworzony przez tego X-a gabinet nie dostałby wotum zaufania, bo SLD chytrze wycofałby mu poparcie. W ten sposób ster przejąłby prezydent. Ostatecznie doszłoby do rozwiązania parlamentu i przedterminowych wyborów, czego domaga się Leszek Miller. Scenariusz ten przedstawiła 6 września *Rzeczpospolita* w artykule Marcina Zdorta pod ponurym tytułem „Partia lustracyjna”. Zdort jest jednym z pampersów, nadal bliskim Wiesławowi Walendziakowi, którego Tomaszewski wysadził z siodła w Kancelarii Premiera. Ponieważ rewelacje Zdorta nie wzbudziły najpierw odzewu, do dzieła przystąpił sam mistrz: 15 września *Gazeta Polska* ukazała się z wielkim portretem Walendziaka i sążnistym jego tekstem o tym, jak Tomaszewski wysadzał Buzka w powietrze. Tego samego dnia potwierdził te rewelacje Buzek, natomiast Krzaklewski nagle zaprzeczył, jakoby Tomaszewski chciał „obalić” Buzka. Że Walendziak, którego ambicje są powszechnie znane, chce się odegrać i znów dorwać do władzy, nikogo nie zaskakuje. Dziwić może tylko, że ten wiceprezes SKL działa, przynajmniej z pozorów, w obronie premierostwa Jerzego Buzka, którego jego koledzy z SKL mają już serdecznie dosyć, o czym mówią publicznie. No, ale Walendziak dał się już być poznać jako wielbiciel „Księcia” Machiavellego. Mniejsza o Walendziaka, który dopiero w przyszłych rozdaniach może się dopchnąć do pierwszego rzędu w swoim obozie a i to, jeśli się przedtem nie zasupła we własnych intrygach. Zdumiewa raczej zachowanie Buzka i zwłaszcza Krzaklewskiego, który widać traci głowę. Opowieść o tym, że w Grenadzie zaraza mogłaby być zmobilizować szeregi AWS przed trzema laty, dzisiaj je tylko demoralizuje i zniechęca. Spóźnione o dziesięć dni prostowanie części rewelacji *team*'u Walendziaka już tylko pogłębia zamęt.

O ile AWS w przededniu rekonstrukcji rządu szarpie się i miota, Unia Wolności zachowuje się jakby ją sparaliżowało. Co robią unicy? – pytają w kuluarach Sejmu. – Nic o nich nie słyhać – pada odpowiedź. Jedynie Leszek Balcerowicz kontynuuje z kamienną twarzą – *business as usual* – i przeprowadza internetowe telekonferencje ze społeczeństwem o swoim programie podatkowym. Balcerowicz, jak już o tym pisałem poprzednio, rozumie świetnie, że Unia Wolności, partia zamożnych, przebojowych, młodych duchem i ciałem optymistów (na dorobku), ma swój wierny elektorat, który jej nie opuści w biedzie, chyba, że sam .. wpadnie w biedę. Innych wyborców Unia zaś niech nawet nie próbuje pozyskać, zanim Polska nie dorobi się społeczeństwa złożonego w większości z „klasy średniej”... Nie wszyscy młodzi działacze Unii mają tyle wytrwałości co żelazny wicepremier. Paweł Piskorski, młoda gwiazda Unii, który się dzięki zawiłym kombinacjom z udziałem SLD i części AWS dorwał do stanowiska prezydenta Warszawy, postanowił zabłysnąć. Na 24 września zapowiedziano wielką manifestację protestacyjną w Warszawie (rolnicy, OPZZ, pielęgniarki). Organizatorzy mówią o 100 tysiącach uczestników. Paweł Piskorski, który jeszcze nim został prezydentem, zapowiadał, że wyznaczy na stałe manifestantom jakieś miejsce na uboczu, ogłosił teraz, że zakazuje tej manifestacji. Organizatorzy zaprotestowali i odwołali się do wojewody mazowieckiego. Solidarność i Unia Wolności zareagowały słodko-kwaśno: rozumieją dobre intencje prezydenta, ale istnieje artykuł 57 Konstytucji („Każdemu zapewnia się wolność organizowania pokojowych zgromadzeń i uczestniczenie w nich. Ograniczenie tej wolności może określić ustawa”). Otóż tylko bardzo naciągając intencje ustawy o zgromadzeniach można uzasadnić zakaz pokojowej manifestacji.

Piskorski, który sprawia powierzchowne wrażenie aroganckiego szczeniaka z tzw. dobrego domu, jest w istocie bardzo szczerym i bardzo zimnym politykiem. Jeśli organizatorzy się ugną, to świetnie, Piskorski jest zbawcą stolicy. Jeśli pójdą na całość i dojdzie do draki (o prowokację też w takich warunkach nietrudno), to także świetnie, prezydent przepowiadał, tylko miększe z rządu go nie wsparli. A jeśli wszystko przebiegnie spokojnie, ludzie pomanifestują i pokażą

stolicy, jak bardzo nie lubią rządu Buzka, to też nie jest złe: Paweł Piskorski ma od dawna dobre stosunki z SLD i zapewne będzie głosował za odwróceniem sojuszy (Trzeba mu przyznać, że jako jedyny prominentny działacz UW wystąpił publicznie przeciw projektowi ustawy reprivatyzacyjnej, uznawszy, iż zniszczy mu do reszty budżet stolicy. Balcerowicz walczył przeciw temu projektowi, ale na posiedzeniach rządu, nie publicznie). Z tym wszystkim tak jawne wystąpienie przeciw organizacjom pracowniczym może sprawić, że Wielki Kalkulator Piskorski wypadnie z gry o władzę przynajmniej na jedno okrażenie.

Działacze SLD, których spotykam w Sejmie, mają teraz twarz pokerzystów. Nie widać po nich triumfu, co najwyżej nieuniknioną *schadenfreude*. A naprawdę, w kierownictwie SLD toczą się nieustanne dyskusje. Nie na temat, co robić, bo SLD najwyraźniej doszedł do wniosku, że najlepiej nic nie robić i czekać, żeby jabłko dojrzało i spadło (np. SLD nie manifestuje i nie krzyczy) ale na temat, czego ma chcieć, jaki czas dojrzwania i zbiórki mu odpowiada. Działacze SLD są teraz tak wrażliwi na wyniki sondaży jak mimozy o zmierzchu. Śmieją się z Buzka, ale po cichu boją się, że notowania rządu zaczną się trochę poprawiać, jeśli niezadowolenie z reform przyschnie. Z drugiej strony wiedzą, że ich formacja wcale nie jest jeszcze przygotowana do przedterminowych wyborów: nie skompletowała szeregów, nie uchwaliła programu, nie odbyła założycielskiego zjazdu i zwłaszcza nie wyklarowała sobie jeszcze układu stosunków wewnętrznych pomiędzy lewym i prawym skrzydłem (pisałem o tej kwestii w poprzedniej *Kulturze*).

Przy pospólnej zgodzie co do strategii – czekać – pozostają poważne różnice taktyczne. Leszek Miller podjął w końcu hasło bojowe swego lewego skrzydła (i PSL) ogłaszając potrzebę przedterminowych wyborów. Choć Miller nie zapowiedział żadnego scenariusza działań w tym kierunku, jego wystąpienie spotkało się z natychmiastową repliką... sekretarza generalnego SLD, Krzysztofa Janika, który jest w SLD człowiekiem zaufania prezydenta Kwaśniewskiego. Janik oświadczył wręcz, że gdyby SLD teraz znalazł się u władzy, to też by sobie „chyba” nie poradził z lawiną problemów, która się sypie na rząd. Kwaśniewski już przed kilku tygod-

niami stwierdził, że rząd i parlament powinny dotrwać do końca kadencji. Miller, któremu dziennikarz zacytował słowa Janika, odpowiedział tak brutalnie, że było oczywiste, iż odebrał je jako zakwestionowanie przywództwa.

W SLD, inaczej niż w AWS czy UW, bardzo trudno jest się dowiedzieć, o co i wokół czego towarzysze się kłócą: działa jeszcze stara, dobra szkoła dyscypliny partyjnej. Ale z trzech ust, z pośrednich źródeł można się dowiedzieć, że stopniowo krystalizują się w kierownictwie SLD dwie szkoły myślenia o przyszłym sojuszu u władzy. Lewica, co nie dziwota, liczy na partnerstwo z Unią Pracy, Ruchem Ludzi Pracy, PPS-em i może PSL. Prawica *à la* Schröder stawia raczej na pozyskanie Unii Wolności. To nie jest nic nowego. Nowością jest raczej, że prezydent Kwaśniewski i jego sztab zdają się teraz nalegać z całym naciskiem na drugą z tych wersji, podczas gdy Miller trochę się zbliżył do pierwszej.

16 września

Krzysztof WOLICKI

PS. Dowiaduję się w ostatniej chwili, że kierownictwo Unii Wolności przygotowało memorandum dla premiera Buzka, w którym ocenia pracę rządu i wskazuje stanowiska do wymiany (prezes Alot z ZUS jest w pierwszym szeregu). Rzecznik AWS Piotr Żak oświadczył natomiast, zapewne już w odpowiedzi na owo memorandum, że zmiany w rządzie będą nie około 20 września, ale „za dwa, trzy tygodnie” i „rozczarują wszystkich, którzy oczekują jakiejś rewolucji”. Premier Buzek „z pewnością pozostanie, macie to jak w banku”. Innymi słowy, antrakc się przedłuża.

Zapowiedziana manifestacja zyskuje dodatkowy sens.

Z ukosa

Niechlujstwo, agresja, neurastenia, to wszystko jest nasza codzienność, ale nie mniej codzienna jest natarczywa krzątania, z której wynika rozwój kraju. Nie rozwija się nasza ojczyzna jak kwiat, zmiana jest wyciskana jak nieco przyschnięta pasta z tubki. Czy to jest postęp? Nawet jeśli nasz wiek niezwykle rozbudował ideę postępu, to też ją skompromitował i zakwestionował. Jak więc określić zmianę ostatnich dziesięciu lat? To oczywiście otwarcie wolnej drogi, tak długo kręciliśmy się w kółko zjadając własny ogon. Skoro wychodzimy na drogę po dwóch stuleciach mieszkania w błędnym kole, czy można się dziwić, że na poboczach jest tyle śmieci? Jeśli postęp mierzyć ilością zakupionych samochodów, mamy cudowne rozmnożenie się mechanicznych koni na polską głowę. Ten rok, jak mówią statystyki, jest rewelacyjny. Ale nasze szosy nie zmieniły się przez te lata, są wąskie, wyboiste i pełne dziur. Za to gubię się w labiryntach nowych supermarketów, nie różnią się od tych zachodnich. Sklepy spożywcze pęcznieją od towaru, a nasze jedzenie ma bardziej wyrazisty smak, niż choćby w Skandynawii. W miastach Europy, po których w tym roku kilka razy spacerowałem, coraz trudniej poznać Polaków po ubraniu, a młodych po wyglądzie, zdradza nas szeleszczący język. Wszyscy moi znajomi, młodzi i starsi, pobrali kredyty, mimo okrutnego ich w Polsce oprocentowania. I do przodu. Co tam jest? Mieszkanie, samochód, w lecie wyjazd na Kretę, w zimie do Austrii na narty. W tej walce i wysiłku, w którym bierze udział połowa społeczeństwa, połowa odpadła, gubiony jest smak i zapach życia. I czuć jakiś gorzki smutek egoizmu.

W Polsce są dwa największe koncerty. Jeden produkuje potrzeby i namiętności, wiele z nich jest nie do zaspokojenia, istnieje więc druga firma, ona ma długą tradycję, która produkuje narzekanie. W ramach tego narzekania, kiedy po latach spotykam kogoś bliskiego, pamiętając o tym co zyskaliśmy, zawsze narzekamy na to co utraciliśmy. Czułość

wobec siebie nawzajem. I jak dawniej, za mało jest w nas czułości wobec otoczenia, i detalu: bramy, klatki schodowej, domofonu, windy. To inaczej wygląda tylko na rodzących się wyspach zamożności. Dawne przedwojenne wyspy zarosły brudem, teraz powstają zupełnie nowe.

Mieszkając w samym sercu miasta, chociaż lepszym określeniem byłoby, w jego żołądku, słyszę boleśnie, jak z każdym rokiem rośnie wczesnoporanny zgiełk. Zmierzono warszawskie hałasy, jesteśmy najgłośniejszą stolicą Europy. O 6 rano w stan lewitacji wprawia mnie wóz zbierający butelki i puszki; jeśli zdołam znowu zasnąć, budzi mnie za chwilę wrzask śmieciarzy, która potrząsa metalowymi pojemnikami. Co chwila wyją samochodowe alarmy. Nasze samochody, jak niemowlęta zostawione na pastwę ulicy, nauczyły się krzyczeć kiedy jest powód, ale częściej robią to bez powodu. W pobliskim kasynie oficerskim, gdzie stoi jeszcze zapach dawnych czasów, odbywają się śluby i przyjęcia. Wesela trwają czasami do rana, spać nie można. Interweniuje najpierw u kierowniczkę, potem dzwonię na policję lub do straży miejskiej. Wszyscy obiecują, że zabawa już się kończy, ale mury drżą do 4 rano. Wtedy wdzięczny jestem losowi, że nie mam pistoletu. Z każdym rokiem rośnie ludzki gwar na podwórzu, pijacy jakby się mnożyli, puchną, czerwienieją, ale nadal piją, a młodzież z pobliskiej szkoły koczuje na ławkach w oparach przekleństw i papierosowego dymu. Dzieci jeżdżą z wielkim zgiełkiem na deskach i rołkach. W każdym oknie kłębią się telewizyjne obrazy i ryczy muzyka. Namnożyło się kawiarni i pubów, coraz więcej jest urządzanych ze smakiem, chociaż rzadko z wyborem, ale wszędzie ten sam nieznośny zgiełk muzyki z głośników. Jakby zapomniano, że ludzie przychodzą do kawiarni by porozmawiać. To muzyczne tło bitewne najwyraźniej kojarzy się u nas z wielkim światem, ale „wielki świat” jest ostrożny z muzyką w takich miejscach.

Śmietnik dźwięków obok śmietnika reklam, jest istotną i przykrą częścią naszej nowej rzeczywistości. Za wycieraczką samochodu zastaję codziennie kolorowe ulotki z obnażonymi panienkami; zebrałem już potężną kolekcję takich ofert, ale te lokale się mnożą! To chyba najbardziej dynamicznie rozwijająca się dziedzina „handlu”. Owe szczególnie placówki nazwano u nas „agencjami towarzyskimi”, jakby pracowały

tam gejsze. Te panie jednak podobno bardzo się dziwią, gdy próbuje się z nimi rozmawiać. W reklamach lokali, najczęściej powtarza się zwrot „szeroka gama usług”. Agencja z ulicy nazwanej imieniem naszego wieszca reklamuje się dynamicznie: „Zupełnie bez zahamowań. 18-letnie nimfomanki!”. Niektóre inne agencje stosują delikatną taktykę: „Salon masażu, od 10 rano do trzeciej w nocy, również wyjazdy”. *Gejzer* – pismo dla gejów, współredaguje mój ekscentryczny znajomy; nie zawsze bywa ono smaczne w lekturze, ale jest w kioskach i dobrze rozchodzi się. Pomyśleć, w takim katolickim kraju, taki bezwstyd. Brak konsekwencji jest u nas nieznośny, ale też zbawienny.

Coraz częściej, gdy dzwoni do mnie telefon, słyszę w słuchawce pełen entuzjazmu głos, który proponuje jakieś towary, nowe formy ubezpieczenia lub emerytury. Krzyczę „proszę mnie nie molestować!” Potem mi przykro, że sprawiam przykrość ciężko pracującej młodzieży. Gorzej, że do drzwi też pukają. Zdarza się, że stoi w progu jakiś roztrzęsiony alkoholik, skruszony szepce „wspomoże pan?”. Jedni potrzebują niby na dzieci, na leczenie ciężkiej choroby, ale wielu mówi wprost, że giną z alkoholowego pragnienia. Ostatni miesiąc stał pod znakiem inwazji ofert z pralni. Przed chwilą w drzwiach stanęły trzy niewiasty, z przodu mała, w okularach, nie od urody a od gadania. Na mój widok rzuciła okrzyk, jak na powitanie starego znajomego. Z tyłu posiadała damski aparat w postaci dwóch dziewcząt, których nogi zdawały się być przedłużeniem szyi, a owe dziwolągi uśmiechały się powabnie. Tak wygląda oferta jednego z nowych salonów pralniczych. Już chwytam plik reklamowy i kartę stałego klienta, żeby mieć to jak najszybciej z głowy, ale aparat reklamowy chce 25 złotych wpisowego. Jedyne tyle i będę członkiem klubu. Panie walą do kuchni na herbatę. Wypycham towarzystwo za drzwi, a potem się gryzę, że byłem niegrzeczny, a poza tym, a nuż dwie urodziwe panienki wyprałyby mnie w mojej wannie, w ramach promocji firmy. Tak, przez brak cierpliwości, traci się wielkie życiowe szanse.

Trudno dziś przejść ulicą by nie być molestowanymi przez żebraków, którzy chcą wsparcia, albo przez komiwojażerów, którzy napastują przechodnia reklamując towar lub lokal. Najbardziej oryginalny żebrak jaki mi się w tym

tygodniu trafił zaglądał do przedziałów pociągu, którym jechałem do Łodzi. Zarośnięty, jak artysta z czasów Młodej Polski, dźwigał obszerne płótno, dzieło wybitnie niedokończony i mówił: „wsprzyjcie państwo biednego artystę, którego nie stać na dokończenie obrazu”. Wszystkie domy naszych miast i pobocza dróg upstrzone są wysypką reklam; można dostać oczopląsu. Dlatego niespodziewana ulga, kiedy spaceruje się ulicami Sztokholmu, czy Wiednia, gdzie reklamy nie są tak liczne i natarczywe, na każdym kroku nie zaczepiają żebracy i reklamujący produkty. Ten oddech ulgi, uświadamia nam, jak wulgarne formy przybiera nasz młody kapitalizm. Za mojej pamięci natarczywe były jedynie komunistyczne hasła. Czy nowa natarczywość to cena nieunikniona? Chciałbym, aby więcej było ludzi, którzy podobnie jak ja czują, że walka o estetykę, o ładne formy, to też walka o naszą wolność i o kształt demokracji.

Na pobliskim basenie obsługa została przeszkolona, by wszystkim się kłaniać i mówić „dzień dobry”. Basen jest piękny, czysty i już uzależniłem się od niego. To tam codziennie próbuję wypłukać z siebie liczne swoje demony. Uśmiechy młodzieży, która obiekt obsługuje, są ważnym elementem tej terapii. W pobliskim barku o dumnej nazwie Boston Port, można zjeść zupę z pięciu ryb, przysmak lokalu. Właściciel jest tak zatroskany czy jedzenie jest dobre, że kilka razy podczas posiłku należy go dopieszczać.

Próbuję pokazać, że nasz kij ma dwa końce: chamstwo i niechlujstwo z jednej, a z drugiej strony – nowe formy uprzejmości i luksusu. Z tanimi mieszkaniem jest w Polsce dramat, za to mnożą się nowe osiedla dla zamożnych, budowane na planie twierdzy. Zamknięte, zwrócone do środka, z kamerami i strażą. Te domy nie tworzą żywej tkanki miasta, przechodzi się obok tych dzielnic, jak obok zamku, który podniósł zwodzony most. A w ramach „twierdzy” nie ma też powodów, by jak na dawnych rynkach miasta kwitło życie towarzyskie. Sto kanałów telewizji zapewni towarzystwo każdemu. Można powiedzieć, że zamożni zamykają się w luksusowych więzieniach, na przepustki wyjeżdżają samochodami z ukrytych garaży. Natomiast przestępcy będą gnać na zewnątrz, w coraz bardziej zaniedbanych slumsach. Czy budujemy Brazylię? Chyba nie? Powstaje państwo

pośrednie, zawieszony między Europą Zachodnią a Ameryką Łacińską, z lekką domieszką Azji. Coś, co jeszcze nie jest pewne czym będzie. Zdumiewa brak rzeczowej dyskusji, jaki właściwie kraj chcemy zbudować. Jest tylko zgłębienie wzajemnych oskarżeń, inwektyw i partyjnych kłótni. Jedno pewne, Polacy w przeciwieństwie do mieszkańców Ameryki Łacińskiej, nie pogodzą się z drastycznymi nierównościami i nędzą. Niepewność i zagrożenie daje ludziom napęd do walki o zamieszkanie, ale też działa destruktywnie, przegrani buntują się.

Przywódca chłopów Andrzej Lepper, zapowiada wybuch „chłopskiego powstania, które szybko przekształci się w narodowe”. Lepper wizytuje USA, gdzie z amerykańskimi farmerami broni niewielkich gospodarstw, a o dużych koncernach zajmujących się hodowlą świń mówi: „To są prawdziwe obozy dla zwierząt, takie same, jakie były w Oświęcimiu, Majdanku i Treblince dla ludzi”. Coś w tej głębokiej myśli jest, chociaż nie wszyscy ludzie to świnię. Problem, że Lepper sam rznął świniaki bez zmruczenia oka, wystarczy na niego spojrzeć i posłuchać go, kiedy mówi, ale teraz ma interes by stać się obrońcą świń. A w kraju, jego chłopci wysypują zboże z wagonów na tory. To, że nie aresztuje się Leppera, że nie zamyka się chłopów napadających na wagony kolejowe, jest świadectwem nieudolności i niewydolności państwa. Co jest jednak istotą problemu, nie da się wsadzić za kratki – jak pogodzić dynamizm rozwoju, który zakłada konkurencję i nierówność, z polską chłopsko-szlachecką niezgodą na nierówność?

Jak co rok Zakopane i Tatry. Przy szosie na wysokości doliny Tomanowej, jest miejsce z oszałamiającym widokiem na panoramę gór, szafas gdzie stary góral sprzedaje jeszcze ciepłe oscypki. Ach ta ich gwara, jest w niej coś czułego i brutalnego, serdecznego i cwaniackiego, godnego zaufania, i co każe być czujnym. Górale, jak góry, są zwodniczy. Pokazuje mi swój pobliski dom. Mówię, że szkoda, że pokrył go blachą. Był najpierw gont, ale blacha tania, a gont się łatwo pali. Dom stoi przy ruchliwej szosie – komentuje. Mówi z charakterystycznym dla górali cwaniackim poczuciem humoru: „to że stoi przy drodze nic nie szkodzi, ale po co ta droga taka ruchliwa.” Kiedy skarzę się na katastrofę nowego

budownictwa, rozumie mnie i daje najlepszą z możliwych definicję starej architektury Podhala. „Bo te domy, to Panie, były jak te góry.” To prawda, nowe tylko naśladowują stare wzory, architekci nie czują tradycji i kontekstu przyrody. Dlatego nowe zakopiańskie domy nie są już częścią krajobrazu, są nieudanymi plagiatami przeszłości. Stary góral ma problemy, syn pijak leży teraz nieprzytomny pod łóżkiem, dlatego stary zastępuje go przy oscypkach. „Miał syćko, a teraz nie ma nic, bo pijok”. Ale wnuczki idą na studia. Gdziekolwiek się ruszyć, widać, że alkoholizm, to jest polska choroba numer jeden. Mimo okrutnego tłoku, wysokie tatrzańskie szlaki mają tę zaletę, że nie spotka się tam pijanych. Jak ocalić nasze polskie Tatry przed zdeptaniem przez polskie buty? Piękne stare Zakopane, zagęstnia się średnią lub kiepską architekturą. Centralna ulica Zakopanego, Krupówki, kapie od bogactwa i złego gustu. Wypindrzenie się, to jest cecha naszych nowobogackich. Nikt już nie wie, że naprawdę ładne bywa to co proste i harmonijne. Niedawno postawiono tu fantazyjnie powykrzywane latarnie. Ciekawe, jak takie pozornie upadające latarnie, zaburzają harmonię ulicy, tworząc poczucie zagrożenia. Nie dosyć, że nasze miasta mają chodniki tak koślawe, że można powiedzieć, w tym kraju nawet chodniki są pijane, to teraz zaczynają być pijane też latarnie.

Nowy kościół na Krzeptówkach, wygląda z daleka jako tako, z bliska ujawnia swoją tandetę i kicz, a nad szosą kilometrami wiszą rozpostarte transparenty, z których wynika, że już dawno udowodniono, że Matka Boska była Polką, góralką i doprawdy nie ma takiej rzeczy, której Ona nie jest gotowa dla Polski uczynić. To wszystko jest kicz religijny, w narodowej oprawie. Ale jednak mnie to wzrusza, mimo wszystko, ta nasza bezradność wobec historii, wobec świata, jakiś głębinyowy lęk dziecka niekochanego przez historię, które potrzebuje wielkiej i czułej matki.

W Dolinie Chochołowskiej w stronę schroniska jeździ pojazd złożony z kilku wagoników, jak duża dziecięca kolejka, podwozi ludzi w stronę schroniska, ale można też pożyczyć górski rower. Z tego ostatniego korzystamy, a kiedy zapewne zbyt szybko jadę w dół, mijam jadącą pod górę kolejkę, nie mogę wiedzieć, że za kilka dni, tak właśnie jadąc na rowerze wpadnie pod jej koła i zginie na miejscu Tadeusz Kaczyński,

znany krytyk, muzykolog. Moje ostatnie z nim widzenie miało przebieg krótki, burzliwy i nieprzyjemny. W holu kina Stolica natarł na mnie, krzycząc: „to nie tak miało być, pomylił pan mnie z innym Kaczyńskim, to ja miałem być w programie. Skandal!” Zaraz wyjaśniam. Prowadziłem wtedy cykliczny program w telewizji, jeden miał być poświęcony pomysłem zmieszczenia pod jednym administracyjnym dachem Teatru Wielkiego i opery. Krytyk Tadeusz, napraszał się, aby go wziąć do dyskusji, ale my poprosiliśmy Bogusława Kaczyńskiego, specjalistę od opery. Bardzo mnie wtedy, pamiętam, rozbawiła ta narcystyczna agresja. Ale zareagowałem, co mi się zdarza, dosyć brutalnie. Sam zagrożony przez pychę i artystyczne wzdęcia, nie znoszę tej cechy u artystów – „kopa w tyłek”. Czasami mam więc ochotę kopnąć sam siebie, ale to trudne zadanie. Czy gdybym „pomyłonego” Kaczyńskiego wtedy utulił, udobruchał zamiast zrugać, czy nie poszedłby po latach inną niż Chochołowska doliną, a zamiast wsiadać na rower z walkmanem na uszach w nieodpowiednim miejscu i czasie, może poszedłby bezpiecznie gdzie indziej? To jest pytanie banalne, ale zawsze intrygujące, o przypadek i przeznaczenie. I czy ruch skrzydeł motyla w Australii, ma istotny wpływ na historię świata.

Zbliża się czas, gdy mógłbym już swoje teksty do *Kultury* lepić z okruszków wspomnień o ludziach, którzy właśnie umarli. Odchodzi pokolenie, które było dojrzałe kiedy ja byłem dzieckiem, ale umierać zaczynają pierwsi odważni z mojego pokolenia. Artyści zostawiają swe dzieła, ale one też zaskakująco szybko odpadają i usychają jak liście. Jeszcze przez chwilę słychać szelest. Po innych zostają tylko okruszki, czasami uparcie wczepione w blat stołu naszej pamięci. Odejdą wraz z nami, na zawsze.

Też w Zakopanem umarł malarz, kiedyś słynny i ważny Władysław Hasior. Przed śmiercią dziwił się, że ktokolwiek jeszcze o nim pamięta. To szczerze zdziwienie jest zasadne. Kiedy mam kontakt z najmłodszą generacją, czasami na próbę rzucam kilka nazwisk i zjawisk tak ważnych dla mojego pokolenia. Nie wiedzą o kim i o czym mówię. Tak odchodzi dawny świat a rodzi się jakiś nowy. Gdy oglądam pisma, które oni tak lubią, filmy i książki, mam wrażenie, że to jest świat skrótów i komiksu, gdzie słowo nie waży prawie nic,

więcej waży uproszczony obraz. Przeglądam nowe podręczniki do języka polskiego. Sam nie wiem co o tym myśleć, nie mogę dobrze, a trudno mi źle, skoro wiem, że dostosują się do potrzeb i możliwości czucia młodego pokolenia. Książki tradycyjnie pisane, uderzałyby grochem o ścianę. Ale to jest jednak rwanie tradycji, kolorowe okruszki wiedzy, i czasami jednak cenna próba budzenia ciekawości, byle nie za wszelką cenę. Czy uda się reforma edukacyjna, która ma zdjąć ze szkoły skorupę, uatrakcyjnić i zdynamizować naszą szkołę? Pamiętam wiele dzieł Hasiora, ale lepiej pamiętam jego zdziwioną minę z roku 1970. Na przyjęciu, w małym emigracyjnym mieszkanku w Kopenhadze, podszedł do mnie i nieśmiało zapytał po angielsku „Czy pan mówi po polsku?” – odpowiedziałem w tym samym języku. „Tak, ale z trudem”. Moja odpowiedź była prawdziwa. Wtedy niemożliwie zacząłem się. Zdumiewające, że mi to przeszło, a mówiąc dokładnie, poszło w inne miejsce. Teraz zwykle mówię płynnie, ale zaczynam się we śnie i byle cò mnie budzi.

Wystawa malarstwa Nachta-Samborskiego w warszawskiej Zachęcie, to dla mnie jedno z największych przeżyć artystycznych ostatnich lat. A przecież pamiętam sensacyjną wystawę jego prac w Muzeum Narodowym, tuż po śmierci malarza w roku 72. Zaskoczenie, jaki to był wybitny artysta. Zdarzało mi się pisać o malarstwie, ale przed obrazami Nachta stałem bezradny. Mistrz koloru. I zagęszczania czasu na płótnie. Artysta niezwykle równy, mimo powtarzalności tematów i motywów, gdy patrzy się na jego obrazy nigdy nie ma się poczucia monotonii, a miałem takie uczucie na wystawie Jana Cybisa. Pamiętam jak Nacht przychodził w odwiedziny do moich rodziców. Rozmawiali z ojcem zapewne przede wszystkim o sztuce, ale ja pamiętam tylko jak dyskutowali na temat metod nawilżania brody przy goleniu. Nacht malował dużo, ale nic nie pokazywał, trzymał obrazy w ukryciu. Mojemu ojcu obiecał obraz, potem go przez lata w swojej pracowni poprawiał i poprawiał, jeszcze tylko jedna kreska, aż w końcu umarł. Potem, rodzice kupili obraz od spadkobierców, a kiedy piszę patrzy na mnie fikus Nachta, miał okres malowania tych kwiatów. W jednym z poprzednich tekstów pozwoliłem sobie cytować własnego syna, teraz ośmielię się zacytować swego ojca.

Jest to fragment wspomnienia napisanego po pogrzebie Nachta w roku 72, tekst nigdzie nie publikowany. Ciekawy jest w tym fragmencie motyw poczucia końca pewnego świata, czyli tego co my dzisiaj czujemy tak intensywnie a co wydaje nam się unikalne dla końca naszego wieku, to poczucie utraty wagi sztuki, oraz naszej artystycznej zbędności. Ale oni czuli podobnie już w latach 60-tych. Ostrożnie więc z końcami świata. Bo one kończą się nieustannie.

„W moim odczuciu malarz ten należał do najmniej zmieniających się ludzi spośród tych, których znałem, nie chodzi mi tu o materię jego obrazów, która z góry niejako zakłada dłuższe o wiele od ludzkiego trwanie, ale o niego jako człowieka. (...) Kiedy nakładam teraz na jego twarz pamiętaną z niedawnego spotkania, tamtą młodzieńczą, odpoznaję ten sam portret, tę samą rzeźbę, włosy czarne, niedotknięte siwizną, dzięki temu mogę te dwie żywe maski uznać za podobne do siebie, co rzadko się zdarza w świecie metamorfoz ludzkich twarzy. (...) Nie miał w sobie nic z teatralności, nic z chęci unieśmiertelnienia swej zewnętrznej istoty. Kiedy namawialiśmy go, aby urządził wystawę zbiorową swych płócien (...) mówił, że czas nie nadszedł jeszcze, że nie ma teraz odpowiedniej atmosfery dla tych obrazów, może później... Zastanawiał mnie w nim brak pośpiechu w jakiegokolwiek sprawie, najmniej we własnej, jakby nie zdawał sobie sprawy z ucieczki czasu albo też nie dbał o to. (...) O malarstwie rozmawialiśmy kilka razy, ale dopiero prawie pół wieku później w Warszawie... Rozmawialiśmy w czasie, gdy z naszych upodobań niewiele już w nowym świecie pozostało i gdy sztuka wydawała się zapadać pod ziemię, wygnana z pracowni i szkół malarskich, z łaski już tylko trzymana w muzeach coraz mniej odwiedzanych przez bywalców kina i pozeraczy obrazów telewizyjnych. Artur zdawał sobie sprawę, że należy do ostatnich, którzy jeszcze wierzą w sens harmonii kolorów, w piękno...” Nacht-Samborski jednak wygrał, był spokojny, bo pewny swej sztuki. A w Zachęcie nawet w zwykły dzień spotykam wielu, czule oglądających obrazy. Więc jednak sztuka żyje, mimo wszystko.

Już niemal wszyscy moi znajomi padli ofiarą napadów lub kradzieży. X nieroztropnie położyła torebkę na przednim siedzeniu i nie zablokowała drzwi. Na skrzyżowaniu, gdy jej

samochód stał na czerwonym świetle, złodziej podbiegł, torebkę porwał z siedzenia. Od kiedy na jednym ze skrzyżowań stolicy, tak właśnie ukradziono cenną torebkę pani minister z kancelarii prezydenta, podobne kradzieże stały się modne. Mój syn niedawno wracał nocnym pociągami z Bieszczad, zasnął w przedziale, by obudzić się widząc nad sobą brzydkiego typu, w asyście dwóch innych, który dobierał się do jego plecaka. Udało mu się ocalić plecak i siebie. Konduktor, któremu zameldował o zdarzeniu, powiedział, że na tej trasie to normalne, jest bezradny, nie ma broni, a tamci ją zapewne mają. Na polskich kolejach pracuje 250 tys. ludzi, to jedno z największych przedsiębiorstw w świecie, które przynosi naszemu państwu gigantyczne straty. Więc rozumiem, że nie stać ich na prawdziwą straż kolejową. To bieda, ale w sumie to pół biedy. Cała bieda jest gdzie indziej. Mój syn, który już pracuje jako prawnik, ze zdumieniem odkrył, że nasz system sądowniczy jest skorumpowany, a łapówki biorą nawet sędziowie. Pytam starych prawników, którzy pamiętają czasy PRL-u. Wspominają, że były naciski na sąd, i oczywiście, ten sąd nie był niezależny w sprawach politycznych, ale w sprawach karnych w zasadzie nie było łapownictwa, przynajmniej w dużych miastach, pewnie dlatego, że pieniądze nie były wtedy takie ważne.

Statystyki przestępczości nie lokują nas jakoś dramatycznie w europejskiej skali. Problem, że skala braku zaufania do wydolności policji jest tak duża, że większość przestępstw nie jest zgłaszana. Mój nowy samochód utracił szybko niewinność i ma pierwsze blizny. Próbowano go ukraść. Ma jednak wyrafinowany zamek nowej generacji, i złodziejom złamał się w zamku podrobiony klucz. Muszą się dokształcić, a na razie dali mu spokój. Ich kłopot z zamkiem miał miejsce naprzeciw wielkiego gmachu MSW, tam parkuję wóz, jego boczne lusterka zagląдают więc do gabinetu szefa urzędu. To tam niegdyś generał Kiszczak oddawał mi uroczyście maszynę do pisania. Jeszcze niedawno po tym gabinecie krzątał się minister Janusz Tomaszewski trzęsąc się ze strachu przed lustracją, zbierał zapewne materiały na swoich kolegów. Teraz urządza tam Bohdan Borusewicz. Znam go dobrze jeszcze z czasów opozycyjnych, to on wymyślił sierpień i Wałęsę. Rzetelny, odważny, uczciwy facet. I co z tego?

Chociaż parkuję nadal wóz naprzeciw jego gabinetu, to jednak na wszelki wypadek w pobliskim sklepie samochodowym kupuję dyby na kierownicę, dla fachowców to kilka minut „pracy” więcej. „Straszne rzeczy się dzieją” – mówi zaszepiony sprzedawca. Opowiada, że w tych dniach w okolicy miała miejsce epidemia kradzieży kół. Niedawno był na samochodowej giełdzie, te ukradzione koła i inne akcesoria sprzedawane są tam pod obojętnym okiem policji. Coraz bardziej popularne są kradzieże na tzw. stłuczkę. Bandyci prowokują małą kolizję, kierowca wychodzi z wozu by zobaczyć, co się stało, a wtedy go traci. Niezwykłą karierę robią kradzieże dla okupu. Złodzieje dzwonią do ofiary i bezczelnie proponują oddanie wozu po uiszczeniu odpowiedniej opłaty. Spotykam sąsiadkę z pobliskiej ulicy. Wczoraj wybito im wieczorem szybę z okna samochodu, złodziej wyrwał korpus radia, samochód zaczął wyć, sąsiad, który mieszka na parterze rzucił się do okna i też wszczął alarm, mając w oczach zadek włamywacza wystający z jego samochodu. Ale ten robił nadal swoje. Potem bezskuteczna pogoń z sąsiadami, i w końcu ten sam co zawsze scenariusz. Policja nie chce przyjechać na miejsce przestępstwa, nie interesują ich odciski palców, na komisariacie, który wygląda jak cela więzienna, a policjant półanalfabeta, pocąc się okrutnie, mozolnie pisze protokół.

Komisariaty sprawiają wrażenie miejsc, które nie pomogą, gdyż same wymagają gwałtownej pomocy. Dzwoni znajoma, która ma bliźniaczy jak mój wóz. Miała kiepską noc. Wybito jej szybę w samochodzie, nie było nic w środku do ukradzenia, więc to był akt bezinteresownej destrukcji. A gdzie jest policja? Znowu na tej samej warszawskiej ulicy, gdzie kłopotliwa sekwencja świateł, łapie mnie patrol i ponownie odbywa się ten sam rytuał. Wiedziałem, że tam siedzą i „łowią ryby”, od rana do wieczora. Znam ten wyraz emocji na twarzy i rozumiem ich namiętność. Każda ryba to co najmniej 50 zł. Bardzo mili, zrelaksowani, jak to wędkarze, kiedy bierze. Od niedawna obowiązuje nowy przepis, podobnie jak w USA, przy zatrzymaniu kierowcy nie wychodzi z samochodu, trzyma ręce na kierownicy, bo zatrzymani ostatnio coraz częściej strzelają do naszej poczciwej i raczej bezbronnej policji. Nikt mi jednak nie każe siedzieć przy kierownicy. Oni

nie są od strzelania, łowią ryby. A więc bardzo miła, serdeczna rozmowa, mógłbym wszystko powiedzieć za nich, znam ten tekst na pamięć. Że będą punkty karne, a szkoda bo właściwie małe wykroczenie. Mamy więc wspólny problem do rozwiązania. Pytają o zawód: dziennikarz? „Mamy nadzieję, że pan nas nie opisze” – mówi pocziwiec i bierze swoją rybę, czyli moje 50 zł. Odjechałem, z gorzko słodkim uczuciem beznadziejności w ustach. Przyjmijmy optymistycznie, że to jest okres przejściowy. Złodzieje się nasycą i zmiękną a policja, odwrotnie, nasyci się i okrzepnie. To wszystko możliwe, ale czy pewne? A jeśli będzie na odwrót? Poznałem Polaków z jednego z krajów Ameryki Łacińskiej, mówią, że tam już czują się bezpieczniej niż w Polsce.

Jakby powiedział Wałęsa, wykołegowano wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych Janusza Tomaszewskiego. Był to krępy jegomość o krótkich nogach, ponure oblicze, nie potrafił kilku słów poprawnie powiedzieć po polsku. Działacz „Solidarności”, niegdyś mechanik. Dochodziły słuchy, że z MSW tworzy swoje imperium, zbierał np. materiały kto pedał. Przypominał partyjnego aparaczyka z dawnych czasów. Dlaczego kierownictwo AWS-u ustawiło takiego małego człowieka w takim miejscu? Gdy upadł, nagle okazało się, że nikt go nie lubił. Ale premier go kiedyś bez wahania zatwierdził, chociaż podobno nawet prezydent ostrzegał, że coś jest w jego teczce. Teraz okazuje się, że wszyscy o tym wiedzieli. Trudno o lepszy dowód na siłę notesu i układów, na bezwład nominacyjny. Podział na swoich i obcych jest tak mocny, że owa swojskość przestania wszelkie wady i ułomności kandydata. Problem, że te ułomności po jakimś czasie zabierają publicznie głos. O co jest podejrzany wielki szef policji i konfidentów? Że sam był ubeckim konfidentem. Sprawa rzecz jasna nie jest udowodniona, to dopiero uczyni sąd lustracyjny, ale genialny do niej suplement, który obowiązuje AWS, każe politykowi tej formacji podać się do dymisji, już w chwili, gdy jego sprawa idzie do tego sądu. Czyli zanim udowodni mu się winę. Tak to wygląda w brutalnym uproszczeniu.

Zapewne od dawna nie jest możliwa cywilizowana lustracja, już Macierewicz narobił takiego bigosu w teczkach, że nic nie jest pewne. Czy wcześniej było pewne? Mój przyjaciel M.,

twórca wielkiego podziemnego wydawnictwa, opowiada mi jak w roku bodaj 89 oddawano mu w gmachu MSW zarekwirowany samochód i książki. Niebacznie uchylono drzwi, gdzie ujrzał maszyny tnące papiery, zapewne tajne akta, na podłodze zaś leżały sterty teczek, po których chodzili funkcjonariusze. Drzwi w popłochu zamknięto. M. nie wiedział wtedy co właściwie widział. Teraz pojął, że ujrzał robienie nowych-starych teczek. Szkoda, że tylko ze mną podzielił się swoim wspomnieniem. A może to było coś innego? Ten brak pewności będzie tu zawsze.

Jeśli od początku miałem co do lustracji wątpliwości, to nie tylko dlatego, że było jasne, że to nasi oprawcy będą szykować teczki dla nas, lub na nas. Ale też dlatego, że wydawało mi się oczywiste, że nasze niechlujstwo, zamiłowanie do politycznych intryg, chorobliwa partyjność, uczynią z lustracji narzędzie krzywdy, a nie sprawiedliwości. Wydawać by się mogło, że sprawa Tomaszewskiego ostatecznie taką formę lustracji skompromituje. Ale nadal wielu ludzi z AWS-u uważa, że chociaż ofiarą padają ich przyjaciele, czołowi działacze partii, a przy okazji okręt tej partii idzie na dno, to jednak jest to triumf prawdy i moralnie się oczyścimy. A kiedyś w przyszłości wygramy. Na dzień? Chwilami, to może wyglądać na moralny heroizm, ale ze szczelin wyłazi partactwo. Sztuka nieuczenia się na błędach, została doprowadzona przez naszą prawicę do perfekcji.

Czy to, że archiwum ubeckich teczek nazwano Instytutem Pamięci Narodowej, nie zakrawa na okrutny żart z naszej narodowej pamięci? Wszystko zaczęło się dawno niedawno, prezydent Wałęsa, jako agent Bolek, potem zacny szef ZCHN-u Wiesław Chrzanowski, wieloletni więzień stalinizmu, jako agent „Spółdzielca”. Twórca KPN-u, wieloletni więzień PRL Moczulski, też agent, Oleksy to Olin, a prezydent Kwaśniewski nie tylko grywał w tenisa z agentem Ałganowem. Przez chwilę agentem miał być premier Buzek, ale podobno nim jednak nie był, a może jednak był? Podejrzany jest mój kolega z podziemia Robert Mroziewicz, podaje się do dymisji z funkcji wiceministra obrony narodowej. Nic dziwnego, że sprawa Tomaszewskiego już nie budzi społecznych emocji. Jedni wierzą, że agentami są wszyscy ludzie związani z polityką, inni, że agentów po prostu nigdy nie

było, to tylko zwidy i mary. Swoją wizję ma Marian Krzaklewski. Te wszystkie lustracyjne potknięcia, to spisek SLD, KPN-u, obecnego prezydenta i jeszcze kilku partii oraz osób. Nawet posłowie związani z Radiem Maryja są podejrzani. I pewni politycy z AWS-u. Chodziło o to, by nasz rząd upadł i mogły odbyć się nowe wybory. *Życie*, które stopniowo, tak w treści jak i w formie się ukretynia, w biogramie ministra Janusza Tomaszewskiego używa dawnego języka: „Systematycznie piął się w górę w związkowej hierarchii”. Jakiś publicysta pisząc jak wrogie siły próbują lustrację kompromitować sugeruje, że najpierw pojawia się przeciek, a potem rusza do ataku *Gazeta Wyborcza*. „Następnie zaprasza się na łamy znane nazwiska z określonego kręgu dawnej opozycji demokratycznej”. I pomyśleć, że zmartwychwstaną te wzruszające „określone kręgi”, ulubiony zwrot komunistycznej propagandy. A ja głupi stałem kiedyś do szefa *Życia*, mego bliskiego kolegi Tomka Wołka faksy: „trzymaj się środka, bo dryfujesz na prawo”. To nie jest problem dryfowania na prawo, bo jest nam potrzebna mądra prawica. A nasza prawica, jak by napisało *Życie*, zawsze uparcie stacza się na pozycje „bęcwalizmu”.

Słychać jak SLD zaciera ręce. Gdyby mieli więcej rozumu, robiliby to ciszej. Prezydent Kwaśniewski triumfuje dyskretnie. I nieustannie tyje. Ale nawet to go już nie łączy z dawnym PZPR-owskim aparatem, bo przecież publicznie ubolewa z powodu swej skłonności do tycia. Za to jego żona trzyma linię i fason. Prezydent ostrzegał, że ustawa lustracyjna jest wadliwa. Żegna świętego ministra z łatwym współczuciem, domyślam się, że mu szepce na ucho... „no popatrz pan, załatwili pana jak gangsterzy, a pan porządny człowiek, bardzo współczuję”. A na głos do mikrofonu prezydent mówi, „to jest bardziej partyjna egzekucja niż lustracja”. Większość kryzysów rządowych w Polsce jest związana z teczkami dlatego, że wygodnie jest użyć takich argumentów. Gdzie indziej zauważa, że „w krajach cywilizowanych najpierw udowadnia się winę, a potem karze”. To też niestety prawda. Zarazem, niezwykle zręcznie prezydent optuje mimo wszystko za lustracją, ale tą cywilizowaną. Tyle punktów zebrać przy jednym rozdaniu kart!

Co bardziej światli ludzie AWS-u, jak choćby Aleksander

Hall, wołają „czas na zmianę”. Czy nie jest jednak już dawno po czasie? Hall pisze: „Kryzys związany z odejściem wicepremiera Tomaszewskiego powinien spowodować ozdrowieńczy wstrząs i rachunek sumienia dokonany przez polityków naszego obozu”. Gdzie indziej bardziej potocznie mówi: „Zmienić styl rządzenia, skończyć z republiką koleśków”. Inaczej klęska będzie całkowita, ostrzega. A Czesław Bielecki poucza: „dziś transformacja władzy jest równie potrzebna jak transformacja gospodarczo-społeczna”. Pisze też ostro o arogancji władzy. On, najbardziej błyskotliwy arogant jakiego znam. Te postulaty, to jakby żądać od osobnika, który jest dumny ze swojego nochała, którym nałogowo zaciąga się zapachami władzy, by sam sobie ten organ amputował dla dobra wizerunku twarzy.

Wędnący ogon afery z ministrem Tomaszewskim, nagle przygniata katastrofa finansowa ZUS (Zakładu Ubezpieczeń Społecznych). Jest zagrożony budżet państwa. Nie wdając się w szczegóły, jak na dłoni widać, że winna jest niekompetencja prezesa Stanisława Alota z AWS-u. Ale zapewne były też błędy jego poprzedników z SLD. Zwykle jest podobny scenariusz, na średnią kompetencję ludzi z poprzedniej ekipy, nakłada się pełne partactwo nowych „fachowców”, którzy zwykle nie są specjalistami od spraw, do których zostali przydzieleni. Klucz partyjny, okazuje się równie marnym wytrychem, jak ten, którym próbowano otworzyć drzwi mego wozu. Ale fatalna polityka kadrowa zaczyna się na samej górze. Premierem został Jerzy Buzek, głównie dlatego, że Marian Krzaklewski był pewien, że będzie miał na niego wpływ. Potem stanowiska dostawali bliscy zaśluzeni koledzy, ich krewni i powinowaci. To prawda, postkomuniści, gdy byli przy władzy, zwlekali z wprowadzeniem reform. Wziął się za nie nowy rząd, z równie wielką energią jak i niekompetencją. Myślę, że tą podwójną figurę sprawiedliwie widzi w Polsce wielu życzliwych i nieżyczliwych. Problem, że to co na wierzchu jest zawsze górą. I nie ma na to rady, to jest prawo życia i polityki. Zaniechania maleją, a rośnie co Jest teraz. Jan Nowak Jeziorański ostrzega w wywiadzie: „Niestety, dziś istotnie rodzi się niepokój, czy Polacy potrafią się rządzić”. Swój niepokój jednak kieruje Nowak nie tylko w stronę rządu, ale też społeczeństwa, które „zaczyna okazywać skłon-

ności do recydywy naszych wad narodowych, zamieniania wolności i demokracji w anarchię, prowadzącą do upadku państwa. Protesty, które mogą być w wielu wypadkach całkowicie uzasadnione, przybierają formę *liberum veto*. Obserwujemy powrót do prywaty, stawiania dobra grupowego ponad interes państwa. (...) Nigdy nie patrzyłem z taką obawą w najbliższą przyszłość jak obecnie”. Wkrótce Warszawę ma nawiedzić 100 tys. niezadowolonych i żądających, na czele będą szli nasi populiści, choćby Lepper – wielki obrońca świń. Ale jest wiadomość, że zakazano tej manifestacji, która sparaliżuje stolicę. Pokojowa manifestacja jest naturalną formą rozmowy w demokracji. Problem nie w tym, że są manifestacje... Chory był kiedyś ich brak. Dochodzi jednak u nas zbyt często do awantur, a wtedy prawo nie jest prawem, nie każe się tych, którzy łamią prawo. Więc wydaje się zakaz. Ciekawe, co stanie się z tym zakazem? Czy zostanie on zjedzony, zdeptany czy rozmemłany? To ostatnie jest ulubionym zajęciem naszej władzy. Jerzy Buzek był zawsze poczciwą karykaturą polityka. Jeśli upadnie, to AWS pograży się w niszczących konfliktach, jeśli nie odejdzie, będzie zapewne to samo. Notowania AWS w badaniach opinii publicznej lecą, na łeb na szyję. Buzek nie jest jednak głównym winowajcą krachu AWS-u, został premierem właśnie dlatego, że nie miał silnego charakteru ani politycznego zaplecza. Tak on jak i cała formacja jest dzieckiem kompromisu, który gnił od swojego początku.

Każdy widzi co dzieje się na głównej scenie politycznej, ale chyba o wiele gorzej wygląda obsada małych prowincjonalnych scenek. Partyjna choroba, tak piętnowana przed wojną przez Piłsudskiego, jest nadal zdumiewająco żywa. Nawet Unia Wolności, partia mimo wszystko najbliższa nam inteligentom, jest ciężko chora na myślenie, w którym „swój” i „obcy”, to podstawowe kryterium oceny człowieka, a interes partyjny napędzany przez interes własny, zawsze góruje nad tym co kiedyś nazywaliśmy „dobrem wspólnym”, a co dzisiaj brzmi jak pojęcie archaiczne. Jestem w kilkutysięcznym mieście. Wszyscy bardziej rozumni ludzie jakich tu znam, mówią mnie więcej tak: „Doprowadzono już do tego, że nikt kto jest uczciwy i ma trochę rozumu, nie chce u nas wchodzić do struktur władzy. My nie chcemy geniuszy czy świętych,

a jedynie by Oni na stanowiskach nam nie przeszkadzali, niszczące są ich nieustanne spory, konflikty, podstawianie sobie nóg. Działają już w gospodarce naturalne kapitalistyczne mechanizmy, więc im nie przeszkadzajcie i nie przeszkadzajcie nam żyć”.

Brałem udział w konwentyklu patriotycznym, w naszej ambasadzie w Wiedniu. Nagradzano emigrantów za zasługi dla Polski. Pał lichy, że osobliwy wydawał się dobór nagrodzonych. Przy okazji zauważyłem, że w naszej dyplomacji, po czasie powiedzmy profesorsko artystycznym, wykształca się dyplomata polski, osobnik zunifikowany z dyplomata zachodnim. To jest szczególny typ osobowości, na który nakłada się starannie obrobiona forma wypłukana z autentyczności. Ci ludzie są jak mydło, które ma tę cudowną cechę, że chociaż się mydli, to się nie wymydlą. Wydziela higieniczny zapach, ale nie daj Boże spróbować takiego osobnika nadgryźć, tam nie ma nic. Za to nasi emigranci są aż za bardzo. Wielu nie zauważyło, że Polska jest już wolna, że wyczerpały się pewne figury patriotyczne. To uparte odmienianie Polski przyprawia o nudności. A posiadamy gramatykę, która daje tu wielkie możliwości. Ale ojczyzna już wolna, a nasze wojny i powstania dotyczą dzisiaj jedynie pieniędzy. Więc gdy nasza patriotyczna kawaleria znowu rusza do boju, wygląda to humorystycznie, nie ma koni, są tylko krzesła. Na dodatek te krzesła w ambasadzie mają okrutnie zakurzone poręcze. Pani senator z kraju, nieco się spóźniła. Wzburzona pofrunęła do mikrofonu i skarżyć się zaczęła, że miał po nią przybyć samochód ambasady ale nie przybył. A ona osobiście obdarzyła placówkę zaufaniem, a placówka ją okrutnie zawiodła. Zrozumiałem, że głównym tematem spotkania robi się zawód, jaki pani senator przeżyła z powodu samochodu ambasady. Kiedy skończyła z narzekaniem, uderzyła w dzwon patriotyczny i religijny wobec naszej emigracji. A w puencie był wiersz, bodaj Asnyka. Każdy z mówców uderzał w podobny dzwon, a w finale cytował jakiś wiersz. Polska poezja doprawdy dostarcza tysięcy strof godnych cytowania na patriotycznych uroczystościach.

Nieliczni młodzi emigranci byli zgorzeleni, podobnie jak ja, stary i przekorny. Dla nich to orient, te obrządki, zaklina-

nie przeszłości, ten patos, wołanie do Matki Boskiej, wypinanie piersi, to wszystko ich raczej od Polski odpycha, a nie przyciąga. To jest po prostu prowincjonalne. Z poszarzałą twarzą zbliżył się do mnie pewien wiedeńczyk, obdarzony przez los polską żoną i znajomością naszego języka. Mówi do mnie: „Pan sobie teraz wyobraź, jakie ja mam problemy ze swoimi dziećmi, one się chcą z Polską identyfikować, ale jak sobie tak posłuchają, to im się robi skręt kiszki serca”.

Wytarły się dawne figury patriotyczne. Sam tego w sobie doświadczam. Gdy prom ze Szwecji mija helski półwysep, nakłuwa mi serce iglica kościoła w Kuźnicy, muska delikatnie pamięć piaszczysta koronka plaży. Ale pomnik polskich żołnierzy na Westerplatte, już nie porusza mnie, prawie nic. A kiedyś poruszał. Przed laty nosiłem w sobie mit powstania warszawskiego, a kiedy szedłem ulicami Warszawy, dotykały mnie znaki pamięci, tablice upamiętniające poległych, ich heroiczne zmagania. A niedawno pozwoliłem sobie na myśl. Po co? Jaka straszna szkoda tamtej Warszawy obróconej w ruinę, tylu młodych, pięknych ludzi, którzy zginęli, pałacy, budynków, czasu nawarstwieonego w cegle i kamieniu. Dzisiaj to miasto nie ma duszy i jest jedną z brzydszych stolic Europy. Dla mnie Polska, to coraz częściej wspomnienia dzieciństwa, a też Kochanowski, Mickiewicz, Norwid, kilku ludzi, którzy nie mieszkają w kraju, zapach cegieł ruin Warszawy po deszczu, piasek helskiego półwyspu, woda w dłoniach z tatrańskiego strumienia. A więc banały. Nie ma patriotyzmu bez banału. Największa strata, jaką w swej osobistej mitologii poniosłem, to fakt, że zabrano mi strajk sierpniowy i stoczną. Pamiętam w sierpniu roku 80 księdza Jankowskiego jak coś szeptał do ucha Lechowi Wałęsie, a to ucho zdawało mi się być kielichem świętym. Dzisiaj ucho Wałęsy chyba nie słyszy nonsensów, które sam Wałęsa wygaduje? A ksiądz w kościele św. Brygidy, wygłasza swoje faszyzujące i głupie kazania.

Częścią upadku mego patriotyzmu, jest upadek fascynacji polską piłką nożną. Mecz Polska–Anglia rozegrany w Warszawie, potwierdza więcej niż średni stan naszej piłki nożnej, mimo remisu i dzielnej postawy słabszych, czyli naszych. Zwierzęcość kibiców polskich i angielskich ujednocila się, powstaje więc jeden gatunek drapieżcy, bez względu na język,

w którym owo zwierzę wyje i klnie. Ciekawe, że Polacy ankietowani, za największą klęskę ostatniego dziesięciolecia uznali upadek i nędzę polskiej piłki nożnej. Niemal cała Polska oglądała z przejęciem ten mecz, a prawie nikt nie słuchał ważnego wystąpienia premiera na temat wejścia Polski do Europejskiej Unii. Nasi kibice malują sobie oblicza w narodowe barwy równie odważnie jak angielscy. Ale jest istotna różnica. Jak nie potrafili śpiewać zgodnie i zgrabnie polskiego hymnu, tak nadal nie potrafią. I ten dysharmonizowany ryk powrotu „z ziemi włoskiej do Polski”, i przejścia przez snującą się po sąsiedzku Wisłę, brzmi zupełnie surrealistycznie pod dachem roku dwutysięcznego.

SMECZ

Kartki ze skazonej strefy

Redaktor Giedroyc zachęca mnie do opisywania Polski B i Polski C. Chcę oświadczyć, że właśnie tę Polskę C stale opisuję. Jest nią Warszawa. Odbylał małą, ale intensywną podróż po krańcach kraju i tam dopiero odnalazłam Polskę A. Jeżeli przez „Polskę A” rozumiemy rzetelność kupiecką: życzliwość w sklepach, restauracjach i komunikacji; w czystości wokół swego podwórka; w postawie przychylności i gotowości pomocy wobec „przechodzącego”. Cechy te, zupełnie nie wymuszone, spontaniczne – tworzą zaczątek społeczeństwa cywilizowanego. W stolicy ich nie uświadczysz.

Zdziwił mnie natomiast „na prowincji”, zupełny brak zainteresowania „wielką” polityką. Akurat wybuchła afera premiera Tomaszewskiego. Pełno o tym było w głośnikach, również w miejscach publicznych, w smażalniach ryb i piwiarniach. Młodzi ludzie machali ręką, ściszały radio, albo przechodzili na „rap”. Zapytani mówili niezmiennie: „A cóż nas to obchodzi? Zrą się między sobą, niech się zrą”. Lustracja jest dla nich jakąś fantazją z księżycą. Jeżeli twórcy ustawy myśleli, że odciągną nią

uwagę społeczną od spraw bieżących niedokonanych, to się grubo pomylili. Owszem ludzie są przygnębieni, ale faktem, że tacy nami rządzą. Pod słowem tacy rozumieją nie haka w postaci teczki, ale nieudolność i korupcję. W czasie tego mojego zwiadu po kraju, o którym więcej w kolejnym numerze, nie spotkałam ani jednej osoby, która by myślała inaczej.

Polska nie jest krajem niedorajdów w stopniu większym niż inne kraje. Przeciwnie, wydaje mi się, że procentowo jest w Polsce więcej ludzi rzutkich, wynalazczych, dobrze zorganizowanych i o wysokim ilorazie inteligencji. Sięgnijmy do starych symboli: są wśród nas współcześni Wokulscy, Przełęczycy, Kwiatkowscy, zarówno w spodniach jak i w spódnicach.

„Polak potrafi” – hasło wymyślone przez propagandę Gierka służyło wyciskaniu z ludzi ostatnich potów. Na przykład przy budowie osławionej Huty Katowice, która miała z nas zrobić drugą Japonię, warunki bytowania były nie lepsze niż przy budowie dwie dekady starszej Nowej Huty; żadnej infrastruktury, żadnego przyzwoitego spania, czy mycia. Stwierdzali to reporterzy, ale nawet nie pisnęli, bo mieli świadomość, że cenzura nie pozwoli, żeby fakty te przedostały się do opinii publicznej.

Dziś slogan powtórzę bez cudzysłowu. Polak rzeczywiście potrafi, co wielokrotnie udowodnił i stale udowadnia. Tyle, że ci którzy potrafią, trzymani są z dala od rządzenia.

W instytucjach państwowych i samorządowych zbiera się szumowina. Taka, jaką gospodynie ściągają z rosółu łyżką cedzakową jako niezdrowy produkt uboczny potrawy.

Straszliwie zgryźliwie to brzmi, wiem. Naprawdę nie chciałabym nikogo odsądzać od czci i wiary, ale co zrobię, skoro każdy przeżyty dzień przynosi nowe dowody nieudacznictwa i prywaty. Bombardowani jesteśmy skandalicznymi przykładami tak licznymi, że wprost trudno je selekcjonować. Parę na chybił trafił:

W internetowym Centrum Informacji Rządu pod hasłem „promocja Polski” ukazuje się mapa z 49-oma województwami. Dziennikarka radiowa, która zwróciła na ten fakt uwagę wicedyrektorowi Centrum, została przezeń zwymsłana, że po chamsku reaguje na drobne niedociągnięcia. W opinii ludzkiej nie były one takie drobne. Gdy nagrana

rozmowa poszła w eter, telefonom słuchaczy proszących o powtórzenie audycji nie było końca. powtórzono. I co z tego? Pobiadamy, a szumowiny na potrawie pozostaną.

Widujemy w telewizji lekarzy żalących się na lekkomyślne kobiety, które nie robią sobie okresowych badań mammograficznych i przez to rośnie wskaźnik śmiertelności na raka sutka. Jednocześnie z tych samych mediów padają statystyki, że choć mammografów, tomografów komputerowych, akceleratorów do leczenia raka i wszelkiej nowoczesnej aparatury medycznej mamy w bród, a fakt, że czekamy wiele miesięcy, a nawet lat – na zabiegi, wynika z trudnego do pojęcia bałaganu. Sprzęt, który jest w użyciu, pracuje w ciągu dnia zaledwie parę godzin i często za pieniądze wkładane przez pacjenta wprost do kieszeni lekarza. Kontrola NIK-u znalazła w piwnicach klinik drogie importowane urządzenia ratujące życie – nierozpakowane od lat. W okienku telewizyjnym ukazuje się twarz prezesa NIK-u, nie tylko zakłopotana, ale pełna zdziwienia, chociaż z racji funkcji przywykł, żeby niczemu się nie dziwić.

Mój znajomy, ciężko chory na raka, miał naznaczone naświetlania na godzinę siódmą zero-zero. Błędym świtem syn przewiózł go ze szpitala rejonowego do Centrum Onkologii, gdzie włożony w specjalną rynnę, miał być wsunięty na dwie minuty pod promienie niszczące chorą tkankę. Przybywszy na miejsce zobaczył inferno. Wierzę, że niebo, które wielu z chorych rychło zobaczy, wynagrodzi im piekło zgotowane przez lekarzy.

Na stołkach pod ścianami, pacjenci, podtrzymywani przez rodziny, czekali na swoją kolejkę do naświetlania. Gdy wybiła godzina czternasta, a mój znajomy kilkakrotnie omdlewał, syn wdarł się do dyrektora i zrobił mu awanturę. Dyrektor nie zezwał go od chamów, jak dyrektor Papierz z Rady Ministrów radiową dziennikarkę, tylko przyznał rację i przeprosił. Niczego wszakże nie zmienił.

Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Moja znajoma odziedzyczyła po rodzicach spory spadek. Mogła jeszcze za ich życia, mając odpowiednie podpisy, spokojnie w banku przepisać na siebie majątek, żeby zminimalizować podatek spadkowy. Tak czyni większość nie zaprzatając sobie głowy sumieniem obywatelskim. Ona przeciwnie,

Chciała być w porządku z prawem. Myślała, że w Urzędzie Skarbowym, złożony odpowiednio dowody według obowiązującego kwestionariusza, zostanie sprawnie rozliczona, zapłaci i – *fertig*. O naiwności! Urzędniczki latały jedna do drugiej pokazując sobie szwajcarskie czekki i pytając co to jest. Było wiele zachodu, wiele terminów stawiennictwa przerywających urlop znajomej – słowem została ukarana za praworządność.

Bankowości i rozliczeń związanych z prawem własności nie można nauczyć się od ręki. To wiemy. Nie wystarczy kurs teoretyczny. Wiedza przychodzi wraz z praktyką, a tej byliśmy pozbawieni przez półwiecze. Ale od lat dziesięciu już w tym siedzimy. Urzędy skarbowe działają, odkąd zaczęliśmy indywidualnie płacić podatki. Więc był czas, żeby wyszkolić urzędników na wszystkie okoliczności. Tymczasem niekompetencja personelu, z którym zetknęła się moja znajoma, była tak obezwładniająca, że mąż, który jej towarzyszył, mało nie dostał apopleksji. Wszystko się w nim gotowało.

We mnie też się gotuje. Tym bardziej, że widzę wokół siebie łebskich ludzi, którzy powinni zastąpić nierozgarniętych. Ale tak się nie dzieje.

Złości mnie, że nie znajduję w swoim umyśle odpowiedzi, dlaczego? Dlaczego władza zachowuje się – na dalszą metę – samobójczo? Socjolog badający zjawiska polityczne powinni mieć odpowiedź w garści i krzyżeć. Ale milczą. Albo coś niejasno tłumaczą o krążeniu elit.

Gdy wspomniana znajoma oznajmiła mi, że choć mogła obejść prawo, nie uczyniła tego, bo chciała zapłacić, jak należy, wyrwało mi się: „płacić złodziejom”? „Jeżeli oni są złodzieje, to nie znaczy, że ja jestem złodziejką” – brzmiała odpowiedź.

Zawstydziłam się, ale pozornie. Bo w głębi duszy wiedziałam, że nie jestem zdolna do podobnej postawy obywatelskiej. Oddaję co cesarskie cesarzowi jedynie ze strachu przed przyłapaniem. Poczucie lojalności skutecznie tamuje mi wiedza, że moje pieniądze są trwonione.

Z tego względu nie pójdę na najbliższe wybory prezydenckie, parlamentarne i samorządowe. Zawsze głosowałam na Unię Wolności (dawniej Demokratyczną). W wyborach prezydenckich na Mazowieckiego. Gdy przypadł w pierwszej

turze, w obawie przed Tymińskim, oddałam głos na Wałęsę, jako na mniejsze zło. Podobnie było z drugą kadencją tegoż: też oddałam głos na Wałęsę, tylko dlatego, że Kwaśniewski wywodził się z nieprzyjaznej mi formacji, która pokiereszowała życie mojego pokolenia. Gorycz pozostanie, choć wiem, że młodzi następcy starego porządku – nie „winowaci”, i zupełnie inni.

Więc nie mam na kogo głosować. Unia Wolności się blamuje, a kandydaci-etosowcy – szkoda gadać...

Taki jest mój stan ducha „na dzień dzisiejszy” (ulubione wyrażenie naszych władców). Do wyborów daleko. Mogę nie dożyć. Składam tę deklarację wobec tych, którzy – gdy wybrzydzą – wyrzucają mi słusznie: „Po coś głosowała, twój wybór się przyczynił...”

Więc już nie będzie się przyczyniał. Ciekawe ilu ludzi myśli podobnie. Gdyby wybory odbywały się, kiedy piszę te słowa, SLD uzyskałoby 34% głosów, AWS – 16%, a UW – 9%. Politycy koalicyjni tłumaczą niepowodzenie wprowadzaniem czterech reform zaniechanych przez poprzednią władzę, czyli SLD-PSL.

Błąd zaniechania budzi mniejszy gniew społeczny niż plajta. Przy obecnej fuszerce wszystkich czterech reform – szkolnictwa, lecznictwa, rolnictwa i samorządowej – niezmiennie słyszę od ludzi: politycy AWS robią reformy nie po to, żeby poprawić nam życie, ale żeby siebie ustawić.

Ile w tym prawdy? Spójrzmy.

„Wzięliśmy władzę, aby oddać ją ludziom” – tak było w założeniu, i teoretycznie wszystko się zgadza. No bo jest decentralizacja państwa? Jest. Ograniczono liczbę województw, wiele z ich kompetencji przeszło „bliżej obywatela” na szczebel powoływanych do życia powiatów. A więc wszystko w porządku. Gdyby nie fakt, że równocześnie drastycznie wzrosły koszty funkcjonowania organów centralnych. Obowiązki, owszem, zostały przekazane, tyle, że pieniądze, i co gorsze, ludzie, nadal pozostali w centralach. Czy ktoś słyszał o choćby jednym wysoko nagradzanym urzędniku ministerialnym, który zostałby zredukowany, gdyż sprawy, jakimi się zajmował, załatwiane są na szczeblu np. powiatu?

Trudno zrozumieć, po co w ogóle istnieje Ministerstwo Zdrowia z całym olbrzymim wysokopłatnym aparatem urzęd-

niczym, jeśli szefowa tego resortu w każdej wypowiedzi podkreśla, że wszystkie sprawy dotyczące pacjenta i jego styku z lecznictwem znalazły się w gestii samorządowych Kas Chorych. W dyskusjach o restrukturyzacji służby zdrowia dużo się mówi o 30% redukcji personelu medycznego, nikt natomiast nie zająknął się ani słowem o redukcji administracji centralnej. Ile kosztuje nas ten rozdęty do granic możliwości aparat państwowy usadowiony w tych wszystkich ministerstwach, komitetach, agencjach itp. – nie wiem. Wiem natomiast to, co wie każdy obywatel, że każdą tonę wydobytego węgla w 30% obciążają koszty utrzymania spółek węglowych i ... Agencji Restrukturyzacji Górnictwa.

Kolejna obietnica: „skończymy ze stworzoną przez SLD i PSL ‘republika kolesiów’.” O tym na szczęście przestano już głośno mówić. Temat zbyt wstydlivy w sytuacji, kiedy nawet kierowniczką przedszkola w powiatowym mieście dostaje posadę na zasadzie partyjnego klucza.

Ostatnie kryterium, jakie brane jest pod uwagę, to kwalifikacje. „Walczyłam, żeby prezes Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych wybierany był w drodze konkursu” – mówi Joanna Staręga-Piasek, wiceminister pracy. Jednak AWS-SLD-PSL sprzeciwiła się temu w parlamencie. Wybrano na to stanowisko Waldemara Fluegela. Na efekty tej nominacji nie trzeba było długo czekać. ZChNowski prezes natychmiast mianował nowych dyrektorów regionalnych, oczywiście też z ZChN-u, a ci dyrektorzy z kolei zatrudnili członków rodzin i kolejnych partyjnych protegowanych. Indagowani tłumaczyli bez żenady, że o tym, kto pracuje w PFROM, zadecydował przecież wynik wyborów parlamentarnych.

Zdjęto ministra Kaperę za niefortunne sformułowania, trące rasizmem. Zastąpiła go jednak ZChN-owska koleżanka, mająca dokładnie takie same poglądy, tylko może język ostrożniejszy.

Konfitury wygranych. Powie ktoś – zawsze tak było. Ale rzadko dobierano się do nich tak bezwstydlivnie, bez reszty i bez skrupułów.

Prezisi deficytowych nieraz spółek państwowych potrafią „załatwić” sobie uposażenia w wysokościach przekraczających niejednokrotnie zarobki prezydenta Stanów Zjednoczonych.

O zdolnościach menadżerskich prezesa ZUS, Stanisława Alota – arcyważne dziś dla Polaków stanowisko – miał okazję przekonać się cały kraj.

Wyskrobki konfitur też bywają nie do pogardzenia. Kto by, na przykład, potrafił odpowiedzieć na pytanie, jakie kwalifikacje decydowały, iż absolwentkę technikum odzieżowego, a prywatnie żonę wicepremiera Tomaszewskiego, odnaleźć można było na dwóch listach oficjalnych delegacji zagranicznych: miasta Zakopanego na konferencję przedolimpijską w Seulu i ekipy towarzyszącej premierowi Buzkowi w wizycie rządowej w Japonii.

Dostojnicy nigdy nie odpowiadają na podobne zarzuty. Czekają aż przyschnie. I przysycha.

Do dziś nie wiadomo, kto był odpowiedzialny za „afere żelatynową” (rząd z dnia na dzień na wniosek prywatnego monopolisty wprowadził cło na import żelatyny), albo czy poprzedni minister rolnictwa, Janiszewski, został zdymisjonowany za „ciemne interesy”, czy też poległ w wyniku misternej intrygi partyjnego kolegi. Czy wreszcie podjęto jakieś decyzje (gromko zapowiadane) w związku z pomyłką ministra skarbu w wycenie Domów Towarowych Centrum w Warszawie, kosztującą skarb państwa ciężkie pieniądze. Albo co z miażdżącymi zarzutami NIK pod adresem byłego ministra i wiceministra zdrowia? Mogłabym długo wyliczać, tylko znów zapytam, po co?

Na ekranie telewizora widząc promiennie uśmiechniętego premiera z zapałem zapewniającego, że np., opóźnienie przez ZUS przekazania naszych składek do funduszy emerytalnych, to przecież żadna sprawa, gdyż zapłaci się odsetki karne. Kto jak kto, ale premier, jeśli już nie umie rządzić, to powinien przynajmniej wiedzieć co mówi. Kto zapłaci te odsetki, jeżeli jedyne pieniądze jakie ZUS posiada, pochodzą z naszych podatków. A tylko spółki węglowe – nie licząc innych wielkich zakładów – zadłużone są w ZUS na 700 milionów złotych.

W Wenezueli Hugo Chavez wygrał wybory obiecując rozprawę z „chciwą i nieudolną klasą polityczną”. W szybko przebijającym się do przodu peletonie polskich polityków widzę natomiast coraz częściej Andrzeja Leppera, który otwartym tekstem mówi, że nie brakuje mu „kompetencji i

siły, żeby przepędzić to całe rządzące Polską tałatajstwo”.
I jak tu Polacy mają chadzać na głosowanie?

Lubię teksty osobiste. Lubię, jak autorzy odwołują się do własnych doświadczeń; nie tylko dlatego, że są autentyczniejsze od bezosobowej retoryki, ale i dlatego, że więcej w nich głębi i wiedzy o ludzkich zachowaniach. W przeświadczeniu, że podobnych do mnie czytelników jest sporo, czynię poniższe wyznanie.

Z warszawskiej *Kultury* przeszłam do *Tygodnika Powszechnego* jeszcze w czasie osiemnastu miesięcy historycznej Solidarności. Gdy nastał stan wojenny, reżimowa prasa zaczęła na mnie naskakiwać, pisząc, że „czołowa marksistka” zrobiła woltę, stała się żarliwą pątniczką pielgrzymującą na Jasną Górę – itp., itd. Rzeczywiście, chodziłam na doroczną pielgrzymkę do Częstochowy jeszcze za późnego Gierka, gdyż – pomijając sferę religijną – było to wydarzenie tej rangi społecznej, którego reporter z prawdziwego zdarzenia nie powinien lekceważyć. Nawiasem mówiąc, przed wiekiem poszedł na pielgrzymkę i Władysław Reymont, a opowiadanie-reportaż z trasy otworzyło mu karierę literacką.

W stanie wojennym pielgrzymki owe stały się jedną wielką wszechnicą wolnego słowa. Zadeptywaliśmy Polskę, idąc ku Częstochowie koncentrycznie i poruszając w marszu tematy zakazane. Bracia konferencjoniści, duchowni i świeccy, spece od rozmaitych dziedzin, ludzie światli i uczeni, zrywali gardła kładąc nam do głowy to, czego nie wolno było pisać i mówić oficjalnie. Wspaniała szkoła dla młodzieży, bo to z niej rekrutowała się głównie wielotysięczna pielgrzymkowa rzesza.

Starałam się w reportażach z tych wydarzeń, zamieszczanych w *Tygodniku Powszechnym* i ciętych niemiłosiernie przez cenzurę, przemycić jak najwięcej z atmosfery i ducha owych maszerujących spotkań. I to właśnie bolało ówczesną władzę.

Nie dziwiłam się, że reżimowa prasa chce mnie za to ukarać, taka była jej rola. A najlepszą karą wydawało się pobrudzenie inkryminowanej osoby. Stałam się więc przefar-

bowaną czołową marksistką. Nie liczyło się, że marksistką nigdy nie byłam, a już czołową...! Nie zdziwiłam się również, że i teraz, kiedy pielgrzymi masowo maszerują – *Trybuna* sprawę odgrzała, wspominając mnie jako niegdysiejszą pątniczkę. „Najbardziej spektakularne nawrócenie tamtych lat” – napisano.

Przeszłabym nad tym do porządku dziennego, ale okazuje się, że Wolterowska maksyma: „kłamcie, kłamcie, zawsze coś z tego zostanie”, funkcjonuje i w innych regionach. Otóż mój ówczesny młodszy kolega z *Tygodnika Powszechnego*, szlachetny człowiek i doskonały publicysta, spotkawszy mnie po latach odezwał się w te słowa: „a, pątniczka, witam. Tylko, że ja katolikiem byłem zawsze” – dodał nagle. Chciałam odparować, że widocznie nasłuchał się i naczytał propagandy, ale zamilkłam, ugodzona. Doznana przykrość zawsze mnie paraliżuje: nie jestem mistrzem riposty, niestety.

Owszem, stale proszę Boga o nawrócenie. Takie, które by mnie zbliżyło do ewangelii o ośmiu błogosławieństwach. Formalnie nawracać się nie muszę. Od urodzenia jestem katoliczką; w podobnym duchu wychowałam dzieci, z czym – nie będąc ani w partii, ani w dyspozycji – nie musiałam się kryć nawet w najgorszych czasach. Owszem, grzeszyłam, ale nie politycznym marksizmem.

Kultura warszawska była tygodnikiem, jak na epokę, stosunkowo liberalnym, a my, reporterzy, wyłaziliśmy ze skóry, żeby między wierszami przemycić coś z nonsensu, draństwa i hipokryzji owych czasów.

I co z tego zostało, nawet w oczach człowieka myślącego, który z tamtym reżimem nie miał nic wspólnego? „Spektakularne nawrócenie czołowej marksistki”.

Wielka i trwała jest moc propagandy. Zwłaszcza oczerniającej.

Mój młodszy syn jest zapalonym parolotniarzem. Paralotnia to coś pomiędzy skrzydłami Ikara a spadochronem, ma ostatnio wielu wyznawców. Potrzebna jest do tego (nie licząc kosztownego sprzętu) góra i łąka, na którą pobujawszy się w bąblu powietrznym, można bezpiecznie opaść. Podobno

pierwszą paralonie wykonał już Leonardo da Vinci; niestety, materiały, którymi dysponował, były za ciężkie, żeby unieść człowieka.

Mazowsze jest płaskie, tak więc syn, wraz z grupą zapaleńców w różnym wieku, podróżuje weekendami najczęściej do Szczyrku w Beskidzie Żywieckim, gdzie warunki geograficzne sprzyjają lataniu. Gdy pogoda jednak nie dopisze (deszcz czy burza w powietrzu oznacza śmierć), impreza zamienia się w towarzysko-krajoznawczą. Mojego syna oczarował Cieszyn. „Przyjeżdżamy – mówi – a tu mały Wiedeń. Na pięknie odrestaurowanym secesyjnym rynku orkiestra gra walce Straussa...” Ludzie na ławeczkach słuchają (Śląsk zawsze był muzykalny), babuszki obok młodzianów dyskretnie obciążających piwko; niektórzy puszcza się w tany. Kulturalnie, pięknie, tanio.

Piwo w Cieszynie i okolicy kosztuje dwa złote z groszami, w Krakowie – 4, w Warszawie – 8. Schabowy z kapustą – też w cenach w podobnych proporcjach. Z tym, że poza stolicą, zarówno napoje jak i potrawy są w lepszym gatunku i o lepszym smaku. Nie ocyganione. „Nie lubię Warszawy” – konkluduje syn, rodowity warszawiak. Tylko patrzeć jak mi „dziecko” pochłonie prowincja. Zastanawiam się, czy Warszawa zawsze była cwańsza i bardziej żerująca na ludziach niż cała Polska. Chyba tak.

Ale inaczej jest już pod Warszawą. Spędziłam dwa tygodnie w Oborach, dawnym majątku Potulickich, po wojnie – domu literatów, dziś – literackich staruszków. Wokół centralnego gazonu krążą kredowo blade postaci, jak po chemioterapii; wsparte o kule bądź laski. Mnie dano pokój na piętrze, bo jeszcze poruszam się bez sprzętu pomocniczego. Siadujemy na ganku i plotkujemy; niektórzy namiętnie grają w brydża w rozarium. W perspektywie okrągłe małe wierzby litewskie i wielkie drzewa z plaketką „pomnik przyrody, prawem chroniony”. Na stawie łabędzie trzepią skrzydłami.

Jeżeli o ptakach... Zapamiętałam spacer po polach w intensywnym świetle zachodzącego słońca. Na ścieżce i na rzyssku sejmik bociani. Pracowicie dziobią ziemię. Podobno,

w poszukiwaniu małych myszy, którymi chcą się napchać przed Egiptem. Lot odbywa się bez przystanku. Podobno bociany sejmikują przed odlotem, żeby unicestwić przed wielką podróżą słabsze jednostki, które opóźniałyby lot. Robią to za pomocą harakiri dziobami. Wobec nas były uprzejme. Grzecznie ustąpiły nam miejsca na ścieżce, zupełnie nie zrażone naszą obecnością. Wiele gatunków ptasich zanika, a ich coraz u nas więcej. Mała wioska w Białostockiem notuje 80 bocianich gniazd. Bociany lubią Polskę i Polaków. Zupełnie nie wiem dlaczego.

A ja lubię Obory i wiem dlaczego. Wśród wielu powodów, jest i pobliski targ, funkcjonujący pod niebem w środy i soboty. Kupić na nim można wszystko taniej i lepiej niż w Warszawie. Szkoda, że Ormian coraz mniej; byli urodzonymi kupcami w najlepszym stylu! Sprzedawcy są uprzejmi, objaśniają klienta, dają bonifikaty i gratyfikacje A „lumpeksy” (stoiska z rzeczami używanymi) – niebywałe. Z przeceny sezonowej kupiłam 6 bluzek za dziesięć złotych. Blisko Warszawy – a już inaczej.

Z kącika cwaniaka:

O zarobkach samorządowców było już do znudzenia. Nie mogę się jednak powstrzymać od pokazania jeszcze dwu kwiatków z tej łączki:

Starosta powiatu warszawskiego, Edmund Ambroziak (AWS), żeby sobie dorobić, ma drugą posadę dyrektora dzielnicy Praga. Starostwo – to 14 tysięcy złotych, a dyrektor dzielnicy – 11.800 zł.

Henryk Dąbrowski (AWS) – w powiecie warszawskim odpowiedzialny za mienie skarbu państwa i ochronę środowiska, w dzielnicy odpowiada za zamówienia publiczne. Odpowiednie gąze: 11 tys. zł i około 6 tys. zł.

Poproszony o komentarz do tej sprawy, najwybitniejszy spec od samorządów w Polsce, prof. Jerzy Regulski, stwierdził: „Nigdzie na świecie nie zetknąłem się z praktyką łączenia stanowisk”. Natychmiast ripostował mu jeden z liderów warszawskiego RS AWS, Andrzej Szklarski: Łączenie posad jest pozytywne, bo wyrabia jednocześnie różnych fachowców.

A poza tym, my w AWS, boimy się mało znanych osób,

PS. Pisałam poprzednio o zapowiedzi podróży na Alaskę ministra Kropiwnickiego, szefa centrum badań strategicznych. Miał zapoznać się z tamtejszymi problemami w dziedzinie rolnictwa. Po powrocie do kraju minister przyznał, iż miał pecha. Na miejscu okazało się bowiem, że okolica, w której się chciał zapoznawać leży już na terytorium Kanady, a nie Stanów. Czyżby nawaliły służby dyplomatyczne podsuwając ministrowi niewłaściwą mapę?

Koniec sierpnia 1999 roku

Ewa BERBERYUSZ

Finale Konkursu Pamięci Polsko-Żydowskiej w Płońsku

7 września w Płońsku odbył się finał Konkursu Pamięci Polsko-Żydowskiej o nagrodę imienia Ben Guriona. Do samych nagród powrócę za chwilę, warto na początek opowiedzieć o historii tego konkursu. Po upadku komunizmu pierwszym burmistrzem miasta Płońska został, związany z „Solidarnością” nauczyciel, polonista, Andrzej Pietrasik. Wśród licznych pomysłów na ożywienie politycznego i gospodarczego życia w Płońsku, nowy burmistrz zaczął nalegać na wprowadzenie do szkół lekcji na temat historii regionalnej. W Płońsku, gdzie przed wojną dominowała ludność żydowska, z natury rzeczy oznaczało to pokazanie tak jasnych jak i ciemniejszych stron współżycia ludności polskiej i żydowskiej. Początkowo obawiano się, że ten pomysł wzbudzi opory i sprowokuje elementy czarno-secinne. Okazało się, że opory były słabe, a incydenty antysemickie sporadyczne. Przed trzema laty próby odbudowy miejskiego archiwum nasunęły ówczesnemu burmistrzowi pomysł

konkursu pamięci polsko-żydowskiej.

Wychodząco tu z założenia, że taki konkurs pomógłby nie tylko odtworzyć historię miasta, ale stanowiłby znakomitą okazję dla promocji dzisiejszego Płońska. Pod warunkiem, że konkurs się uda, a to wcale nie było łatwe wyzwanie, bo trzeba było dotrzeć do rozrzuconych po świecie byłych mieszkańców Płońska lub ich dzieci. Płoński samorząd rozpoczął tę akcję od Ministerstwa Spraw Zagranicznych i telewizji „Polonia”. Dalsze kroki były już nieco łatwiejsze – ogłoszenia w lokalnej prasie polonijnej i żydowskiej, zmuszona próba zbudowania bazy danych na temat rodzin, które mieszkały w Płońsku przed wojną, decyzja o rozszerzeniu tematyki konkursu, by nie zawęzić go do Płońska i Mazowsza. Wreszcie zaczęły napływać pierwsze prace konkursowe – ze Stanów Zjednoczonych, Izraela, z Ukrainy i z samej Polski. Na konkurs odpowiedziało 115 osób z siedemnastu krajów, z tego 70 prac napłynęło z Polski. Rzecz ciekawa, bo część tych prac przysłali ludzie młodzi, tak Polacy jak i Żydzi, próbujący odtworzyć i zrozumieć wspólną historię.

W miarę jak konkurs zyskiwał coraz bardziej konkretne kształty powiększały się szeregi ludzi i instytucji gotowych do udzielenia pomocy. Wśród mecenasów znaleźli się ambasadorzy Izraela i Stanów Zjednoczonych, swoją pomoc zaoferowało kilka fundacji, na końcowym etapie honorowy patronat nad tą imprezą objął Aleksander Kwaśniewski. W efekcie ta impreza przyniosła nie tylko niezwykle bogaty plon w postaci materiałów pamiętnikarskich i prac historycznych, ale autentycznie rozstawiła dzisiejszy Płońsk.

W międzyczasie odbyły się kolejne wybory samorządowe i finał tego konkursu reżyserowany był już przez inną opcję polityczną. Wypada się cieszyć, że nowe władze samorządowe nie tylko nie zrezygnowały z pomysłu swoich poprzedników, ale wręcz nadały mu najwyższy priorytet. Szkoda, że jak zwykle u nas, zabrakło kurtuazji i umiejętności współdziałania.

Płońsk, w odróżnieniu od wielu innych miast tej wielkości, znakomicie wykorzystał okres po 1989 roku. Jest dziś autentycznie kwitnącym miastem średniej wielkości. Jest to przede wszystkim zasługą samorządu, który nie tylko umiał wykorzystać atuty dobrego położenia geograficznego (bliskość Warszawy, dobre połączenia komunikacyjne, silny ruch tranzytowy) ale podejmował inicjatywy z wyobraźnią. W katalogu tych inicjatyw Konkurs Pamięci Polsko-Żydowskiej imienia Dawida Ben Guriona zajmuje z pewnością pierwsze miejsce. Cele były wielostronne – zebranie pamiętnikarskiego materiału,

rozbudzenie historycznej świadomości mieszkańców miasta, pokazanie, że Płońsk jest miastem otwartym na świat, ale również ściąganie turystów i promocja samego Płońska. Wszystkie te cele udało się znakomicie zrealizować i zapewne długo jeszcze będą profitowały. Znakomicie wykorzystano fakt, że Płońsk jest miejscem urodzenia Ben Guriona. Duma z tego, że tu właśnie wychowywał się izraelski mąż stanu oraz upamiętnienie miejsca jego urodzenia tablicą, musiało wywołać i wywołało bardzo ciepłe uczucia tak w Izraelu jak i w żydowskiej diaspory.

Podczas uroczystej gali, którą uświetnili swoją obecnością ambasadorzy Izraela i Stanów Zjednoczonych, zabrakło moim zdaniem prezydenta, a przynajmniej bardzo wysokiego rangą przedstawiciela kancelarii prezydenckiej. Patronat honorowy nad tego rodzaju imprezą zobowiązuje i jak się już powiedziało A to trzeba również powiedzieć B.

Władze samorządowe zadbały, żeby opieka naukowa nad tą imprezą była na najwyższym poziomie. Jak podczas finału podkreślał przewodniczący jury, profesor Stanisław Siekierski, szczególną zaletą tego właśnie konkursu było położenie głównego akcentu na współistnieniu i współdziałaniu. W efekcie we wszystkich pracach świadectwu tragedii towarzyszy świadectwo prawdziwie ludzkich odruchów w momentach największej próby.

Praca nagrodzona pierwszą nagrodą nosi zmienny tytuł: „Spotkałam ludzi...” i jest rzeczywiście nieprawdopodobną opowieścią o losach dziecka uratowanego przed zagładą przez Polaków i wychowanego jako polska Kasia Burak. Rut Wermuth-Burak opowiada nie tylko historię swego ocalenia, ale i historię walki o zachowanie swojej psychicznej integralności.

Druza nagroda jest opowieścią z trzeciej ręki. Autorka Walentyna Iwanowna-Kotwicka, jest córką Ukrainki i Polaka. Opowiada historię żydowskiego dziecka wypchniętego z transportu śmierci, które mogło przetrwać tylko dzięki pomocy wielu ludzi. Wśród tych ludzi jest ukraiński policjant chroniący żydowskie dziecko przed własnym bratem, ukraiński chłop ukrywający żydowską dziewczynkę za snopem lnu na piecu, cała polska osada, która uratowała grupę kilkudziesięciu Żydów.

W sumie nagrodzono 29 prac i jak twierdzą członkowie jury otrzymano zarówno niebywale ciekawy materiał pamiątkarski, jak również pozyskano przy okazji kilka bardzo interesujących prac historycznych.

Andrzej KORASZEWSKI

Sprawy i troski

Czy warto ratować spółdzielczość?

Rok był 1947, we wrześniowym numerze *Nowych Dróg* Roman Werfel informował o sytuacji po procesach politycznych. Odczytując ten artykuł po latach uderza w nim próba przekonania czytelników *Nowych Dróg* dlaczego skazuje się ludzi takich jak Jan Rzepecki, ludzi znanych ze swoich lewicowych poglądów, zwolenników reform społecznych, które dzisiejsza prawica uznalaby zapewne za czysty socjalizm. W tym samym numerze *Nowych Dróg*, i to już na drugiej pozycji, Franciszek Blinowski pisał o miejscu i roli spółdzielczości w demokracji ludowej. I znów pepeerowski działacz otrzymał zadanie przekonania czytelników, że spółdzielczość jest dobra, ale nie do końca. Bez trudu można w tym artykule doczytać się planów likwidacji ruchu spółdzielczego, podporządkowania istniejących spółdzielni państwowemu i partyjnemu nadzorowi, widać w nim również szczególny lęk przed spółdzielczością wiejską, która mogłaby wzmocnić rodzinne rolnictwo. Autor nie krył swoich obaw, że zorganizowani rolnicy mogliby osiągnąć „niebezpiecznie silny wpływ na produkcję i rynek artykułów rolniczych.” W ciągu kilku następnych lat ruch spółdzielczy przestał istnieć, a spółdzielnie pozostały spółdzielniami tylko z nazwy. Ruch spółdzielczy nie odrodził się ani po roku 1956, ani po roku 1989. Obecnie pojawiła się koncepcja ostatecznej likwidacji działających, które pozostały po operacji rozpoczętej z górą pół wieku temu.

Na dzień dzisiejszy, według oficjalnych statystyk Krajo-

wej Rady Spółdzielczej, mamy w Polsce trzynaście tysięcy spółdzielni i osiem milionów spółdzielców. Rzec by można Rzeczpospolitą Spółdzielczą, ale nikt nie traktuje tych danych poważnie. Tak naprawdę nie ma informacji o stanie spółdzielczości. Są spółdzielnie, które zupełnie nieźle odnalazły swoje miejsce w gospodarce rynkowej, większość kuleje, próbując jakoś przetrwać. Zmorą spółdzielczości jest nadmiernie rozbudowana administracja, co gorsza, jest to administracja z nawykami z czasów komunizmu i często niezdolna do zmiany stylu działania. Istnieje stereotyp, że ta odziedziczona po komunizmie spółdzielczość jest organizmem szczególnie korupcyjnym, że brak jasnych stosunków własności i z reguły pozorny tylko nadzór ze strony członków spółdzielni stwarza doskonałą okazję do manipulacji dla małych grup zarządających spółdzielczym majątkiem. Nawet jeśli jest to daleko idące uogólnienie, aż nazbyt często znajduje ono potwierdzenie w rzeczywistości. Ta sytuacja skłoniła rządzącą koalicję do przedstawienia propozycji podporządkowania spółdzielni prawu o spółkach handlowych. Ostatecznie projekt upadł podczas głosowania w Sejmie w początkach września. Jednak dyskusja wokół tego projektu była zdecydowanie zbyt wąta. Nie sporządzono żadnej analizy na temat tego jak zmieniłoby to sytuację spółdzielni, ale reakcje na tę propozycję były podzielone. Niektóre, silniejsze spółdzielnie upatrywały w takiej zmianie statusu prawnego szansę na ściągnięcie kapitału z zewnątrz i wzmocnienie swojej działalności, większość uważała, że jest to zamach na samą ideę spółdzielczości i próba pogrzebienia ruchu spółdzielczego na zawsze. Zwolennicy tego projektu podejrzewają, że przynajmniej część spółdzielczej opozycji, to ludzie planujący mniej przejrzyste formy prywatyzacji spółdzielczego majątku. I znów rzeczywistość dostarcza tu faktów, które potwierdzają takie obawy. Można zaryzykować stwierdzenie, że znaczna część spółdzielni (w szczególności na wsiach i w małych miasteczkach) podtrzymuje swoją egzystencję wyprzedając majątek, a podejrzania o nagminny nepotyzm przy tej wyprzedaży nie są pozbawione podstaw. Zbiorowa, spółdzielcza własność jest z pewnością fikcją, ale zmiana tego stanu rzeczy wymagałaby zupełnie innego podejścia do nowelizacji prawa o spółdzielniach. Sytuacja jest

zapewne nieco łatwiejsza w spółdzielczości mieszkaniowej, gdzie członkowie spółdzielni wnoszą znaczące udziały i gdzie pojęcie członkowskiego kapitału ma konkretne znaczenie. Obraz jest zupełnie odmienny w Spółdzielczych Kółkach Rolniczych, w Samopomocy Chłopskiej, w Rolniczych Spółdzielniach Produkcyjnych, w bankach spółdzielczych, czy w takich jednostkach jak „Społem”. Tu udziały członkowskie są bardzo małe, dywidendy symboliczne, powstawanie majątku odległe było od spółdzielczej mechaniki, członkostwo w spółdzielni bardzo często nie daje znaczących przywilejów w dostępie do usług. W moim mieście licząca jeszcze kilkanaście lat temu ponad pięciuset członków Spółdzielnia Handlowo-Produkcyjna (czyli dawny GS), ma dziś zaledwie stu członków i jedną trzecią majątku, który miała jeszcze pięć lat temu, z ponad dwustu pracowników pozostało 39 oczekujących na dalsze redukcje. Do niedawna te Gminne Spółdzielnie miały na wiejskim rynku pozycję monopolisty, więc przystosowanie się do nowej rzeczywistości i to zarówno ze strony spółdzielców jak i ze strony klientów, wymagało czasu. Nowy, prywatny przedsiębiorca oferował towary i usługi o jakich się pseudospółdzielczej sieci zaopatrzenia i zbytu nawet nie śniło. Spółdzielnie z reguły wolniej podnosiły opłaty za swoje usługi, ale wachlarz i jakość tych usług nadal pozostawia wiele do życzenia. W efekcie, przynajmniej jeśli idzie o wieś, część rynku obsługiwana przez spółdzielnie jest rynkiem uboższego klienta. Byłaby to sytuacja zdrowa i naturalna, gdyby nie wspomniane wcześniej choroby spółdzielczości.

Spółdzielcze banki to osobny rozdział. Wydaje się, że w ich życiu spółdzielczy charakter nie odgrywa już żadnej roli. Z natury rzeczy są to banki małe i słabe. Od dawna nie wypłacają już dywidend swoim członkom, nie są w stanie zagwarantować im żadnych przywilejów. Dobrzyńska filia Kujawsko-Dobrzyńskiego Banku Spółdzielczego zrzesza ponad tysiąc udziałowców. Zadzwoiłem do kilku z nich z pytaniem, czy są spółdzielcami i wszyscy dopiero po dłuższej chwili i po pytaniach pomocniczych uświadomili sobie, że są udziałowcami w banku. Odbywające się co kilka lat walne zgromadzenia ograniczają się do suchej relacji z działalnością banku i do ewentualnych utyskiwań na pracę personelu.

Zarząd wybierany jest spośród członków, ale bardzo trudno to nazwać nadzorem ze strony spółdzielców. Wydaje się, że nikt tu nie zabiega o zmianę tego stanu rzeczy. Ustawa bankowa jest oczywiście nadrzędna nad ustawą o spółdzielczości, małe i słabe banki spółdzielcze z konieczności muszą mieć nadzór i gwarancje ze strony większych instytucji finansowych, co wcale nie oznacza, że nie można tu znaleźć rozwiązań pozwalających na wykorzystanie atutów jakie daje spółdzielczy charakter tych banków. Polskie Stronnictwo Ludowe przedłożyło projekt ustawy o funkcjonowaniu banków spółdzielczych, ich zrzeszaniu się oraz o zmianie niektórych nazw i projekt ten (o ile mi wiadomo) czeka na zaopiniowanie przez Ministerstwo Finansów. Jak piszą w uzasadnieniu autorzy tego projektu: „Głównym przesłaniem projektowanej ustawy jest umożliwienie bankom spółdzielczym i bankom regionalnym dobrowolnego wyboru modelu funkcjonowania oraz własnej strategii rozwoju.” Nie mam kompetencji do merytorycznej oceny tego projektu, niepokoi jednak fakt, że ze strony przedstawicieli organów, które winny opiniować tego rodzaju propozycje, zetknąłem się z lekceważącym odrzuceniem nie ze względu na meritum sprawy, a ze względu na to, iż został on złożony przez PSL. Niezależnie od tego jak potoczą się dalsze losy tego właśnie projektu, warto tu być może skorzystać z wzorów skandynawskich, gdzie finansowanie rolnictwa i rozwoju wsi nadal głównie bazuje na spółdzielczych instytucjach finansowych. Banki Spółdzielcze to w lwiej części kredyty dla rolników, ich sytuacja finansowa jest całkowicie zależna od sytuacji rolnictwa, czy stać je jednak na samodzielną inicjatywę, na poszukiwanie możliwości stymulowania rozwoju wsi i rolnictwa? Niestety, tego rodzaju prób nie widać. Być może jestem tu przewrażliwiony, ale najgorszą wizytówką tej spółdzielczej bankowości było dla mnie spotkanie z dyrektorem banku w Dobrzyniu, który z zażenowaniem poinformował mnie, że nie otrzymał zezwolenia na udzielanie wywiadu dziennikarzowi ze swojej centrali we Włocławku. Niezależnie od tego jak wysoko cenimy sobie ideę spółdzielczości, nie można pomijać faktu, że na korytarzach różnych central spółdzielczych zapach niedawnej przeszłości jest wręcz niezwykle intensywny.

Wypada w tym miejscu zadać pytanie, czy spółdzielczość

AD 2000 ma w ogóle rację bytu. W krajach, w których ta forma przedsiębiorczości rozwijała się nieprzerwanie przez blisko dwa stulecia, spółdzielnie (tak na wsi jak i w miastach) są z reguły prężnymi przedsiębiorstwami, ale utraciły swoje pierwotne społeczne znaczenie. Obrona przed drapieżnością kapitalizmu przybierała różne formy i mam wrażenie, że w wielu krajach zachodnich ruch obrony konsumenta jest dziś silniejszy niż ruch spółdzielczy. (Co nie oznacza zaniku tej formy gospodarowania. W Skandynawii ta forma przedsiębiorstw w dalszym ciągu stanowi prawie trzecią część gospodarki.) Zanikające znaczenie ruchu spółdzielczego w tych krajach było w znacznym stopniu funkcją jego skuteczności. W Polsce sytuacja jest zupełnie odmienna. Wojna i dziesięciolecie komunizmu cofnęły nasz kraj do sytuacji jaka istniała na początku tego stulecia. Być może w dobie globalizacji jest to sytuacja wręcz gorsza. Drobnny producent, słabo wykształcony, pozbawiony dostępu do informacji, bez kapitału pozwalającego na szybką modernizację, nie ma szans zaistnienia na rolniczych giełdach, konkurowania z wielkimi koncernami, ba, korzystania z prostych dziś i niespecjalnie drogich technik informacyjnych. Spółdzielczość mogłaby być niebywale cennym instrumentem transformacji wsi nie przez pauperyzację, a przez wprowadzaną stopniowo współpracę, szkolenie i specjalizację. Odbudowanie ruchu spółdzielczego wymagałoby pojawienia się ludzi wierzących w jego sens. Dziś praktycznie rzecz biorąc nie widać takich ludzi, a obrona istniejącego *status quo* nie wzbudza szczególnych sympatii. Młodzi rolnicy nie wierzą w spółdzielczość, nie mają ochoty na studiowanie przepisów prawa i statutów oraz na zastanawianie się nad tym, czy istniejące struktury nie są przypadkiem dobrym punktem wyjścia do połączenia swoich sił. Trudno im się dziwić, gdyż w większości przypadków musieliby walczyć z układami, z którymi w lokalnych społecznościach za ludzkiej pamięci nikt jeszcze nie zwyciężył.

Przed wszystkim jednak rolnicy mają jak najgorsze doświadczenia ze wspólną własnością. Chcą mieć swoje i nie ma się czemu dziwić. W efekcie jednak kupują często sprzęt, który nie ma szans amortyzacji w małych i średnich gospodarstwach. Stosunkowo tanie usługi Spółdzielni Kółek Rolniczych mają dziś konkurencję w postaci nie opodatkowanej,

szarej strefy usług sąsiedzkich. SKR-y mają nie tylko przestarzały sprzęt, ale ze względu na niskie płace mają kadrę pracowników najemnych mającą bardzo mgliste pojęcie o nowoczesnej produkcji rolnej. Wśród pracowników obsługujących sprzęt w tych spółdzielniach człowiek z maturą prawie się nie zdarza, a pracownicy poniżej czterdziestu lat są rzadkością. Teoretycznie owe SKR-y mogłyby zmienić ofertę na konserwację i remonty prywatnych maszyn rolniczych, na wypożyczalnię rzadziej używanego sprzętu, na naukę obsługi nowoczesnych maszyn, na informacje i poradnictwo przy zakupach sprzętu rolniczego. Prezes jednego z takich SKR-ów odpowiada mi na to krótko – wymagałoby to całkowitej wymiany pracowników najemnych, a więc, albo znaczącego kapitału startowego, albo dużego kredytu na ryzykowne przedsięwzięcie. To ostatnie jest praktycznie rzecz biorąc niemożliwe, gdyż banki coraz mniej chętnie udzielają kredytów spółdzielniom. Próba wyjścia na prostą musi się odbywać drobnymi krokami i z konieczności, bez angażowania poważniejszych środków finansowych. Potwierdza jednak, że jedyną szansą wiejskiej spółdzielczości jest zmiana spółdzielczej oferty i dostosowanie jej do dzisiejszych potrzeb. Są to jednak dylematy prezesów, bo spółdzielców jest coraz mniej, a ludzi przekonanych o potrzebie odbudowy ruchu spółdzielczego policzyć można na palcach. Może tak jest dlatego, że nie widać pozytywnych wzorów, a może dlatego, że sytuacja w spółdzielczości jest dziś tak zabagniona, że nikt nie widzi możliwości rozplątania tego węzła.

Kółka Rolnicze, jako swoiste związki zawodowe zaktywizowały się przy okazji ostatnich protestów rolniczych. Nawet rozumiejąc głęboki dramat wsi, trudno nie dostrzec w działaniach tego związku z jednej strony taniego populizmu, a z drugiej całkowitej inercji jeśli idzie o inicjowanie działań pozytywnych i prób wskrzeszenia autentycznej spółdzielczości. Wynika to z faktu, że jest to raczej związek prezesów spółdzielni niż spółdzielców, a dramat i rozgoryczenie rolników wykorzystano tu raczej instrumentalnie.

Być może ostatnią szansą pchnięcia owych kółek w kierunku autentycznej spółdzielczości był marzec 1981 roku, kiedy to wielu działaczy tej organizacji zadeklarowało gotowość połączenia się z Solidarnością Rolników Indywi-

dualnych. Jest to jednak wyłącznie interesujący epizod historyczny, do którego dziś nikt już nie wraca. Wspominam o tym, gdyż wówczas zachowania (i odwaga) działaczy były funkcją nacisku szeregowych członków. Dziś, nawet jeśli założymy, że struktury Kółek mogłyby być wykorzystane dla ożywienia spółdzielczego ruchu, brak jakiegokolwiek nacisku ze strony szeregowych członków powoduje, że ta szansa jest znikoma.

Zapewne w Krajowej Radzie Spółdzielczej, czy Spółdzielczym Instytucie Badawczym znajdziemy ludzi głęboko przejętych ideą spółdzielczego ruchu, ale ich możliwości ograniczają się do wydawania słabo rozchodzących się pism.

Odrodzenie wiejskiej spółdzielczości, jeśli przyjdzie, musi przyjść z samej wsi. W okresie międzywojennym spółdzielcze inicjatywy wychodziły od chłopskich działaczy ludowych, wiejskich nauczycieli, agronomów, księży. Dziś tradycyjna wiejska inteligencja zagubiła poczucie misji i nie cieszy się jakimś szczególnym zaufaniem rolników, pojawiła się spora grupa lepiej wykształconych rolników, ale między nimi a resztą jest często mur nieufności, zresztą nie widać tu zbyt wielu społecznikowskich prób. Same środowiska chłopskie są również wewnątrz rozbite i jednoczą się niemal wyłącznie w akcjach protestu.

Spółdzielczość potrzebna jest dziś rolnikom jak powietrze, aby pomóc im wypełnić niezawinioną lukę między nimi a nowoczesnością, aby zapewnić im informację, pomóc podnieść kwalifikacje, nauczyć prowadzenie gospodarstwa w oparciu o rachunkowość, pomóc w organizacji osłony prawnej, a wreszcie, co było jednym z najsilniejszych atutów tradycyjnej wiejskiej spółdzielczości, pomóc w organizacji własnego przetwórstwa i handlu, aby ograniczyć korupcję pośredników, na którą rolnik jest nieustannie narażony. Opowieści rolników są dość przerażające i czasem trudno w nie uwierzyć, uderza jednak ich monotonna powtarzalność – wszyscy oczekują od nich łapówek. Nieustannie słyszą ten przeklęty zwrot, sygnał oczekiwania łapówki: „to nie przejdzie”. Ich produkty rzeczywiście są bardzo często poniżej norm wymaganych we współczesnej produkcji żywności. Niestety, te normy bardzo często stają się okazją do wymuszania łapówek. Rozbicie i brak wykształcenia rolników

czyni z nich łatwe ofiary. Na tym polu interesującą próbą są nowe formy spółdzielczości znane pod nazwą „grup producenckich”. W statutach tych grup znajdujemy wiele tradycyjnych celów wiejskich spółdzielców. A więc wspólne transakcje sprzedaży większych partii towarów, prowadzenie wspólnego zaopatrzenia w środki obrotowe, wspólne przechwalnictwo, przetwórstwo i marketing. Możemy tu mówić o odradzaniu się spółdzielczości wiejskiej i to na całkiem poważną skalę. Problemem jest tu jednak fakt, że jest to z reguły spółdzielczość zamożniejszych i bardziej wykształconych rolników.

Czy istnieje szansa na odbudowę spółdzielczości tych najsłabszych, najbardziej zagubionych i najbardziej narazonych? Spółdzielczości, która pomogłaby im podnieść standardy produkcji i odzyskać wiarę w siebie? Wymagałoby to ponownego pojawienia się na wsi społeczników. Przewyciężenie nieufności, inercji i poczucia beznadziei wymaga całego programu, w którym społeczność wiejska mogłaby otrzymywać dowody na to, że sukcesy (choćby bardzo drobne) są możliwe. Spółdzielczość wiejska była od zarania szkołą samoobrony, innej samoobrony niż ta, z którą mamy dziś do czynienia na polskiej wsi. Aby ta nikła szansa odbudowy spółdzielczości mogła być wykorzystana, pierwszym krokiem musi być inne podejście do problemu nowelizacji prawa o spółdzielniach. Przy dyskusji nad tą kwestią nie wolno pozwolić sobie na jednostronność; na jednostronną gloryfikację spółdzielczości jako takiej, bez uwzględniania jej stanu obecnego w dzisiejszej Polsce, czy też na ślepy krytycyzm, bez uwzględniania zalet tej formy gospodarowania, w szczególności w dobie transformacji wsi.

Andrzej KORASZEWSKI

O religii bez namaszczenia

Synod Europejski i nowe tysiąclecie

Piszę ten artykuł w pierwszych dniach września, w przeddzień Synodu Europejskiego, który ma się odbyć w Rzymie w październiku, na zaledwie trzy miesiące przed końcem bieżącego tysiąclecia Chrześcijaństwa. Podkreślam milenijny aspekt tego wydarzenia, ponieważ może ono, i powinno powiedzieć nam niejedno na temat kształtu Kościoła u progu lat dwutysięcznych. Będzie to drugie zgromadzenie Synodu Biskupów poświęcone Europie; pierwsze odbyło się w grudniu 1991 roku. Instytucja okresowych synodów poświęconych kolejno sprawom poszczególnych kontynentów została wprowadzona przez papieża Pawła VI wkrótce po zakończeniu II Soboru Watykańskiego w połowie lat sześćdziesiątych, jako jeden ze sposobów realizacji zasady kolegialności – to jest współdziałania światowego kolegium biskupów w rządach Kościołem – która stanowi jeden z kluczowych elementów soborowej reformy Kościoła. Powiedzmy od razu, że synody nie są idealnym sposobem realizacji tej zasady, która została przyjęta przez Sobór z wielkimi oporami. Świadczą o tym odpowiednie artykuły soborowej Konstytucji o Kościele „Lumen Gentium” i zwłaszcza dodane do niej z polecenia papieża Pawła VI specjalne oświadczenie sekretarza generalnego Soboru; chodziło o to, by zasada kolegialności w niczym nie umniejszała silnie ugruntowanych w historii Kościoła prerogatyw papieża jako głowy kolegium biskupów. I te szczególne prerogatywy również silnie ograniczają procedurę i kompetencje posoborowych synodów. Tematyka każdego synodu

jest z góry ustalona przez stały sekretariat w postaci tak zwanych Lineamenta rozsyłanych do odpowiednich diecezji; następnie z nadesłanych przez biskupów odpowiedzi składa się tak zwane Summarium, które potem stanowi *instrumentum laboris* czyli tematykę konkretnych obrad. Wyniki obrad, które toczą się w zamkniętym gronie, są następnie przedstawiane papieżowi, który na tej podstawie opracowuje dokument streszczający owoce synodu. Tajność obrad ma tę dobrą stronę, że umożliwia uczestnikom swobodę wypowiedzi bez obawy nadania im niepożądanego rozgłosu, ale tym samym oczywiście ogranicza ona ich efektywność, a tym samym także pastoralną efektywność synodów. W założeniu, tak wierni, jak i opinia publiczna, dowiadują się o przebiegu synodu tyle, ile zaplanują jego organizatorzy; w praktyce posynodalne komentarze uczestników nieraz mówią więcej. Wiadomo na przykład, że dwa ostatnie synody, których tematami były kolejno sprawy Azji oraz Australii/Oceanii, miały znacznie swobodniejszy przebieg niż pierwotnie planowano i niżby wynikało z oficjalnych komunikatów.

Poprzedni Synod Europejski przypadł na okres ostatecznego upadku komunizmu w Europie i rozpadu sowieckiego imperium. Wiązały się z tym wielkie nadzieje na przezwyciężenie historycznego podziału kontynentu na stronę zachodnią i wschodnią i zbliżenie nie tylko w sensie politycznym, ale również kulturalnym i religijnym. Ale właśnie synod wykazał, jak złudne były te nadzieje, nie bez winy strony zachodniej, w tym i Kościoła katolickiego. Kościoły prawosławne poczuły się zagrożone objawami nowej pewności siebie zachodniego chrześcijaństwa, nagłym wyzwoleniem się spod politycznego ucisku Kościołów unijnych, a także kierowaną głównie przez polski Kościół katolicką akcją misyjną na terenach dawnego Związku Radzieckiego. W rezultacie wszystkie Kościoły prawosławne odmówiły wzięcia konstruktywnego udziału w rzymskim synodzie w charakterze zaproszonych obserwatorów (podobnie jak większość nie-katolickich Kościołów zachodnich, w tym także oficjalny Kościół Anglii).

Nie wiadomo, jak będzie tym razem. W ciągu lat, które minęły od tamtego synodu, Watykan podjął szereg inicjatyw zmierzających do załagodzenia tych napięć, ale równocześnie zrezygnował też z podejmowania zbyt ambitnych, specyficznie

katolickich inicjatyw ekumenicznych. Charakterystyczna pod tym względem była niedawna spektakularna wizyta papieża Jana Pawła II w Rumunii (7-9 maja br). Był to niewątpliwie sukces, ale sukces raczej polityczny niż ekumeniczny. Wizyta stała się możliwa między innymi dlatego, że współczesna Rumunia pod prezydentem Constantinescu pragnie jak najdalej idącego zbliżenia z Zachodem (w tym i członkostwa NATO) i w tej sytuacji patriarcha Teoksyt, który niespełna 10 lat temu gniewnie odrzucił pretensje papieskiego Rzymu, teraz z otwartymi ramionami witał w Bukareszcie papieża. (Tradycyjne więzy autokefalicznych Kościołów prawosławnych ze świeckimi rządami miewają swoje dobre strony). Papież ze swej strony przyjął żądanie Bukaresztu i zrezygnował z odwiedzenia grecko-katolickich wspólnot w Transylwanii. Przy tym obie strony nie zrezygnowały ze słownego afirmowania dzielących je historycznych i aktualnych różnic. W rezultacie obie katedry w Bukareszcie były świadkami dwóch uroczystych nabożeństw, w których przywódcy dwóch historycznych wyznań chrześcijańskich, obaj wierzący w sakramentalną obecność Jezusa w tej samej uznanej przez obu Eucharystii, nie wzięli aktywnego udziału w czynnościach sakramentalnych drugiej strony. Przy całej rewerencji dla biernie obserwowanej liturgii, ani papież nie przyjął komunii prawosławnej, ani patriarcha katolickiej. Żadna ze stron nie dała aktywnego sakramentalnego wyrazu swej słownie wyrażanej wierze w ważność sakramentu drugiej strony. Kogo, czy czego się obawiali? Jezusa czy swoich wspólnot, skłóconych od tysiąca lat z powodu różnic w sprawach znacznie mniejszej wagi?

(Odważam się tu wtrącić nieśmiało osobiste wyznanie. Normalnie przyjmuję w anglikańskiej Eucharystii tego samego Jezusa, którego przy innych okazjach przyjmuję w moim rodzimym katolickim Kościele).

Myślę, że to tłumaczy, dlaczego wizyta papieża w prawosławnej Rumunii zdała mi być się sukcesem raczej politycznym niż religijnym. Podobnie zdają się wyglądać stosunki Rzymu z innymi wyznaniem chrześcijańskimi w zachodniej Europie. I dlatego nadchodzący rzymski synod będzie miał zapewne bardziej wyłącznie katolicki charakter niż znamienity jeszcze dla swych ekumenicznych ambicji synod sprzed ośmiu lat. Soborowe marzenia o sakramentalnej jedności już w nie-

dalekiej przyszłości zdają się być dziś jeszcze mniej realne niż były na początku lat 90-tych. Między innymi pojawiła się nowa przeszkoda w postaci przyjęcia przez Kościół Anglii zasady kapłaństwa kobiet. Stało się to przyczyną bolesnego wewnętrznego kryzysu w samym Kościele Anglii (choć w zamorskich krajach wspólnoty anglikańskiej kapłaństwo kobiet już dawno jest ustabilizowanym faktem) i przejście wielu anglikańskich duchownych na katolicyzm. Paradoksalnie, to spowodowało z kolei rewolucyjną innowację w kościele katolickim: ponieważ ci byli anglikańscy duchowni byli żonaci, w rzymskim katolicyzmie pojawili się żonaci księża. Wygląda to trochę, jakby sprawdzało się ludowe porzekadło, że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Poważniej mówiąc, można to uważać za swoisty znak czasu, jak gdyby niezależną od ludzi ingerencją Ducha św. w życie Jego Kościoła. I to mnie naprowadza na tok myśli, który może nie jest aż tak nierealistyczny, jakby się na pozór zdawało.

Znaki czasu. Niezwykle płodne pojęcie wprowadzone w swoim czasie do myśli katolickiej przez Jana XXIII. Powołuje się na to pojęcie wydany w Rzymie dokument przygotowany do nadchodzącego Synodu Europejskiego, który mi wygląda na wspomniane przez mnie wyżej przedsynodalne *Summarium* odpowiedzi biskupów na rozesłane wcześniej *Lineamenta*. Nie zdołałem dotrzeć do tego dokumentu i opieram się tu na pobieżnym streszczeniu dokonany przez ks. Adama Bonieckiego w *Tygodniku Powszechnym* z 5 września br. Znaki czasu wytypowane w tym dokumencie składają się na niezwykle ponury obraz duchowego oblicza Europy. Cytuję, opierając się na streszczeniu ks. Bonieckiego: „Materializm praktyczny i ateizm – wcale nie narzucane siłą – ogarniają Europę. Idee demokracji, przenikając do wnętrza Kościoła, kuszą relatywizacją wszystkiego. Kwestie etyczne i dogmatyczne usiłuje się poddać prawom większości... Rośnie rozdział pomiędzy postępek i wartościami duchowymi. Zanika zrozumienie dla wartości poświęcenia i ofiary”. Dalekie to od nastrojów ufego *aggiornamento*, charakterystycznego dla Jana XXIII i Soboru dostrzegania w świeckim świecie również pozytywnych moralnych wartości, które mogą wzbogacić wewnętrzne życie Kościoła, co znalazło wyraz w wielkiej konstytucji pastoralnej o Kościele w świecie współczesnym

„Gaudium et Spes”. niesprawiedliwa, i dlatego niebezpieczna jest ogólnikowość i rzekoma powszechność stawianych teraz świeckiemu światu zarzutów, a zwłaszcza insynuacja, że rosnąca niemoralność jest specyficznym wynalazkiem naszej epoki, czasów powojennych i postkomunistycznych. Na pewno świat nie był bardziej moralny przed wynalezieniem demokracji parlamentarnej, sił pokojowych ONZ, powszechnej oświaty i powszechnej (przynajmniej w niektórych krajach) służby zdrowia, pomocy materialnej dla gospodarczo zafakowanych krajów (choć chroniczne masowe zadłużenie jest istotnie skazą ostatnich kilku dziesięcioleci). Jeśli Międzynarodowy Czerwony Krzyż powstał już w ubiegłym stuleciu, to ogromny rozrost światowych organizacji charytatywnych (UNICEF, Oxfam, Misereor, Caritas, Christian Aid i wiele innych, w tym także Amnesty International) jest dziełem drugiej połowy naszego stulecia. Dlatego wspomniany dokument presynodalny, jeśli jego streszczenie w *Tygodniku Powszechnym* jest wiarygodne, jest w dużej mierze stekiem całkiem nieodpowiedzialnych narzekania.

Prawdą natomiast jest poważne zmniejszenie aktualnych bezpośrednich wpływów i autorytetu Kościoła. Piszę „aktualnych i bezpośrednich”, bo jego autorytet historyczny i pośrednie wpływy są nadal ogromne. Jeśli, jak twierdzą, świat jest mimo wszystko moralnie lepszy i duchowo dojrzały niż był w ubiegłych wiekach, to jest to właśnie dzieło historycznego chrześcijaństwa. Dwutysiącletnie uparte głoszenie Ewangelii, mimo wszystkich żalonych niedociągnięć ludzkiej instytucji, zrobiło swoje i zostawiło mocny ślad, choć jest to ślad w dużej mierze anonimowy*. Właśnie bieżąca anonimowość chrześcijaństwa jest szczególnym problemem współczesnego świata, którego grzechy i niewiara, choć bolesne, nie są dziś gorsze niż były w dawnych wiekach. I zadaniem Kościoła jest zwyciężyć tę, na szczęście tylko względną, anonimowość. Widocznie publiczny obraz Kościoła nie jest dość przekonujący. Jak sprawić, aby stał się bardziej przekonujący, zwłaszcza dla tych,

* Rozumiał to bardzo dobrze Podkomorzy w „Panu Tadeuszu”, mówiąc, że „jacyś Francuzi wymowni / zrobili wynalazek, że ludzie są równi / choć dawno o tym w Pańskim pisano zakonie / i każdy ksiądz to samo gada na ambonie”; nauka stara była, szło o jej spełnienie.

którzy stoją od niego z daleka? Nie wiem, ale myślę, że to właśnie powinno być przedmiotem namysłu biskupów zebranych na rzymskim synodzie. Rahnerowska koncepcja „anonimowych chrześcijan” ma tę słabą stronę, że zdaje się niebacznie narzucać chrześcijańską etykietę tym, którzy wcale sobie takiej etykiety nie życzą. Ale na dyskretny wewnętrzny użytek ta koncepcja ma swoje dobre strony. Mam dwoje bliskich przyjaciół, którzy uważają się za ateistów, ale gotowi są w każdej chwili swoim bliźnim ze wszystkich sił pomagać i faktycznie cały czas to robią. Już nie próbuję ich przekonywać, że czyniąc Dobro, faktycznie wielbią Boga; wystarczy mi, że przyjmują z należnym respektem fakt, że gdy ja próbuję ich naśladować, robię to dla Boga objawionego w Chrystusie. Są mi zatem bez porównania bliżsi niż np. wierzący chrześcijanin, który co wieczór odmawia „Wierzę w Boga”, a przez resztę dnia tylko własną kiesę nabija. To nie tacy jak on, ale raczej moi „niewierzący” przyjaciele i ja jesteśmy członkami tej samej duchowej wspólnoty, tego samego Kościoła. Sprawa przynależności religijnej i w związku z tym kwestia wiary i niewiary jest sprawą bez porównania głębszą i bardziej tajemniczą niż tylko intelektualnego przekonania i słownej deklaracji. Równie głęboką i tajemniczą jak samo imię i istota Boga.

Opisane tu moje osobiste doświadczenie jest zapewne przypadkiem dość skrajnym, ale takich skrajnych przypadków jest we współczesnym świecie mnóstwo. Tym bardziej tyleż jest przypadków mniej skrajnych, osobistych doświadczeń międzyreligijnych i międzywyznaniowych. Jest to efekt zupełnie bezprecedensowego przełomu w dziejach chrześcijańskiej cywilizacji, jakiego świadkiem był wiek XX – przełomu naukowego, technicznego, kulturalnego, a zatem także religijnego, na skalę nie tylko międzynarodową, ale zgoła globalną. Nigdy jeszcze chrześcijaństwo nie było w tak żywym kontakcie z innymi religiami i myślą świecką. Przełom ten musi też doprowadzić do zatarcia różnic – także do rosnącej tolerancji – między wyznaniem chrześcijańskimi. Nie znaczy to oczywiście osiągnięcia doktrynalnej i organizacyjnej jedności. Takiej jedności nigdy nie było. Kościół chrześcijański zawsze żył swoimi wewnętrznymi różnicami – od Soboru Jerozolimskiego i nagany udzielonej przez Pawła Piotrowi w Antiochii, aż po, powiedzmy, nadchodzący Synod Biskupów w Rzymie.

Znak czasu, jakim dziś jest gwałtowny spadek liczby powołań kapłańskich w Europie (Polska jest tu jeszcze wyjątkiem, ale Irlandia już nie) może doprowadzić do stopniowej deklerykalizacji Kościoła i rewaluacji biblijnej przecież prawdy o powszechnym kapłaństwie wszystkich wiernych. Innymi słowy, do pewnego złagodzenia ostrego podziału między duchowieństwem a świeckimi i zwiększenia kompetencji i udziału ludzi świeckich w sakramentalnym życiu Kościoła. Nadchodzący Synod może przyspieszyć powrót do pełnienia funkcji kapłańskich przez księży zdymisjonowanych z powodu zawarcia związku małżeńskiego. Na pewno większość tych zdymisjonowanych księży gorąco pragnie tego powrotu. Tym bardziej, że jak wspominałem, są już w Anglii pełnoprawni żonaci księży, którzy przeszli na katolicyzm z anglikanizmu. To z kolei sugeruje, że mimo stanowczych sprzeciwów obecnego papieża, w dalszej przyszłości okażą się możliwe, również w Kościele katolickim, święcenia kapłańskie dla kobiet. Potężnym znakiem czasu jest oczywiście pojawienie się w XX wieku środków antykoncepcyjnych i tym samym możliwość skutecznej kontroli urodzin i planowania życia rodzinnego.

We wszystkich tych sprawach istnieją różnice zdań i niepodobna, by nadchodzący Synod mógł je wszystkie podjąć i zadekretować konkretne i powszechnie obowiązujące rozwiązania. Chodzi raczej o to, by pomógł nam odczytać znaki naszego czasu i zrozumieć, co Bóg chce nam przez nie powiedzieć. By pochylić się nad proponowanymi rozwiązaniami z należytych respektem, pamiętając, że Duch wieje kędy chce i nie jest zmuszony trzymać się urzędowej drogi. Nade wszystko, by żadnych rozwiązań nie odrzucać z miejsca jako niezgodnych z dotychczasową tradycją. Żyjemy w nowych czasach i całkiem nowych okolicznościach, więc stajemy też wobec zagadnień, które domagają się nowych rozwiązań. Nowatorskie myśli buzuujące w Kościele też zrodziły się z miłości do ludzi i w modlitewnej miłości do Ojca Pana naszego Jezusa Chrystusa. Są bliższe Ewangelii niż prawa kanonicznego. I bardzo bliskie tematowi Synodu: Jezus Chrystus żyjący w Kościele źródłem nadziei dla Europy.

Antoni POSPIESZALSKI

Sąsiedzi

W odpowiedzi p. Andrzejowi Stelmachowskiemu

Prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, p. Andrzej Stelmachowski w liście otwartym, skierowanym do nas obu wyraził „smutek i zaniepokojenie”, że nasze podpisy znalazły się wśród sześciu sygnatariuszy apelu do prezydenta Litwy o ułaskawienie pięciu Polaków, skazanych za działania przeciwko niepodległości Litwy w r. 1990. Jego zdaniem prośba o łaskę jest niewłaściwa, bo oskarżeni są niewinni.

Prof. Stelmachowski przedstawia stosunek władz litewskich do mniejszości polskiej w sposób selektywny i jednostronny. Wystarczy kilka przykładów. Twierdzi, że zostali skazani za przestępstwo ludzie, „którzy chcieli zabezpieczyć prawa swojej społeczności”. W rzeczywistości skazani działali w 1990 r. przeciw niepodległości Litwy, na rzecz utrzymania jej w granicach ZSSR. Była to działalność wymierzona zarówno przeciwko Litwie jak i Polsce, Związek Sowiecki był bowiem zagrożeniem dla obu państw. Prof. Stelmachowski pomija fakt, że sąd litewski skazał na długoletnie więzienie nie tylko Polaków, ale także dwóch komunistów litewskich: Burokewicziusa i Jarmolewicziusa, którzy pozostali posłuszni Moskwie i czynnie przeciwstawiali się niepodległości Litwy. Prof. Stelmachowski określa kondycję szkół polskich na Litwie jako „fatalną”. Ostatni, sierpniowy biuletyn Wspólnoty przypomina uroczystość otwarcia w dn. 1 września 1994 r. największej na Litwie polskiej szkoły im. Jana Pawła II w wileńskich Justyniskach. Szkoła ta ma 2250 uczniów i zatrudnia 170 nauczycieli polskich. Powstała z funduszy rządu

litewskiego, samorządu miasta Wilna i „Wspólnoty Polskiej”. W uroczystości uczestniczyli obok A. Stelmachowskiego ministrowie oświaty Polski i Litwy oraz premier Adolfas Slezevicius, który chciał przez swoją obecność podnieść rangę tego wydarzenia. A. Stelmachowski nie dostrzega niestety w swym liście żadnych gestów dobrej woli okazywanej przez Litwinów.

Na Litwie istnieje 120 polskich szkół z polskim językiem wykładowym. Na Białorusi, gdzie żyje prawdopodobnie dużo więcej Polaków niż na Litwie – istnieją dwie szkoły z polskim językiem nauczania: jedna w Grodnie i druga od października br. w Wołkowysku. Na Ukrainie jedyna szkoła z polskim językiem wykładowym istnieje we Lwowie. Od chwili odzyskania niepodległości Litwini wydali blisko 200 tytułów podręczników w języku polskim dla szkół z polskim językiem wykładowym. W Polsce wydano 6 podręczników historii i języka litewskiego dla szkół litewskich.

○ Píše Stelmachowski o „perturbacjach z polską maturą”. Polscy uczniowie jako obywatele państwa litewskiego składają egzamin z języka litewskiego i na własne życzenie z przedmiotów polskich. W Polsce, w szkołach mniejszości obowiązują egzaminy zarówno z języka polskiego jak też ojczystego. Píše Stelmachowski o „administracyjnych utrudnieniach w związku ze zwrotem ojcowizny polskim rolnikom” ale pomija fakt, że wspólna komisja parlamentarna Polski i Litwy zbadała ten problem i nie dopatrzyła się dyskryminowania mniejszości polskiej. Opóźnienia w reprivatyzacji występują w skali całego kraju. Píše Stelmachowski o „ostatnich, budzących zaniepokojenie reformach administracyjnych”, ale nie wspomina, że Litwa na skutek polskich interwencji wstrzymała projekty nowego podziału terytorialnego, a prezydent Litwy zapowiedział, że nie podpisze ustawy, jeśli parlament ją uchwali.

○ Nie znaczy to wszystko, by nie istniały po obu stronach granicy problemy, które wciąż czekają na rozwiązania zgodne z postanowieniami traktatu między Polską i Litwą. Za przykład może posłużyć choćby sprawa pisowni nazwisk polskich na Litwie i litewskich w Polsce. Problemy te mogą być rozwiązane tylko w atmosferze przyjaznych wzajemnych stosunków. Działania konfrontacyjne prowadzić muszą do pogorszenia sytuacji mniejszości po obu stronach granicy.

Najtrudniejszym problemem w stosunkach polsko-litewskich są głęboko zakorzenione wrogi uprzedzenia, podtrzymywane przez elementy skrajnie nacjonalistyczne. Historia uczy, że skrajny nacjonalizm, który dobro własnego narodu przeciwstawia innym, staje się zarzewiem konfliktów i wyrządza największe szkody własnemu państwu. Zachowanie niepodległości Litwy, Ukrainy, Słowacji i Białorusi ma dla Polski znaczenie strategiczne. Gdyby wszystkie te kraje znalazły się z powrotem w orbicie wpływów rosyjskich, Polska byłaby ponownie uchwycona w kleszcze ze wschodu, południa i północy. Kraje bałtyckie i Słowacja szukają zabezpieczenia przed imperializmem rosyjskim, zabiegając o przyjęcie do obronnych i gospodarczych struktur zachodnich. Kluczowe znaczenie dla tych zabiegów ma poparcie rządu polskiego i Polonii Amerykańskiej. Stwarza to historyczną okazję do wzmocnienia konstruktywnej roli i wpływu Rzeczypospolitej w jej rejonie. Wprowadzenie do NATO Litwy będzie utrudnione bez masowego nacisku dziesięciu milionów polskich wyborców w USA. Bez niego dalsze rozszerzenie NATO nie stanie się przedmiotem przedwyborczej licytacji obu partii. Apele w tym duchu ze strony Prezydenta Litwy Adamkusa i Ambasadora Sakalauskasa spotkały się z życzliwym przyjęciem ze strony władz Kongresu Polonii. Społeczność polska w Ameryce skorzystałaby skwapliwie z ponownej okazji do zademonstrowania swego wpływu i skuteczności. I oto w tym momencie, na łamach prasy polonijnej ukazują się oskarżycielskie wypowiedzi dwóch przywódców polskich na Litwie, którzy pełnili w przeszłości funkcję na wysokim szczeblu sowieckiej struktury partyjnej. Dołącza teraz do nich prezes A. Stelmachowski w swym liście otwartym, ogłoszonym w prasie polonijnej zanim jeszcze adresaci zdążyli udzielić mu odpowiedzi. Wystąpienia te poważnie osłabiają wsparcie przez Polonię Amerykańską aspiracji Litwy i zbliżenie obu narodów. Są manną z nieba dla posowieckiej elity w Moskwie usiłującej za wszelką cenę nie dopuścić do dalszego rozszerzenia NATO.

Powracając do listu Stelmachowskiego stwierdzamy, że leży w interesie Litwy, by umożliwić mniejszości polskiej nowy start, wolny od balastu złej przeszłości. Wydarzenia z r. 1990 rozgrywały się w zupełnie innym kontekście, przed

powstaniem państwa litewskiego i wprowadzeniem w życie jego praw. Tym się kierując złożyliśmy podpisy pod apelem o ułaskawienie przez prezydenta Litwy, skazanych ostatnio pięciu Polaków. Wierzymy, że apel przyniesie pożądany skutek, bo okazuje szacunek dla suwerenności Litwy, niezależności jej wymiaru sprawiedliwości i utrzymany jest w tonie wolnym od arogancji „wielkiego brata”.

Wspólnota Polska odgrywa ważną rolę wspierając szkolnictwo i działalność na rzecz zachowania dziedzictwa i tożsamości obywateli Republiki Litewskiej polskiej narodowości. Na Litwie szczególnie ważne jest wykształcenie nowej elity umysłowej w miejsce tej, która albo wyginęła w czasie wojny, albo przesiedliła się w nowe granice Rzeczypospolitej. Niestety list Stelmachowskiego pokazuje, że kierownik Wspólnoty i jego przełożona Marszałek Senatu Alicja Grześkowiak wykraczają poza to zadanie działając z pozycji nacjonalistycznych.

Rozporządzając funduszami o wiele większymi niż polska placówka dyplomatyczna w Wilnie, wkraczają w prerogatywy rządu i prowadzą na własną rękę działania sprzeczne z polityką zagraniczną państwa, która zmierza do zbliżenia z Litwą. Ten dualizm polityki zagranicznej jest anomalią, podważającą wiarygodność i prestiż państwa i naruszającą konstytucję, która prowadzenie polityki zagranicznej powierza rządowi.

Przed wojną Marszałek Senatu, Władysław Raczkiewicz był tylko patronem Światopoli, poprzednika Wspólnoty. Światpol miał szeroką autonomię w zakresie swych zadań wyznaczonych przez ustawę, ale nie podejmował na własną rękę żadnych poczynań sprzecznych z polityką rządu RP wobec krajów osiedlenia polskich społeczności etnicznych. Istnieje pilna potrzeba uzdrowienia obecnego stanu rzeczy na drodze ustawodawczej.

Jerzy GIEDROYC
Jan NOWAK-JEZIORAŃSKI

Ukraina przed wyborami prezydenta

Pogodny sierpniowy dzień. Ósma rocznica niepodległości. Kijów się wystroił. Z zieleni na pagórkach stolicy przezierają złote kopuły cerkwi. Jaśnieją odrestaurowane dziewiętnastowieczne kamienice.

Ulicami z pagórków płynie ludzka rzeka na dół, do centrum miasta, na Chreszczatyk. Zniknęły wczorajsze zafrasowane, często posępne miny. Wszędzie roześmiane twarze, chichot dziewcząt zawiązujących sobie na szyjach żółto-niebieskie chustki, krzyk dzieci niesionych na plecach, szorstkie głosy milicjantów, powstrzymujących napór tłumów na trasy bulwaru. Po środku Chreszczatyka długie szeregi wojska. Na placu Niepodległości, tam gdzie ongiś stał ogromny Lenin, trybuna dla władzy z prezydentem Kuczma na czele.

Po dźwiękach hymnu narodowego zaczyna się defilada. Największa od odzyskania niepodległości. Maszerują bataliony wszystkich rodzajów wojska. Niektórym starszym generałom z brzuszkiem trudno utrzymać tempo różnych marszów na melodie kozackie. Ale przeważają już młodzi oficerowie. Oddziały maszerują w kierunku placu Europejskiego, który kiedyś nosił nazwę Stalina. Za nimi działa, wloką się długie cielska rakiet, a przy końcu nowoczesne czołgi wyrabiane w Charkowie. A nad trybuną przewala się kawkada bombowców, myśliwców i helikopterów. Minister obrony, generał Kuźmuk ociera pot z czoła i oddycha z ulgą, że wszystko odbyło się bezbłędnie. Kuczma mu gratuluje. A na placu Niepodległości złączą się niebawem ostre dyskusje wśród przechodniów na temat sensu i celu tej defilady. Jedni chwałą pokazaną krzepę, drudzy psioczą na niepotrzebne szastanie pieniędzmi: „Kogo on chce straszyć?” – padają pytania z myślą o Kuczmie i bliskich wyborach prezydenta.

Walka o fotel na Bankowej

Czy ta defilada była istotnie manewrem rządzącego prezydenta w walce wyborczej o ponowne zajęcie fotela na Bankowej? Tam gdzie dawniej mieściła się siedziba Komitetu Centralnego komunistów, znajduje się centrum władzy prezydenckiej. Te same olbrzymie drzwi wejściowe, te same niezliczone korytarze biurokratycznej władzy. Tylko nazwa ulicy zmieniła się z Ordżonikidze, z powrotem na Bankową. Pasowałyby do reform, gdyby były, a ponieważ ich nie ma, więc nazwa nie pasuje do treści mieszczącej się za grubymi murami. Czy Kuczma tą manifestacją zbrojnej siły chciał zastraszyć swoich konkurentów, czy raczej urządził militarne widowisko dla zwykłej uciechy mas? A może jedno i drugie, jak twierdzi redaktor prorządowej gazety *Ukraina Moloda*, Doroszenko.

Ale konkurenci nie dają się zapędzić w koziego róg. Kiedy Kuczma kazał maszerować żołnierzom w Kijowie, w Kaniowie, czyli ukraińskim Panteonie patriotyzmu ku czci wieszczki Tarasy Szewczenki, zebrało się czterech opozycyjnych kandydatów na fotel prezydencki. Jewhen Marczuk, 58-letni eks-generał bezpieczeństwa i eks-premier, Oleksander Moroz, 55-letni przewodniczący lewicowej Partii Socjalistycznej; były przewodniczący parlamentu, Wołodomyr Olijnyk, 42-letni burmistrz w Czerkiesach i Ołeksander Tkaczenko, 60-letni były działacz komunistyczny, następnie członek władz kryptokomunistycznej Partii Chłopskiej, obecnie szef parlamentu, ot ogłosili patetyczny manifest walki o usunięcie Kuczmy jako synonimu upadku Ukrainy. Wezwali prezydenta do natychmiastowej abdykacji i przeproszenia narodu ukraińskiego za wyrządzone mu krzywdy. Urażony takim stylem oponentów prezydent Kuczma nazwał spotkanie w Kaniowie w nawiązaniu do wydarzeń w sierpniu 1991 roku w Moskwie, „puczem”, a jeden z jego podwładnych określił kaniowski kwartet „bandą czterech”, znowu w porównaniu z inną formacją opozycyjną z komunistycznych Chin.

Wymieniona czwórka nie ma szans na zwycięstwo w pojedynkę, a burmistrz Olijnyk to figura prowincjonalna i dołączył do trzech luminarzy opozycji, tak jak swego czasu

eks-minister spraw zagranicznych ZSSR, Szepiłow do tak zwanej „antypartyjnej grupy” Mołotowa i kolegów przeciwko Chruszczowowi. Po rosyjsku to się wtedy na uciechę publiczności nazywało i „prymknuwszij k nim”. Pozostali trzej panowie nie mogą pokonać Kuczmy w pojedynkę. Gdyby jednak wysunęli jednego kandydata, wtedy klęska obecnego prezydenta mogłaby się stać faktem. Tym jednym kandydatem musiałby być Moroz, człowiek trudny, bardzo pryncypialny, na pewno nie skorumpowany i mimo wszelkich marksistowskich upodobań, ukraiński patriota. Dla starszego polskiego politycznego pokolenia można powiedzieć, że przypomina sylwetkę Bolesława Drobnera z Krakowa.

Ale oprócz wymienionych graczy są jeszcze inne postacie, które nie były obecne na kaniowskiej randce. Jest to przede wszystkim przywódca ukraińskich komunistów, 47-letni Petro Symonenko, kiedyś działacz komsomolski, przystojny, rozmowny, typ uwodziciela z przedmieścia. Przywódcą komunistów stał się według zasady, że na bezrybiu i rak ryba. W parlamentarnych wyborach w 1998 roku zdobył jednak dla partii duży sukces. Teraz ma zdobyć fotel prezydenta. Oprócz Symonenki jest jeszcze inna kandydatura lewicy: Natalia Wilrenko, 48-letnia szefowa Postępowej Partii Socjalistycznej, bardzo atrakcyjna dama. I są jeszcze dwaj pogrobowcy zmarłego na wiosnę w katastrofie samochodowej przywódcy „Ruchu” Wiaczesława Czornowiła, stojący na czele dwóch odłamów rozdartej partii, były minister spraw zagranicznych Gienadij Udowenko i jego kolega z resortu ochrony przyrody Jurij Kostenko. Obydwaj są wbrew osobistym ambicjom bez jakiegokolwiek szansy na zwycięstwo. I jest jeszcze sześciu kandydatów, którzy zostali dopuszczeni do konkurencji mimo sprzeciwu Głównej Komisji Wyborczej za zgodą Sądu Najwyższego. Niewiele im to da, ale odciągną trochę głosów i w końcu pomogą głównym matadorom. Zwolennicy Kuczmy początkowo traktowali kampanię wyborczą trochę jak niedzielny spacer. Ale po wyzwaniu z Kaniowa przystąpili do mobilizacji elektoratu. Sam Kuczma też się rozruszał i jeździ po całym kraju zapewniając, że w następnej kadencji będzie lepiej rządził.

10-lecie „Ruchu”

Początek września. Weterani-założyciele „Ruchu” zebrali się w auli politechniki dla uczczenia dziesiątej rocznicy utworzenia „Ruchu”. Są bracia Horyniowie, jest Briuchoweckij, obecnie rektor Akademii Mohylańskiej, siedzą działacze pierwszej fali, pisarze, naukowcy, byli dysydenci i byli komuniści-rewizjoniści. Proklamowany we wrześniu 1989 roku „Ruch” nosił w tytule dodatek „w imię przebudowy” i nie miał wówczas jeszcze programu niepodległościowego. Przypominał częściowo prąd reformistyczny, podobny do polskich grup „październikowych” w 1956 roku i polską „Solidarność” w jej początkowej fazie. Wyrósł zresztą na fali „gorbaczowizmu”, który w zatęchłej prowincji ukraińskiej pod władzą komunistycznych dogmatyków, jawił się okazją do podjęcia walki o reformy. Pod wpływem byłych dysydentów „Ruch” stał się szybko istotnym ruchem walki o niepodległość. Szybko przemienił się z relatywnie szczupłej grupy intelektualnych działaczy w masową organizację i stanął na czele dążeń do niezawisłości Ukrainy. Głównym prekursorem tych zmian stał się były więzień GUŁAG-u Wiaczesław Czornowił, polityk z wielką charyzmą. Dążąc do zdobycia władzy, Czornowił dokonał zmiany charakteru „Ruchu” z masowej organizacji społecznej na partię polityczną. Skutkiem tego zaczęły odpadać rozmaite ogniwa, tworząc nowe stronnictwa. Apodyktyczny sposób kierowania partią przez Czornowiła doprowadził do frondy wewnątrz frakcji w parlamencie a następnie do rozłamu w całym stronnictwie. Tragiczna śmierć Czornowiła nie zdołała pogodzić zwaśnionej grupy. Nie udało się też dokonać aktu połączenia z okazji jubileuszu. Linie podziału określają nie różnice programowe lecz ambicje polityków w obydwu odłamach.

Ambaras z rocznicą 17 września 1939

Przez cały okres władzy komunistycznej dzień agresji ZSSR przeciwko Polsce w postaci inwazji Armii Czerwonej w dniu 17 września 1939 roku w Galicji i na Wołyniu, był

obchodzony jako „złoty wrzesień”, który przyniósł „historyczne zjednoczenie Ukrainy”. W obliczu zbliżającej się 60-tej rocznicy tego wydarzenia, prezydent Kuczma wydał pod koniec kwietnia rozporządzenie o konieczności uczczenia owej daty. Jak to miało wyglądać w praktyce, dekret prezydencki nie dawał wyjaśnienia. W Polsce na wieść o tym posypały się głosy oburzenia. Ale i na Ukrainie doszło do protestów. Najpierw uczynił to znany historyk lwowski Jarosław Isajewycz, po nim zgłosiła sprzeciw organizacja byłych więźniów politycznych „Memoriał”. W administracji prezydenta połapano się, że idea podsunęta Kuczmie, była pomyłką, a zdaniem niektórych polityków świadomą prowokacją, zrodzoną z podszeptów kół moskiewskich i skierowaną na poróżnienie Kijowa z Warszawą. Jednak odwołać, czy unieważnić dekret z 24 kwietnia Kuczmie było trudno, gdyż wywołałoby to z pewnością lawinę plotek, domysłów a nawet kpin. Prezydent postanowił przykryć dekret milczeniem. Obywatelom i organizacjom społecznym dał wolną rękę do podjęcia inicjatyw w sprawie skomplikowanej dla Ukraińców daty. We Lwowie urządzono z tej okazji wiec antykomunistyczny z żądaniami likwidacji Ukraińskiej Partii Komunistycznej. W Kijowie historycy jak Kulczycki, Tomenko czy Ponomarjow nazwali rzecz po imieniu, a mianowicie 17 września jako dzień agresji przeciwko Polsce i początek tragicznych represji, które dotknęły zarówno Polaków, jak i Ukraińców i Żydów. W Warszawie, na posiedzeniu Senatu złożył podobne oświadczenie ambasador Ukrainy Dymitro Pawłyczko.

Bohdan OSADCZUK

Kronika białoruska

3-go września odbyło się otwarcie międzynarodowej konferencji poświęconej 450-leciu urodzin Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Sierotka. Organizatorami konferencji był Instytut Polski w Mińsku i Centrum im. Franciszka Skaryny. W konferencji wzięli udział historycy białoruscy, litewscy oraz polscy. Prof. Zbigniew Wójcik z PAN-u wygłosił odczyt „Sarmacki horyzont geograficzny i Radziwiłł Sierotka”. Odczytano ponadto wykład prof. Marcela Kosmana „Konwersje protestantów w Wielkim Księstwie Litewskim u schyłku XVI wieku” oraz prof. Bogumiły Kosmanowej „Nieśwież w twórczości Władysława Syrokomli i Ignacego Józefa Kraszewskiego”. ■ W Grodnie w końcu sierpnia odbyła się konferencja zorganizowana przez Białoruskie Humanistyczne Centrum Badań Europy Wschodniej oraz Towarzystwo Historyczne na temat „Dialog narodów i kultur X–XX w.”. ■ 7-go września został otwarty pierwszy międzynarodowy festiwal performansu „Nowinki – 99” zorganizowany przez Instytut Polski w Mińsku, Białoruskie Towarzystwo Sztuki Współczesnej, niemiecki Instytut Goethego, Białoruskie Towarzystwo Dziennikarzy i Ambasadę Litwy w Republice Białoruskiej. W festiwalu wzięło udział czterdziestu uczestników z Białorusi, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Danii, Irlandii, Hiszpanii, Litwy, Słowacji oraz Polski. Po raz pierwszy obok malarzy uczestniczyły w festiwalu białoruskie grupy teatralne i literackie. Z okazji festiwalu „Nowinki” został wydany kolejny numer zabronionej przez cenzurę gazety *Nowinki*. ■ Zmarł w Mińsku w wieku 75 lat Wiaczesław Werenicz. Prof. Werenicz prowadził badania nad polskimi dialektami b. ZSSR. Pracował w Instytucie Językoznawstwa Białoruskiej Akademii Nauk i był członkiem korespondentem PAN. Opublikował on ponad sto prac naukowych dotyczących polskich dialektów na Białorusi, Litwie, Ukrainie i w Kazachstanie. Staraniem prof. Werenicza była zorganizowana w Mińsku i Brześciu wystawa etnograficzna „Ludzie Polesia”.

Ci, co odeszli

Paweł Czartoryski (21 V 1924 – 11 VIII 1999)

Umarł Profesor Paweł Czartoryski, *professor emeritus* w Instytucie Historii Nauki PAN w Warszawie, członek czynny licznych krajowych i zagranicznych towarzystw i organizacji naukowych, w tym m.in., jako jeden z trzech Polaków, członek Medieval Academy of America.

Urodził się 21 maja 1924 r. w Krakowie, młodzięcze lata spędził w rodzinnych Pełkiniach, w pobliskim Jarosławiu ukończył gimnazjum i liceum.

Był potomkiem swego wielkiego rodu, ale równie losy krajowe i rodzinne, co osobiste zainteresowania skierowały go ku nauce – najpierw tuż po wojnie odbył w Krakowie i Poznaniu studia prawa, następnie osiągnął doktorat z ekonomii w Warszawie, wreszcie habilitację z historii filozofii w Warszawie. Praca ta poświęcona była recepcji Arystotelesa w Polsce.

Od kilku dziesiątków lat zajmował się Kopernikiem – spuścizną, edycją, stanem badań. Na tym polu osiągnął najwięcej i z tego właśnie jako historyk nauki, był powszechnie znany – jako redaktor i wydawca „Opera Omnia Nicolai Copernici” (Mikołaja Kopernika Dzieła Wszystkie) i jako założyciel i redaktor międzynarodowej serii „Studia Copernicana”, publikującej wyniki badań nad Kopernikiem.

Był ponadto osobą bardzo zaangażowaną w życie publiczne. Był bardzo czynny w czasach „Solidarności” i stanu wojennego, szczególnie w organizowaniu kształcenia i kursów, a to zwłaszcza w Ursusie i na Śląsku. Także w pracach Społecznego Komitetu Nauki przy „Solidarności” – region Mazowsze. Został następnie jednym z kilkunastu członków „gabinetu cieni” ówczesnej opozycji antykomunistycznej – Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie – właśnie od spraw kształcenia młodzieży.

Tymi sprawami zajmował się i później – był prezydentem i organizatorem polskiego oddziału (najpierw też na całą Europę Wschodnią) światowej organizacji United World Colleges (Towarzystwa Szkół Zjednoczonego Świata). To tą drogą polscy maturzyści otrzymali możliwość „międzynarodowej matury” i wyjazdów do renomowanych uczelni zachodnich.

Zmarł 11 sierpnia 1999 r. Nabożeństwo pogrzebowe odbyło się w kościele św. Katarzyny, tam gdzie Jego przodkowie byli kolatorami w końcu XVIII stulecia.

Osiągnął wiele sukcesów na polu naukowym, ale przede wszystkim był wielkim organizatorem i mecenasem nauki. Takim, jakich dziś już nie ma.

Pracował do końca. Tak żył, tak odszedł.

Jan MALICKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Notatki Redaktora

Wobec ogromu kryzysu, jaki obecnie przeżywamy, nasi politycy są całkowicie bezradni. Podobny kryzys przeżywaliliśmy w 1923 roku, kiedy Polska znalazła się na skraju przepaści. Zdobyto się wtedy jednak na stworzenie rządu pozaparlamentarnego, złożonego z fachowców, i stworzenie tego rządu powierzono Władysławowi Grabskiemu. Rząd ten otrzymał bardzo szerokie pełnomocnictwa, jak prawo dekretowania zamiast przeprowadzenia ustaw przez Sejm rozdarty przez dziesiątki partii i partyjek. Prawo dekretowania obejmowało m.in. reformy ustawodawstwa podatkowego, przeprowadzenie drastycznych oszczędności, reorganizacji i sprzedaży przedsiębiorstw państwowych, poczty i kolejnictwa. Grabski, pomimo ogromnych trudności, stawianych mu przez partyjniactwo, potrafił jednak ustabilizować walutę, usprawnić administrację, ograniczyć w dużym stopniu najjaskrawsze nadużycia. Kraj zaczął normalnie funkcjonować. Wysilek rządu Grabskiego został w dużym stopniu zmarnowany i rządy partyjne doprowadziły w końcu do zamachu majowego Marszałka Piłsudskiego. Ale bez dorobku rządu Grabskiego, nie byłaby możliwa tak szybka i spektakularna stabilizacja państwa we wszystkich dziedzinach, jaka po zamachu nastąpiła.

Obecnie, bez utworzenia przejściowego rządu fachowców, musimy utonąć w chaosie. Nowe wybory parlamentarne nic nie zmienią przy obecnej ordynacji wyborczej i nic nie pomogą nowe układy koalicyjne, żadna bowiem z partii nie ma długofalowego planu reform, opanowane jedną tylko myślą – zdobycia władzy i utrzymania się przy niej.

Nie umiemy zupełnie wykorzystać pomocy od Unii Europejskiej. Komisja Europejska skarży się, że nie wie, z kim

rozmawiać w Warszawie. Zamiast, bowiem, jednego odpowiedzialnego ośrodka, np. Ministerstwa Gospodarki, jak to ma miejsce w Hiszpanii czy Portugalii, jest zbyt wielu decydentów. UKIE, który teoretycznie ma koordynować wszystkie starania, zupełnie nie panuje nad sytuacją. W roku 2001 Komisja Europejska ma dokonać kontroli, i jeśli okaże się, że Polska zbyt słabo wykorzystuje przyznawane jej dotacje, to będą one przekazane innym krajom. Najgorzej wyglądają polskie projekty ochrony środowiska. Trzeba nie tylko przygotowywać projekty z najważniejszych dziedzin, ale też usprawnić strukturę administracji. Idzie o sumy niebagatelne. W roku 2000 wraz z pomocą na modernizację wsi (program SAPARD) i pieniędzmi z programu PHARE, Polska może otrzymać ok. miliarda Euro.

W Katowicach uruchomiono specjalny numer bezpłatnego telefonu pod który można zgłaszać informacje o przypadkach korupcji urzędników państwowych i samorządowych. Zaraz po ogłoszeniu tej decyzji wojewody z trudem można było się dotelefonować. Jest to nieprzemysłane posunięcie populistyczne, które nie da konkretnych korzyści, natomiast będzie świetnym pretekstem do załatwiania porachunków osobistych, lawiny plotek i oszczerstw. Nie jest to pierwsze posunięcie wojewody katowickiego. Przypomnijmy „czyszczenie” przez niego Katowic z narkomanów. Niestety, inicjatywa wojewody katowickiego znalazła naśladowców, bo to samo ma być wprowadzone w Warszawie, a ostatnio tę inicjatywę podchwyciło Radio Zet, które uruchamia „czarny telefon”. Inicjatorzy takich posunięć nie wzięli pod uwagę rezultatu ustawy lustracyjnej. Różnica polega na tym, że ustawa lustracyjna przewidywała taki przywilej kapusiów tylko dla posłów i senatorów. Prosty obywatelom, taką szansę daje obecnie dwóch, na szesnastu, wojewodów i Radio Zet.

W „Notatkach Redaktora” w czerwcu br. pisałem o budowie pomnika gen. Władysława Sikorskiego przed gmachem

ambasady RP w Londynie. Obecnie dostałem wyjaśnienie od p. Jerzego Kulczyckiego, honorowego skarbnika apelu zbiórki na ten cel stwierdzające, że to była inicjatywa brytyjska, lansowana przez British-Polish Council, którego członkami są b. ambasadory brytyjscy w Polsce; patronat nad zbiórką objął szef sztabu generalnego Zjednoczonego Królestwa. Wśród sponsorów jest rząd brytyjski, a pomnik będzie odstonięty przez księcia Kentu. A więc koszt pomnika nie będą obciążały polskiego podatnika. To jest bardzo piękna inicjatywa, ale czy nie skuteczniejszym uczczeniem pamięci gen. Sikorskiego byłoby, aby cały ten wysiłek był skierowany na podtrzymanie istniejącego już pomnika gen. Sikorskiego w postaci Instytutu gen. Sikorskiego w Londynie. Jak wiadomo, Instytut znajduje się w trudnych warunkach finansowych i jego przyszłość nie jest zbyt pewna. Czy nie można by tych wszystkich, prawdopodobnie dużych, pieniędzy przeznaczyć na Instytut, a całą tę inicjatywę uczcić tablicą wmurowaną w gmach Instytutu i nie tracić pieniędzy na okazały pomnik?

●
 A *propos* oszczędności i walki z marnotrawstwem pieniędzy: w *Trybunie* z 1-go września br. ukazał się artykuł „Globtroterzy” na temat rozjazdów po świecie członków obecnego gabinetu. Okazuje się, że ministrowie od początku istnienia koalicji AWS-UW zgłaszali się do szefa rządu ok. 400 razy z projektami podróży. Tylko w 1999 r. takich wyjazdów było ok. setki. Nie dotyczy to wiceministrów, gdyż polityką ich kontaktów zagranicznych premier się nie zajmuje. Rekordzistą w takich podróżach po świecie jest minister sprawiedliwości Hanna Suchocka. Na nią przypada prawie 10% wszystkich wniosków wyjazdowych. Innym rekordzistą jest Janusz Steinhof – minister gospodarki (28 wniosków). Dużą aktywność międzynarodową wykazywała również b. minister kultury i sztuki Joanna Wnuk-Nazarowa (21 wniosków). Wśród tych wyjazdów nie brakowało rzeczy kuriozalnych, jak np. prezes Urzędu Mieszkalnictwa chciał wyjechać na 6 dni do Republiki Kenii i na 12 dni do Watykanu. Prawdopodobnie p. Najniger badał warunki mieszkaniowe w tych krajach. Wyliczenie tych wszystkich globtroterów zajęłoby zbyt wiele miejsca. Radzimy

więc zapoznać się z artykułem w całości. Chciałbym tylko dodać, że jeśli idzie o oszczędności, to warto brać przykład z premierów i ministrów krajów zachodnich, którzy swoje podróże odbywają samolotami rejsowymi i uważają to za normalne.

●
 W Polsce ciągle dyskutuje się na temat rozwoju ruchu turystycznego. Jednak nadal buduje się „gwiazdkowe” drogie, wielopiętrowe hotele, obliczone na zamożną klientelę i biznesmenów podróżujących na koszt firmy. Nadal nie przyjmuje się czeków podróżnych czy kart kredytowych. We Francji, która przeżywa prawdziwy *boom* turystyczny, kładzie się wielki nacisk na niezamożną klientelę. Hotele są dobrze wyposażone i stosunkowo niedrogie (40 dolarów za dobę, w co włączone jest pierwsze śniadanie). Są to ceny grubo niższe niż w polskich hotelach czy bezpretensjonalnych motelach kategorii Novotel.

●
 Pomnikomania. Niedawno odstonięto pomnik Jana Pawła II w stolicy Argentyny w Buenos Aires. Fundatorem pomnika była fundacja p. Jana Kobyłańskiego, prezesa Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich w Ameryce Łacińskiej. Odstonięcie pomnika było bardzo skomplikowane, gdyż m.in. trzeba było dokonać zmiany istniejącego prawa, które zabrania stawiania pomników osobom żyjącym. Pomnik został postawiony w centralnym punkcie Buenos Aires, przed biblioteką narodową. W uroczystości brał udział prezydent Argentyny oraz nuncjusz apostolski bp Calabresi. Nie zabrakło również dużej delegacji z Polski, mianowicie zjawił się wicepremier Tomaszewski, wiceprezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” abp Zygmunt Kamiński, no i ma się rozumieć p. Ryszard Czarnecki, przewodniczący Sejmowej Komisji Łączności z Polakami Zagranicą. Jest to drugi pomnik papieża w Ameryce Południowej, bo poprzedni został postawiony w Montevideo, stolicy Urugwaju, którego fundatorem był również prezes Jan Kobyłański.

REDAKTOR

Książki

Język zmiany

Tom opowiadań Zbigniewa Kruszyńskiego, trzecia już książka autora, którego debiut – powieść „Schwedenkreuter” (1995) został niezwykle przychylnie przyjęty przez krytykę – to próba uporania się z problemem swego rodzaju rozchwiania poznawczego w okresie wielkiej zmiany. Rzecz to o tyle trudna, że zmiana, choć rzeczywiście głęboka i powszechna, odbyła się bez wielkich wstrząsów. Przejście z jednego systemu politycznego do drugiego, z dawnego do nowego sposobu życia, miało w Polsce charakter płynny, niemal niedostrzegalny. Ale też przejściu temu towarzyszyły zmiany innego rodzaju – przede wszystkim zmiana perspektywy poznawczej, którą znamionuje wedle znawców zagadnienia upadek wszelkich hierarchii, usunięcie centrum, odejście autorytetów, wreszcie zanik wielkich narracji. Tego, co się dzieje, nie da się więc opowiedzieć w sposób tradycyjny, nie da się wpisać w bieg głównego nurtu historii z tego prostego powodu, że nurt ten się rozmył i zniknął.

Kruszyński zdaje się do pewnego stopnia wierzyć tej modnej dziś diagnozie, lecz nie tak dalece, by się stosować do zaleceń tych literaturoznawców, którzy postulują (lub choćby tylko konstatują) zanik fabuły i dowolność perspektywy narracyjnej. Widać to także w poprzednich jego książkach – z których druga, „Szkice historyczne”, już w tytule podejmuje kwestię sposobu istnienia historii, której koniec wieści jeden z głośniejszych guru współczesnej humanistyki – zaś w tomie obecnie wydanym zdaje się poddawać owe mniemania jeśli nie krytyce, to w każdym razie artystycznemu sprawdzianowi.

Prezentowane tu opowiadania zdają się mieć jedną cechę

wspólną: jest nią językowa nadświadomość narratora, którego refleksje dotyczące sposobu wypowiedzi stanowią łączący je wątek. Już w pierwszym utworze pojawia się ten typ komentarza do rzeczywistości czy – ściślej mówiąc – sposobu jej postrzegania: „Śmiem twierdzić, że bez gruntownych badań, statystycznie uprawdopodobnionych, percepcja nie jest wiele warta, ot, jednorazowa, miękka, poetycka tam, gdzie trzeba twardych przesłanek. Fakty nie łączą się w system. Porzucone w pół zgłosek, rymy próżno czekają na akcent”. Język stanowi o osobliwości tworzonego w nim obrazu świata. Poznawcza zawartość polszczyzny, konstatuje opowiadacz, jest bliska zeru: „Niekiedy zadaję sobie trud i tłumaczę adiustowany tekst na inny język. Wtedy cała jego redundancja ujawnia się bez litości i pozostaje mało co, jak w równaniu, z którego wyłuskaliśmy wszystkie niewiadome, okazujące się na koniec liczbami naturalnymi, bliskimi zeru. Tu należałoby szukać niepowodzeń naszej literatury w przekładach. Tu, a nie w rzekomej nieprzekładalności tradycji i doświadczenia, w obojętności świata na los małych narodów czy w pogoni wydawnictw za zyskiem. Zwłaszcza języki germańskie lubią dokładność, której tak nam brakuje. Esencją nie jest to, co zanika w translacji. Esencją jest to, co zostaje, co daje się przetłumaczyć”.

Wpisuje się tu Kruszyński w wielką i od dawna trwającą dyskusję o słabości polszczyzny, o jej nieprzystawalności do rzeczywistości. Autorem ostatniej z przytoczonych uwag jest były cenzor, zaś opowiadanie nosi tytuł „Errata” – tworzy w ten sposób Kruszyński interesującą perspektywę opowieści o współczesności, której obraz „korygowany” jest przez „edytora tekstu”, którego funkcję pełni cenzor: „Oskarżają nas o masakrę, o amputację wolnego słowa. Nas, którzy godzinami siedzieliśmy nad tekstem, nadając mu formę, podsuwając protezy, tak aby poszedł, bo kulał od początku, zmasakrowany jeszcze przy porodzie”.

Kruszyński, jak się zdaje, podejmuje tu interesującą polemikę – a w każdym razie dialog – z ideologią postmodernistyczną, przede wszystkim zaś ze zdaniem stwierdzającym, że wszystko jest tekstem. Gdy się zastanowić, wówczas okaże się, że zdanie to było fundamentem wszelkich współczesnych ideologii masowych, z nazistowską i komunistyczną na czele

– to właśnie tu cenzura kreowała tekst podstawiany w miejsce rzeczywistości, zamykała chaos rzeczywistości w żelaznych ramach „formy”, podobnie zresztą, jak dzieje się to współcześnie w przestrzeni języka reklamy, której współtwórca w opowiadaniu „Emporium” (znacząca jest zbieżność tego terminu z pojęciem „imperium”) ma prawo powiedzieć: „To ja wygrałem wybory, to na mnie głosowaliście. Nie na program ani partię. Na mnie”. A dzieje się tak dlatego, że „tekst” – czy to ideologicznych manifestów, czy reklamowych „chwytów” – jest narzucaną życiu społecznemu „formą” rzeczywistości, co prawda z samą rzeczywistością często zupełnie nic nie mającą wspólnego, lecz kształtującą ludzkie, społeczne, obywatelskie postawy: „Obowiązuje nas klarowność, o którą – wiedzą to starzy mistrzowie – najtrudniej. Prześwieca przez ciemność znaczeń, mroki podświadomości, mgławicę niedopowiedzeń – jak lampka. (...) Jasno i dobitnie wypowiadamy prawdę. (O produkcie, ale produkt jest wszystkim)”.

Rzeczywistość przedstawiona w opowiadaniach Kruszyńskiego to przede wszystkim rzeczywistość języka, którym bohaterowie mówią o swoich doświadczeniach. Ale też obraz ów od razu poddawany jest tu krytyce – dystans świadomego językowych reguł i zasad narratora powoduje, iż artykułowane tu „formy” ulegają rozpadowi, w wątpliwość poddawane są tworzące je zasady, jak choćby wówczas, gdy wdowa po zmarłym aparaczkę dawnego reżimu stwierdza z sarkazmem, komentując zachowania nowej klasy politycznej: „chcą rządzić, a jeszcze nie nauczyli się mówić”. Polskie realia zanurzone są w językowej magmie, a stara komunistka, zastanawiając się nad stanem rzeczy i sposobem odmiany, odwołuje się do recept już raz użytych: „Odezwał się twój brat przyrodni, z pytaniem o testament. – Tak – powiedziałam – zostawił. – I posłałam mu naszą ideową deklarację sprzed lat czterdziestu, nad którą siedzieliśmy w leśniczówce do białego rana, a potem jeszcze na zjeździe, broniąc niektórych sformułowań, atakowanych przez prawą stronę, rosnącą we wrogą nam frakcję. Nie zmieniłabym w niej przecinka. Niestety, dziś nawet interpunkcja wydaje się na wyrost”.

Świat stracił formę, zaś te kształty, jakie uzyskuje w wypowiedziach bohaterów opowiadań Kruszyńskiego, są przy-

padkowe, wypowiedane „w nowych narzeczach o ubogiej, prostej gramatyce z przewagą imperatywu”, niezdolnych nawet wyrazić zadania, jakim jest próba ukształtowania świata, w jakim się żyje, a stanowiących sposób wypowiedzi uczących się naprędce angielskiego młodych ludzi, których stara nauczycielka usiłuje przy okazji nauczyć pozornie niefunkcjonalnych zasad: „Uczyłam ich wspominać, nieskłonnych do gromadzenia wspomnień. Tylko tak można sprostać przyszłości, nostalgicznej z godziny na godzinę”.

Polska współczesna wyłaniająca się z tych świetnie napisanych utworów Kruszyńskiego jest krainą doraźności, jakimś bytem tymczasowym i na tymczasowość skazanym. Postaci, w które kolejno wciela się narrator tego tomu, wyłaniają się z coraz bardziej zamglonej przeszłości (o zamazaniu jej konturów świadczy też niestety błąd rzeczowy nakazujący jednemu z bohaterów pobłądzić w Tatrach szlakiem Zamarłej Perci – to redakcyjny drobiazg: wystarczy wybrać między realnie istniejącymi Zamarłą Turnią a Orlą Percią), by podążać w równie zamgloną i nieokreśloną przyszłość. Spokojny, mocno zrytmizowany tok opowieści prowadzony jest polszczyzną zadziwiająco na tle współczesnej polskiej prozy bogatą i kunsztowną. Zaryzykujemy zatem tezę raczej trudną do obronienia: właśnie taki język może stać się językiem pozwalającym wydostać się z bezkształtnego bałaganu współczesności w przyszłość świadomą swej formy wyrastającej z dobrze spożytkowanej wiedzy o przeszłości. Owa forma to przede wszystkim potraktowanie serio własnego życia, nadanie mu wymiaru realnego, konkretnego bytu, nasycenia go ową esencją, bez której w przekładzie nie pozostaje nic.

Leszek SZARUGA

Zbigniew Kruszyński, „Na łąkach i morzach”. Opisy i opowiadania. Wyd. W.A.B., Warszawa 1999, s. 222.

Czy Adam Czerniawski był kochankiem Stanisławy Przybyszewskiej?

Bezczelna książka. Cięta. Obcesowa. Pod prąd. Nie zabraknie ukłutych tym „Krótkopisem”. Adam Czerniawski – obserwator surowy i wymagający – jest krytykiem niepodległym i osobnym. Odrzuca instynkt samozachowawczy. Ta niezależność imponuje. Nie da się autora utożsamić z jakąkolwiek koterią ani usadzić na jakiegokolwiek kanapie. To jeszcze nie wszystko. „Krótkopis” epatuje programową skandalicznością oraz nieustanną, ostentacyjną ekspozycją autorskiego ja. Mieszkając od lat w Anglii, żyjąc w polu magnetycznym kultury anglosaskiej, Czerniawski kreuje się tu na wyspiarza nieco aroganckiego, świadomego swej pozycji w świecie i swej naturalnej wyższości. Lecz ta irytująca maniera podszyta jest autoironicznym humorem: „W delikatesach, zaopatrywanych przez firmę Gostomskiego z Londynu, kupuję butelkę jabłecznika ‘Słodki Adam’” (s. 24). Jak to wszystko pogodzić i uporządkować?

„Krótkopis” wprowadza czytelnika w szczególne zakłopotanie. Trudno się dziwić. Przy całej swej imponującej niezależności sądów jest to książka nieznośna. Czy to źle? Nic podobnego – to fascynujące! „Słodki Adam” czepia się, prostuje pomyłki, wybrzydza na styl uczony. Nic dziwnego. Przecież uparci biografowie zamykają go w łagrach, krótkowzroczni krytycy myślą z Bogdanem Czaykowskim. Ale... Czasem od arbitralności „Krótkopisu” robi się ciemno przed oczami. Przykład pierwszy z brzegu:

„Gombrowicz nawet w Argentynie potrafił pokonać izolację i wrogość społeczeństwa polskiego. Nie udało się to Iwaniułowi, który zamiast trzymać się kurczowo poezji, od czasu do czasu próbuje na siebie zwrócić uwagę sztukami cyrkowymi. To komponuje socrealistyczną odę na cześć amerykańskich

kosmonautów, to udaje poetę anglojęzycznego, to znów [...] przedstawia się jako niezłomny szermierz zimnej wojny, święcie przekonany o moralnej wyższości emigracji i przekonany o jej – zupełnie w rzeczywistości fikcyjnej – jedności i gotów jest w imię tej doktryny wypisywać skandaliczne bzdury.” (s. 33-34)

Nie dość na tym. Czerniawski nie waha się przypomnieć, że Iwaniuk zdemaskował Przybosia jako „agenta bolszewizmu w Londynie” (s. 49). Po co to wszystko i czemu to służy? Dlaczego Czerniawski ukarał Iwaniuka za pochopne wyznania? Czyżby autor „Krótkopisu” wypadł z formy i dał się wciągnąć w ten szczególny dyskurs *à la polonaise*, który swój rodowód bierze z pyskówek?

To nie tak, nie tędy. Szukam własnej ścieżki w labiryncie „Krótkopisu”. Przecież można go czytać inaczej – jako cięty pamflet. Na współczesność. Na współczesnych. Na ponowoczesną kulturę. Obowiązuje – jak zwykle w pamflecie – optyka dwuwartościowa. Ludzie, mówiąc w największym skrócie, dzielą się na tych, co wolą rock od Roberta Schumanna i na tych mądrzejszych, bardziej odpornych na pokusy. Czerniawski jest mocno zawzięty w swych nieskrywanych zbrzydzeniach estetycznych, lecz emocje umie odpowiednio wyciszyć dzięki sporemu zapasowi sceptycyzmu oraz dyskretnej powściągliwości. Chce, żebyśmy uwierzyli, iż jest klasycystą. Azylu szuka w swej nieterytorialnej ojczyźnie – w muzeum, w filharmonii, w oxfordzkich świątyniach wiedzy. Korzysta z archiwum tradycji, zanurza się w erudycyjnej, subtelnej intertekstualności. I nie ulega grzechowi ciężkiemu, jeśli nie śmiertelnemu – potrzebie dopowiedzenia, wyjaśnienia wszystkiego za wszelką cenę.

Ale czytelnik widzi lepiej. Widzi, że Czerniawski – przewodnik po enklawie kultury wysokiej, wyrafinowanej, jest klasycystą, który chciałby być barbarzyńcą. Nie cierpi „zagajewszczyzny” (tu zaciągam dług terminologiczny u Karola Maliszewskiego). Łączy prywatność z kulturowym dialogiem, zapis trywialności egzystencji z klasycyzacją. „Rilke nie pojechał na ślub jedynaczki, aby nie przerywać sobie natchnienia. Ja zgotowałem córce wesele na 120 osób. Który z nas jest sumienniejszym poetą?” – pyta przekornie (s. 14). Narzucił płaszcz Konrada – wszak „Krótkopis” liczy nie

mniej, nie więcej, tylko 44 odcinki – lecz ten Konrad krąży między Oxfordem a polską, siermiężną rodzimością, zaś jego samoświadomość pisarska daleka jest od modernistycznego estetyzmu i elitaryzmu.

W mojej lekturze kluczowa scena „Krótkopisu” dzieje się nie na snobistycznym wernisażu w Londynie czy w nobliwej willi Bellagio we Włoszech, lecz w ekspresie z Warszawy do Wrocławia. Chłopak powtarza angielskie słówka, dziewczyna z walkmanem słucha rocka. Po chwili już są na korytarzu, już mówią sobie po imieniu. Autor „Krótkopisu” na chwilę przerywa lekturę „Kłopotu z istnieniem” Elzenberga, gdyż nadziwić się nie może błyskawicznej intymności młodych. Zastanawia go brak całej tej pieszczotliwej gradacji, którą chlubi się polszczyzna: „Czy tu już dotarł amerykański zwyczaj bycia z każdym w poufalitych stosunkach? Język polski góruje nad angielskim subtelnością gradacji od ‘Proszę pani’, do ‘Droga pani’, ‘Pani Barbaro’... ‘Basiu’.” (s. 144) No, ładnie, nie powiem, ale trochę na siłę. Bo mnie w tej ekspresowej scenie zainteresowało co innego. Subtelny, wyrafinowany autor – *voyeur*’em? Więc jednak zwycięża życie chaotyczne, nieporządne, animalne. Słowem, „pociągowe”. I właśnie dlatego – piękne i ekscytujące. Nic więc na to nie poradzę, że puenta opisanej sceny – „Wracam do lektury ‘Kłopotu z istnieniem’ Elzenberga” – brzmi dla mnie jak „Rezygnacja” Mickiewicza.

Czerniawskiego interesuje wszystko. No, prawie wszystko. Zamieszcza w „Krótkopisie” migawkowe obrazki z podróży, szkice o malarstwie i filozofii, aforyzmy i przypowieści, wypisy z listów własnych i cudzych, reportaże w odcinkach pt. „Awantury w literaturze”. Cały ten nadmiar ujęty jest w żelazną formę. Ten „Krótkopis” brulionem z pewnością nie jest. Trudno nie zauważyć finezyjnej konstrukcji. Rządzi nią zasada *varietas*, złożona estetyka *silva rerum*. Podobno skończyło się wielkie powodzenie formy sylwicznej. Podobno forma się spetryfikowała i nic już nie przywróci jej życia. Ale Czerniawski jest uparty. Nie słucha Kasandry, próbuje na własną rękę. I wychodzi na swoje. „Krótkopis” jest znakomitym przykładem utworu sylwicznego jako „formy domowej”. Domowej, ale bez domowego rozmemłania.

Podczas kolejnej lektury starałam się zgadywać, jakie

ukryte nici mogą łączyć np. „Chwilę poezji” z obrazkiem z życia warszawskich taksówkarzy. W języku banalizacji trzeba by więc powiedzieć, że „Krótkopis” mobilizuje gnuśnego czytelnika do intelektualnego wysiłku, ba, pobudza pracę wyobraźni. Ale tu też mam poczucie, że stąпам po lotnych piaskach. Może ukryty rzekomo ład jest tylko złudzeniem lub grą? Może Czerniawski znów prowokuje, śmiejąc się w duchu z tych, co próbują godzić różne porządki, gdyż uwierzyli, że to, co z pozoru wydaje się przypadkowością, miewa swoje uwarunkowania lub powody? A może w zderzeniu różnych fragmentów Czerniawski pragnie uchwycić tajemnicę przeżycia estetycznego? Na wszelki wypadek czytałam „Krótkopis” tak, jak wróżka czyta z kart lub z ręki.

„Krótkopis” „z natury”, by tak rzec, nie może być „Długopisem”. Gorzej, że czasem staje się „Krótkowidzem”. I to wtedy zwłaszcza, gdy w polu widzenia pojawiają się kobiety. Rozumiem, rzecz jasna, dyskreję, z jaką Czerniawski opisuje, jak to studenci angielscy swatali go ze Stanisławą Przybyszewską. Gorzej, że Lady Augusta Gregory, tłumaczka i dramatopisarka, która prowadziła znany Abbey Theatre, występuje tu zaledwie jako „patronka” Yeatsa (s. 106), choć dziś już wiadomo, że jej przynależy autorstwo „Cathleen ni Houlihan”, najbardziej znanej spośród jego sztuk. Wędrując przez Irlandię razem z Różewiczem, Czerniawski zapisuje: „Dotarliśmy do ukrytego w pobliskich lasach dworu w Lissadell; pomogła w odnalezieniu tabliczka na przydrożnym słupie z tekstem wiersza ‘Pamięci Ewy Gore-Booth i Konstancji Markiewicz’:

Światło wieczoru, Lissadell,

Ogromne okna na południe,

Dwie dziewczyny w kimonach,

Obie piękne...”

(s. 106)

I tylko tyle. Czytelnik „Krótkopisu” nigdy się nie dowie, kim są dziewczyny, które wyprowadziły z irlandzkiego boru zbłąkanych polskich poetów. Eva Gore-Booth, dramatopisarka i sufrażystka, a wcześniej – muza Yeatsa. I jej siostra, bohaterka irlandzkiej irredenty – hrabianka Constance Markiewicz, która w 1916 roku stanęła na czele powstania w Dublinie.

Otóż i paradoks „Krótkopisu”, nie pierwszy zresztą. Czerniawski – ojciec z dumą informuje, że jego córka jest pastorem Kościoła anglikańskiego. Czerniawski – autor ubolewa nad „epoką szalejącego feminizmu” (s. 146). Kojarzy feminizm z najczarniejszymi demonami współczesności, które w jego mniemaniu zawładnęły amerykańskimi uczelniami. Zdaje się zapominać, że gdyby nie feministyczne przewartościowania, które dokonały się w kulturze zachodniej, jego córka z pewnością nie uzyskiwałaby święceń kapłańskich.

Czerniawski jest pisarzem wysokiego ryzyka. Polemizuje z Miłoszem o Norwida, z Barańczakiem o Herberta, z Herbertem o pana Cogito. Zagajewskiego łapie na drzemce Homera, Annę Kamieńską – na myśleniu kliszami. Z Tatar-kiewiczem i Bocheńskim spiera się o model popularyzowania filozofii. Bezceremonialnie kwestionuje te kanony interpretacyjne, które ordynarnie można nazwać manipulacją. Słowem, dokonuje wiwisekcji kultury jako konstruktu. Nic więc dziwnego, że ta książka irytuje. Po pierwszej lekturze odkłada się ją z niesmakiem. Ach, jaki ten Czerniawski jest nieelegancki. Zagląda za dekol. „Dotyka” swym „Krótkopisem” narodowych świętości. Nawet Redaktorowi *Kultury* do dziś pamięta, że kiedyś nie zamieścił jego listu.

Ale można czytać „Krótkopis” jeszcze inaczej – jako książkę wyrastającą z anglosaskiej tradycji sceptycyzmu. W swych najcelniejszych fragmentach ten „przekorny serial” kontruje myślenie na wiarę albo pod dyktando (s. 7). Czerniawski niczego nie przyjmuje za pewnik nie podlegający dyskusji. Autorytetom nie ufa na słowo. Nieustannie je prowokuje. W polskiej kulturze to rzecz nietylchana. Przecież autorytet raz uznany nie musi już zabiegać o *imprimatur*. Autorytet jest po to, aby być autorytetem. W tradycji anglosaskiej taka tautologia jest nie do pomyślenia. Autorytet jest po to, by w nieustannych dyskusjach bronić własnych racji. I tu najwyraźniej ujawnia się dług zaciągnięty przez Czerniawskiego u Anglików, a jeszcze bardziej – choć autor „Krótkopisu” nigdy by się do tego nie przyznał – u tych barbarzyńskich Amerykanów.

Na marginesie jednego z odcinków „Krótkopisu”, Henryk Bereza zanotował: „Czasem myślę, że Czerniawski chce uczyć w ‘Krótkopisie’ sztuki czytania, to sztuka dziś

najmniej znana” (*Twórczość* 1999, nr 5). Zaryzykuję i dopowiem uwagę Berezy. Czasem myślę, że Czerniawski chce uczyć w „Krótkopisie” sztuki niezależnego myślenia, to sztuka dziś najmniej znana.

Halina FILIPOWICZ

Adam Czerniawski, „Krótkopis 1986-1995”, Wydawnictwo Gnome, Katowice 1998.

Stosunki polsko-ukraińskie 1939-1947

Problem relacji polsko-ukraińskich w XX wieku pozostaje ciągle jednym z najtrudniejszych zagadnień z jakimi przyszło się zmierzyć historykom. Jest to zupełnie zrozumiałe w sytuacji, gdy przedmiotem badań są skomplikowane relacje pomiędzy narodami zamieszkującymi – jakkolwiek w różnej proporcji – te same terytoria i dążącymi do uzyskania wyłączności w sprawowaniu na nich władzy. Jak wiadomo z wielu analogicznych sytuacji, które zdarzały się i nadal mają miejsce w różnych regionach świata (ostatnio chociażby na Bałkanach), istnieje tendencja, aby takie problemy rozwiązywać środkami przemocy, co często kończyło się i kończy czystkami etnicznymi, a więc całkowitym zniszczeniem mniejszości zamieszkujących dane ziemie. Taki los stał się właśnie udziałem Polaków z terenów II Rzeczypospolitej o większości ukraińskiej, włączonych następnie do ZSSR, oraz Ukraińców z obszarów, które po 1944 r. znalazły się w granicach państwa polskiego. Z reguły czystki etniczne są rezultatem masowych mordów, przybierających czasami nawet charakter rzezi, prowadzonych w sposób niezwykle okrutny, co wśród pozostałych przy życiu członków danej narodowości ma wzbudzić

panikę i zmusić ich do ucieczki z miejsc, gdzie poprzednio zamieszkiwali.

Takie działania podejmowała na Wołyniu i w Galicji Wschodniej OUN-UPA, ale nie można oczywiście pominąć faktu, że w okresie, do którego odnosi się omawiana praca, zdarzały się także wypadki popełniania masowych zbrodni przez oddziały polskiego podziemia. Jednak dla strony polskiej główną metodą, jaką posługiwała się ona od połowy 1944 r. w celu pozbywania się ludności ukraińskiej, stały się deportacje, początkowo teoretycznie dobrowolne, na tereny Ukrainy sowieckiej, a następnie już otwarcie przymusowe na tereny poniemieckie. W ten sposób obszary niegdyś mieszane narodowo nabrały charakteru etnicznie jednolitego. Bardzo trudno jest opisać stan psychiczny ludzi doświadczonych tego typu tragediami. Szok i trwały uraz psychiczny spowodowany doznaniem krzywdami oraz utratą własnej „małej ojczyzny” towarzyszy im bowiem w większości przez całe życie. Te emocje i doświadczenia znajdują wyraz m.in. w przekazywanych przez Polaków i Ukraińców wygnanych z ziem rodzinnych relacjach, stanowiących następnie istotny składnik tworzywa, na podstawie którego obraz zaistniałej sytuacji usiłują odtworzyć historycy. Zrozumiałe, że w tej sytuacji naukowcom należącym do obu tych narodów trudno jest o opis obiektywny, że często w pracach dotyczących tej tematyki występuje tendencja do tworzenia obrazu czarno-białego, w którym, w zależności od narodowości badaczy, całą odpowiedzialnością i winą za wytworzoną sytuację obarcza się stronę przeciwną. Dlatego też powstaje konieczność – pomimo nadal istniejących wszystkich trudności mentalnościowych – prowadzenia dialogu pomiędzy historykami i publicystami polskimi i ukraińskimi, będącego jedyną metodą mogącą przynajmniej służyć próbom doprowadzenia do zrozumienia racji obu stron konfliktu. Dialog ten został zapoczątkowany na emigracji już w latach czterdziestych przez paryską *Kulturę*, a dopiero po odzyskaniu niepodległości przez Polskę i Ukrainę, w warunkach zniesienia cenzury i dostępu do nowych materiałów źródłowych, mógł rozwinąć się pełniej. Zaowocował on stałymi spotkaniami historyków polskich i ukraińskich, czego pokłosiem są cztery tomy materiałów dokumentujących przebieg tych konferencji.

Problemy stosunków polsko-ukraińskich dyskutowane były także wielokrotnie w prasie (*Gazeta Wyborcza*, *Tygodnik Powszechny*). Ukazują się również liczne prace monograficzne oraz zbiory dokumentów ciągle poszerzających wiedzę na temat stosunków polsko-ukraińskich. Dialog ten nie przebiega bez trudności i emocji.

Ponadto nadal w publicystyce, zarówno polskiej jak i ukraińskiej, występuje nurt nacjonalistyczny, którego przedstawiciele dostrzegają racje tylko reprezentowanej przez siebie strony. Brakowało jednak pracy będącej próbą podsumowania obecnego stanu badań stosunków polsko-ukraińskich, kontynuującej nurt opracowań całościowych, wśród których na uwagę zasługują pozycje autorstwa Antoniego B. Szcześniaka i Wiesława Z. Szoty („Droga donikąd. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce”, Warszawa 1973) oraz Ryszarda Torzeckiego („Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie drugiej wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej”, Warszawa 1993).

W ostatnich dniach 1998 r., nakładem Towarzystwa Sympatyków Historii, ukazała się w Krakowie, sfinansowana przez Urząd Wojewódzki tego miasta i Wydział Historyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, książka Andrzeja L. Sowy „Stosunki polsko-ukraińskie 1939-1947”, ss. 339. Jej autor jest obecnie pracownikiem Zakładu Najnowszej Historii Polski UJ, a wcześniej zajmował się dziejami epoki saskiej. Pokłosiem jego zainteresowań badawczych związanych z ostatnimi latami II Rzeczypospolitej, wojny, okupacji i pierwszych lat powojennych jest omawiana tu praca, w pewnym zakresie stanowiąca kontynuację wydanej przez niego w 1997 r. książki „U progu wojny”, będącej swoistym bilansem dokonań i porażek II Rzeczypospolitej.

Zasadniczym celem recenzowanej tu pracy jest – jak pisze autor – „uchwycenie obecnego stanu badań dotyczących stosunków polsko-ukraińskich i wskazanie na kwestie nadal będące dla obu stron przedmiotem kontrowersji” (s. 10). Toteż zostały w niej zawarte informacje i dane, jakie A. Sowa uzyskał na podstawie lektury i analizy opublikowanych materiałów źródłowych oraz monografii, tak polskich, jak i ukraińskich, wydawanych w Polsce i na Ukrainie, a także w zagranicznych ośrodkach naukowych, w których prowadzone

są badania związane z tą problematyką. Książka jest próbą ukazania tego wszystkiego, co w latach poprzedzających II wojnę światową, w jej czasie i bezpośrednio po niej, wydarzyło się na terenach, gdzie ludność narodowości polskiej i ukraińskiej była skazana na sąsiedowanie ze sobą lub wręcz wymieszana. Tak więc w kolejnych rozdziałach autor przedstawił sytuację Ukraińców w II Rzeczypospolitej, ich postawy i zachowania w trakcie kampanii wrześniowej 1939 r., położenie obu społeczności pod okupacją niemiecką i sowiecką do czerwca 1941 r., próby wygrywania Ukraińców i Polaków przeciwko sobie, podjęte przez władze niemieckie przed i po okupacji całości terytorium II Rzeczypospolitej, czego najbardziej dotkliwym rezultatem było gwałtowne pogłębienie konfliktu polsko-ukraińskiego, poczynając od Zamojszczyzny, budowę struktur konspiracyjnych, tak polskich jak i ukraińskich, ich wzajemnie wykluczające się cele, rozwój wydarzeń na Wołyniu i w Małopolsce (Galicji Wschodniej), walki polsko-ukraińskie w okresie realizowania planu „Burza”, wreszcie stosunki polsko-ukraińskie w pierwszych latach „Polski Ludowej”.

Za główną zaletę omawianej pozycji należy uznać dążenie do obiektywnego przedstawienia wszystkich ważniejszych faktów dotyczących charakteryzowanej problematyki, w tym także tych najbardziej niewygodnych, tak dla strony polskiej jak i ukraińskiej. I tak, charakteryzując okres międzywojenny, autor nie ukrywa swojej bardzo krytycznej oceny polityki polskich władz wobec społeczności ukraińskiej, a także demonstrowanych wobec Ukraińców postaw znacznej części polskiej ludności kresowej. Równocześnie jednak podkreśla też niepokojące tendencje dające o sobie znać w społeczności ukraińskiej, gdzie stopniowo coraz ważniejszą rolę odgrywała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, preferująca amoralne metody walki, prowadzonej zarówno z myślącymi inaczej Ukraińcami, jak i z Polakami. W jakimś sensie kontynuacja postaw przedwojennych władz państwowych wobec Ukraińców widoczna była w poglądach i działaniach kierownictwa Polskiego Państwa Podziemnego, które tylko formalnie traktowało Ukraińców jako polskich obywateli, często starając się tak przeprowadzać antyniemieckie działania zbrojne, aby ewentualny odwet uderzał właśnie w nich. Inna sprawa, że

do takiego traktowania Ukraińców mogła polskie władze skłaniać postawa pewnej ich części, zaprezentowana podczas wojny polsko-niemieckiej we wrześniu 1939 r. Dość masowy charakter akcji antypolskich przeprowadzanych przez nich w tym okresie dobrze został zapamiętany zarówno przez polską ludność miejscową, jak i masy uchodźców z centralnej Polski. Mniej uwagi zwracano na lojalną w ogromnej większości postawę Ukraińców służących we wrześniu 1939 r. w Wojsku Polskim. Na oceny i działania władz Polski Podziemnej istotny wpływ wywierała także ścisła współpraca ukraińskich elit politycznych z hitlerowcami, jaka istniała w pierwszych latach wojny. Na podstawie analizy dostępnych materiałów ukraińskich A. Sowa przychyliła się do tezy, że inspiracja masowych rzezi Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej wyszła od banderowskiego odłamu OUN, ale nie pomija jednak także i tych sytuacji, kiedy zasadę odpowiedzialności zbiorowej stosowała strona polska. M.in. cytuje ówczesną wypowiedź Okręgowego Delegata Rządu RP na Wołyń, Kazimierza Banacha, który tak pisał o niektórych działaniach AK: „Dokonuje się mordów na zupełnie przygodnie spotkanych Ukraińcach. Rabuje się mienie ludności Ukraińskiej” (s. 193) oraz przytacza znane przykłady tego typu poczynań, szczególnie liczne wiosną 1944 roku na Hrubieszowszczyźnie.

Książka A. Sowy już wzbudziła znaczne zainteresowanie. W czerwcu br. odbyła się na jej temat dyskusja w Komisji Wschodnioeuropejskiej PAU w Krakowie. Biorący w niej udział historycy, specjaliści w dziedzinie stosunków polsko-ukraińskich, przyjęli publikację przychylnie. Recenzja z omawianej tutaj pracy ukazała się także w tygodniku mniejszości ukraińskiej w Polsce *Nasze Słowo* (nr 29).

Należy się spodziewać, że praca ta może być przedmiotem różnego rodzaju polemik, szczególnie w środowiskach o skrajnym nastawieniu. Jednakże nie ma wątpliwości, że jej ukazanie się nie tylko wzbogaca nasz stan wiedzy o wzajemnych relacjach dwóch narodów połączonych trudnym sąsiedztwem, ale także może się przyczynić do wyjaśnienia wielu kwestii i podjęcia kolejnych prób tak potrzebnego przecież dialogu.

Andrzej PASTERNAK

Podsumowanie w antrakcie*

1.

Autor pisze, że „interesują go w pierwszej kolejności „swoi”, a „nie mówi do wrogów czy antykomunistów”. Ale pomiędzy tymi i tamtymi jest jeszcze ogromna większość ludzi normalnych. Wątpię, by autor do nich trafił. To po części sprawa języka, którym chcą się wypowiedzieć jednocześnie obie dusze Adama Schaffa, semantyka i polityka. To również, nawet przede wszystkim, wspaniałe samopoczucie i pewność siebie autora¹. Przypomina się Tygrysek z „Kubusia Puchatka”, który też był świetnym spadywaczem. Adam Schaff, nawet pisząc o klęskach komunizmu, nie traci satysfakcji z zajmowanego miejsca: w centrum historii. Swoją pewnością siebie sugeruje czytelnikowi, że on, autor, naprawdę rozwił i zrozumiał to, co przeżył i w czym uczestniczył z całą swoją „generacją”. Otóż nie sądzę, by podsumowanie takiego tematu jak komunizm i bycie komunistą w XX wieku było już teraz możliwe. Nie wykluczam, że to mniemanie wynika z nieufności wobec tzw. historii współczesnej, którą uważam za dyscyplinę paradoksalną i nieuczciwą, skrywającą emocje pod maską nauki i niewiedzy, pod konfabulacją. Ale przyznaję, że ja sam, który byłem komunistą, nie całkiem i nie do końca rozumiem, w czym uczestniczyłem i co przeżyłem. Nawet jeśli to mój osobisty defekt, to jednak zauważę, że niepewność tego przedmiotu (choć może nie w Polsce, gdzie w takich trudnych przypadkach szuka się zwykle ręki Moskwy, Żyda i Szatana) jest dość rozpowszechniona. Świadczy o niej ponowny u schyłku stulecia wzrost piśmiennictwa na temat komunizmu i jego Imperium. Rozmaicie można tę modę tłumaczyć: zakończeniem epoki i otwarciem archiwów,

* Adam Schaff „Próba podsumowania”. Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 1999.

1. Proszę porównać, jak czysto brzmią, w porównaniu ze wspomnieniami Juliusza Hibnera ogłoszonymi niedawno w *Zeszytach Historycznych* nr 124.

końcem historii lub, wprost przeciwnie, przekonaniem, że nic się właściwie nie skończyło poza antraktem... Ale tak czy inaczej trudno o pewność rozumienia po tym, jak skompromitowała się sowietologia, która niczego nie przewidywała i po tym, jak wielkie liberalne teorie społeczeństwa otwartego i obywatelskiego, którego zaprzeczeniem miał być komunizm i totalitaryzm, okazują się zaledwie idealizacją i to jednego tylko aspektu społeczeństw zwanych demokratycznymi.

O niewydolnościach demokracji ćwierkają wróble na dachach Paryża, Rzymu czy Waszyngtonu. Pozostaje pewność, że władza komunistyczna była bezwzględna i okrutna i że człowiek był dla niej surowcem... Czy miała jakiś cel inny niż ona sama? Czy dążyła do czegośkolwiek, czy też, przeciwnie, była najbardziej konserwatywnym reżymem, który uległ złudzeniu, że bulimia, nieustanne pożeranie, jest sposobem samozachowania? I bardziej konkretnie i zarazem bardziej politycznie: od kiedy właściwie komunizm i jego imperium były skazane na klęskę? Od „Manifestu Komunistycznego”? Od bolszewickiego rozłamu w socjaldemokracji? Od przewrotu październikowego w Rosji? Od decyzji budowy socjalizmu w jednym kraju? Od przymusowej kolektywizacji i masowego głodu? „Kultu jednostki” – i śmierci tej jednostki? Kolejnych, od 1944 roku, fal ekspansji imperialnej? Przeciążenia gospodarczego w technicznym wyścigu zbrojeń?

Adam Schaff takich pytań nie podejmuje. System sowiecki był, jako władza w kraju niedojrzałym do socjalizmu – „komunofaszyzmem”. Formuła ta ma być odpowiedzią zarówno dla tych apologetów ustroju, którzy twierdzili, że stalinizm był tylko czasowym zboczeniem z właściwej drogi, jak i przede wszystkim dla przeciwników, którzy zrównują komunizm z nazizmem. Komunofaszyzm to „faszystowska nadbudowa polityczna nad bazą społeczeństwa socjalistycznego”. Formuła zapewne atrakcyjna dla szybko myślących, ale co to właściwie za „społeczeństwo socjalistyczne”, nad którego bazą trzymała się taka nadbudowa? Czy nie było to raczej tak, że socjalizm bardzo wcześnie wyparował, a jedyną żywą treścią rewolucji okazała się likwidacja dawnych elit? Proletariat tyle z tego miał, że najpierw uczestniczył w wyłanianiu nowych elit przez odgórną państwowo-partyjną rekrutację, a potem został tak samo upaństwowiony jak własność. Trochę

parafrazując autora można by powiedzieć, że komuniści stworzyli faszystowską nadbudowę, która uzależniła od siebie całą bazę społeczną, aż wszystko stanęło na głowie, baza na nadbudowie, i w końcu runęło... Ale gdzie w tym socjalizm? Jest przecież oczywiste, że po zwycięstwie rewolucji zrealizowano tylko niektóre zadania rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, np. oświatę dla ludu – wykluczając bardzo prędko wszystkie elementy społeczeństwa obywatelskiego – natomiast to, co proklamowano jako przejście do drugiej fazy, tj. do budowy socjalizmu, nie było nigdy socjalizmem.

Czytając książkę Schaffa odnosi się wrażenie, że autor o tym wszystkim oczywiście wie, ale wiedzieć nie chce. „Komunofaszizm” pomaga mu bowiem paradoksalnie, w obronie własnej „generacji”, komunistów polskich lat dwudziestych i trzydziestych. Dzięki temu, że w „komunofaszyzmie” tkwi jeszcze ciągle „baza socjalistycznego społeczeństwa” czyli pierwotny projekt marksowski, komunistów można bronić nie tylko jako idealistów gotowych do poświęceń i wiernych raz wybranej sprawie, lecz wypada uznać również za racjonalne historycznie podtrzymywanie przez nich socjalizmu realnego i jego Imperium.

2.

Kiedy mowa o komunistach w Polsce, wywód staje się ciekawszy. Tezy i spostrzeżenia Schaffa nie są wprawdzie odkrywcze, ale w świadomym nagromadzeniu stają się prowokacyjne wobec aktualnego politycznie poprawnego rozumienia historii Polski. I po prawej, i po lewej.

Streszczam.

Lepiej, żeby w ogóle nie było KPP. Lewica powinna była powrócić do PPS. Komuniści nie mogli działać skutecznie na rzecz socjalizmu, ponieważ wyłamali się ze sprawy narodowej (luksemburgizm) i to jeszcze zanim zaczęli wykonywać polecenia centrali w Moskwie. W rezultacie KPP stała się partią mniejszości, Żydów (przede wszystkim) i Ukraińców, a jej działalność była zupełnie jałowa.

2. Proszę zwrócić uwagę, jak błyskawicznie po roku 1990 ginie owa baza społeczeństwa socjalistycznego, której nikt nie broni – ani uciskani, ani co ciekawsze uciskający, którzy jak świnie w „Folwarku zwierzęcym” od razu stają na dwóch nogach.

Mniejszości w Drugiej Rzeczypospolitej fatalnie się namnożyło, ponieważ porzucono linię Curzona: Anglicy zgodzili się na wyprawę na Kijów, jako że bolszewicy zwyciężyli w Moskwie (Schaff nie rozważa wariantu federacji polsko-ukraińskiej, w której zamiast mniejszości mielibyśmy bratni naród. Prawda, że wtedy do Żydów dołączyliby endecy i obszarnicy, i znów byłoby tyle samo niezadowolonych... mniejszości – to oczywiście wolne żarty).

Opis Drugiej Rzeczypospolitej jest u Schaffa przyczerniony, choć nie tak bardzo jak kolorowy się wydaje na akademiach. Decydujące źródła słabości Polski, alienacja mniejszości i nędza chłopska, ukazane zostały sprawiedliwie.

W jaki sposób suwerenne państwo polskie z r. 1939 przekształciło się w na wpół niepodległy twór z 1944? Odpowiedź Adama Schaffa zgodna jest z „historiografią” z czasów stanu wojennego, kiedy zresztą te właśnie koncepcje kopiowano na użytek bieżący: tak jak komuniści z „Testamentem” Alfreda Lampego w rękę ochraniaли w 1944 Polskę przed pełnym naśladowaniem ZSSR, tak gen. Jaruzelski w 1981 zapobiegł wkroczeniu bratnich wojsk.

Nota bene, w 1944 r. istnienie komunistów polskich odzyskało sens utracony w 1918: „gdyby nie fakt istnienia polskich komunistów, którym Moskwa dowierzała, jeśli idzie o główne linie polityki państwowej, Polska podzieliłaby los republik nadbałtyckich”.

Rządy Drugiej Rzeczypospolitej popełniły trzy „historyczne błędy”. Najpierw nie zadbały dostatecznie, by nie dopuścić do sojuszu ZSSR i Trzeciej Rzeszy. Nie godząc się na wkroczenie Armii Czerwonej idącej nam z pomocą przeciw agresorowi, Warszawa stworzyła sytuację, której pakt Ribbentrop–Mołotow był logicznym skutkiem. Motywem był „strach przed powstaniem ludowym Polski ‘B’, jeśli pojawią się na jej terytorium oddziały Armii Czerwonej”. „A Polska ‘B’ i tak została – na szczęście dla przyszłych pokoleń – stracona bezpowrotnie, niezależnie od jakichkolwiek meandrów przyszłego obrazu świata”.

Drugim historycznym błędem – „jeśli nie świadomą zdradą” – było wyprowadzenie z ZSSR armii Andersa. Gdybyż ta armia wkroczyła potem do Polski razem z Armią Czerwoną... Zaraz dołączyłaby do niej cała Armia Krajowa. A Stalin w toku

wielkiej ofensywy przeciw Niemcom nie mógłby temu zapobiec. Wszystko wyglądałoby inaczej. Schaff twierdzi wprost, że Anders zrobił to, czego właśnie pragnął Stalin, i sugeruje, że jakąś rolę odegrał w tym „tajemniczy” fakt (z pamiętnika Sergo, syna Berii), że Anders po wypuszczeniu z łagru mieszkał w domu Berii. Ale poważniejszym wyjaśnieniem był konflikt Andersa z Sikorskim i jednocześnie nalegania Churchilla.

Trzeci błąd historyczny, pośrednio wynikły z drugiego, to Powstanie Warszawskie.

To właśnie z tych trzech błędów, wywodzi z przewrotną satysfakcją Schaff, zrodziła się Polska Ludowa. Z głupoty swojej prawicy, z szachrajstwa Zachodu... No i oczywiście z woli Stalina, który głupi nie był.

W PRL Adam Schaff jako jednostka nie ma sobie nic do zarzucenia: dbał o naukę polską, chronił zagrożonych profesorów (z dumą przytacza opinię Kotarbińskiego, który powiedział Bogusławowi Wolniewiczowi: „profesor Schaff zdał egzamin jako kolega”). Zarazem, sam to podkreśla, „cieszyłem się pełnym zaufaniem Bieruta i Gomułki”, „byłem bardzo zaprzyjaźniony z Gomułką i Kliszką...”

Zastanówmy się przez chwilę nad tym pełnym zaufaniem i Bieruta, i Gomułki. Z tego, co wiadomo o stosunkach wzajemnych obu panów, wydawałoby się, że zaufanie przynajmniej jednego z nich musiało być błędem. Otóż niekoniecznie: Adam Schaff był człowiekiem, do którego Partia zawsze miała zaufanie. I słusznie, ponieważ Schaff zawsze był posłuszny linii partii i głosował z większością patrząc na przywódcę („Numer 1”, „Gospodarz”), nawet jeśli sprawa dotyczyła tego, co go bolało i ciągle jeszcze boli najbardziej: kwestii żydowskiej. Wtedy – w ostateczności – nie przychodził na posiedzenie.

W 1968, przed słynnym plenum KC podsumowującym wydarzenia, Gomułka zawiadomił Adama Schaffa i Stefana Żółkiewskiego, o których wiedział, że towarzysze moczarowcy zażądają ich głów – aby nie przychodzili na posiedzenie. Może ich chciał oszczędzić, a może obawiał się, że na widok zwierzyny nagonka się rozszałeje i rozsadzi jedność partii i autorytet przywódcy, i tak bardzo nadwerężony. Żółkiewski, który rzeczywiście miał na sumieniu wspieranie studentów, przyszedł, wygłosił bardzo zasadnicze przemówienie i wyszedł

nie czekając. Opowiadał później, że rząd, w którym siedział – opustoszał, za to usiadł obok, uprzejmie się witając, jeden tylko towarzysz: generał Mieczysław Moczar, główny naganianiec... Logiczne, jemu było wolno... Adam Schaff, który nie miał nic na sumieniu poza fatalnym pochodzeniem i nazwiskiem, poszedł do kliniki rządowej na Hożej i położył się do łóżka. Wylecieli i tak obaj. Schaff dostał delegację do Wiednia. Teraz opisując wydarzenia marca 1968 Adam Schaff nie wspomina nawet o studentach i literatach³. Koncentruje się na kwestii żydowskiej, na antysemityzmie, na który społeczeństwo polskie jest ciężko chore, choć zarazem potępia przypisywanie tej choroby wszystkim Polakom. (Lanzmann, autor filmu „Shoah” jest tu *bête noire* Schaffa). Nade wszystko jednak podkreśla, że „pomysł i próba wykonania marcowych wydarzeń 1968 roku były sowieckie, a wykonanie polskie”. Moczar był agentem, co teraz potwierdzają ponoć moskiewskie publikacje archiwalne, a „wyiadowi radzieckiemu szło o uzupełnienie, czy wymianę ‘spalonej’ siatki agenturalnej na Zachodzie (...) przez upchanie swojej agentury w potoku biednych wygnańców”. Po drugie „szło o profilaktyczne przeciwdziałanie możliwości wsparcia przez polskich ‘reformatorów’ (cudzyśłów autora) wrzenia społecznego w Czechosłowacji. Dla strategów było jasne, że gdyby doszło do wybuchu (rzeczywiście doszło doń), który zostałby wsparty przez polską irredentę, to nie można by było go zdusić, nie ryzykując wojny światowej”. „Po trzecie – celem tego trzęsienia ziemi było usunięcie od władzy Gomułki, któremu Moskwa nigdy nie wybaczyła afrontu (...). Po czwarte to, że rozegrano tutaj kartę antysemityzmu, było już tylko dowodem znawstwa sztuki wojennej (...) Wiedziano, że w ten sposób można zdobyć dla tej gry silnych polskich partnerów politycznych (Natolin), a także ludowy aplauz antysemitów własnego, polskiego chowu”.

Wszystkie elementy tej analizy są od dawna dobrze znane. Ja nie znałem tylko jednego: kombinacji sowieckiego

3. Dla jasności: tenże Schaff biegał po wszystkich świętych, aby zapobiec usunięciu z pracy np. Leszka Kołakowskiego i Krzysztofa Pomiana, z którymi się skądinąd stale wykiłcał. Tłumaczył swym tępotnym rozmówcom, że chodzi przecież o dobro nauki polskiej...

wywiadu, że kiedy Żydzi będą uciekać, to się przy okazji wymieni siatkę. Ciekawe więc czy CIA zauważyła, że wywiad sowiecki strasznie się w 1968 r. zażydził...? A poważnie mówiąc. Wszęchobecność wywiadów jako sprężyn historii jest od dawna ulubionym motywem kultury masowej i obsesją prawicy. Podejrzewam, że Adam Schaff też popada w tę słabość (patrz wyżej – historia Andersa). Byłoby szkoda.

Wspomniałem wyżej, że w radykalnej na pozór koncepcji komunofaszyzmu zawarta jest sugestia, dlaczego, mimo wszystko, realnego socjalizmu należy bronić. Teraz dodam, że jest w niej również sugestia, iż realny socjalizm dojrzewa do samozagłady, przemija historycznie, ale dopóki nie dojrzeje – daremne byłoby starać się o jego naprawę. Adam Schaff, który nie współdziałał z rewizjonistami w 1956, ze studentami w 1968, z dysydentami i opozycją w 1976, z Solidarnością w 1980 i który, jak wspomniałem, aprobował wprowadzenie stanu wojennego – pisze teraz, że to dopiero Gorbaczow otworzył tamę, a nic bez tego by się nie dokonało, mimo KOR-u, Papieża i Solidarności. Dopiero wraz z Gorbaczowem komunizm dojrzał... Tylko od centrum pochodząc można zmienić strukturę itd. Schaff tak się do głębi przejął krytyką leninizmu, żeby nie zaczynać od peryferii i niczego nie ruszać przed czasem, że nie dostrzega prostej prawdy. Gorbaczow nie nawiedził Duch Boży lecz świadomość niewydolności systemu. A wszystkie kolejne bunty i rewizje również złożyły się na tę niewydolność. Wszystkie po kolei przegrywały, ponieważ nie osiągały celu istotnej naprawy, a tym bardziej zmiany systemu. I wszystkie po kolei przybliżały go do owej dojrzałości; nie były daremne. Natomiast, rzeczywiście nie udało się na tej drodze ożywić socjalistycznych treści, te nadzieje zawiodły, co stwierdzam z żalem, ponieważ sam je żywiłem. Nie udało się znaleźć trzeciej drogi i mamy lumpenkapitalizm; co do tego zgadzam się z Adamem Schaffem.

Ostatniej części pracy nie będę bliżej omawiał. Jest w niej wiele słusznej, moim zdaniem, krytyki aktualnego rozwoju spraw w Ojczyźnie, co stwierdzam bynajmniej nie po to, by skwitować słowa autora pod moim adresem jako korespondenta *Kultury*. Polecam – zwłaszcza – uwagi Adama Schaffa o kwestii chłopskiej i perspektywie *favellas* wokół naszych

miast, na wzór latynoamerykański jeśli problem rolny nadal „rozwiązywać” będą nasi neoliberalowcy z zachodnimi doradcami; charakterystykę naszych polityków jako karłów w porównaniu z Drugą Rzeczypospolitą (której Schaff tak przecież nie lubi); krytykę SLD jako lewicy tylko mniemanej; krytykę zachowań Kościoła.

Schaff przewiduje nadejście Nowego Socjalizmu i to już w bliskiej przyszłości. Nowy Socjalizm, czyli postkapitalizm, stanie się nieuchronny, ponieważ rozwój techniczny pozbawi pracy w jej dzisiejszym rozumieniu 80% ludności. Główną siłą produkcyjną staną się zdolności twórcze ludzi, a proletariatus zaniknie. Nastanie Cywilizacja Zajęć. Wszystkie kategorie marksistowskie odejdą w przeszłość: teoria wartości, teoria wartości dodatkowej, walka klas i dyktatura proletariatus. Zostanie metodologia, materializm dialektyczny, tolerancja i *agape* chrześcijańska, czyli miłość człowieka (i miłość wzajemna ludzi) jako wartość naczelna.

Bardzo to pocziwa wizja przyszłości, przypomina rojenia Henryka Heinego o socjalizmie jako epoce, w której wszyscy będą tworzyć piękno, uprawiać filozofię i cieszyć się życiem. A Paul Lafargue w pół wieku po Heinem wydał swoje „Prawo do lenistwa” propagujące skrócenie czasu pracy; dzisiaj idea ta jest oficjalną polityką socjaldemokratycznego rządu Francji.

W tej pocziwej wizji, jak w każdym śnie, łatwo przenosimy się w inny czas i inny świat. Boję się, że nim nastanie Cywilizacja Zajęć i Nowy Socjalizm, ci, co mają, z tymi, co nie mają, stoczą jeszcze niejedną wielką wojnę. Nie wierzę w automatyzmy przemian na dobre. W przeciwieństwie do Adama Schaffa jestem czarnym pesymistą.

Zresztą, jeśli idzie o bliższą przyszłość Polski, Adam Schaff przedstawia dwa scenariusze zatytułowane: „a) możliwość rozwoju kraju o wielkim prawdopodobieństwie realizacji, choć szkodliwa z punktu widzenia jego dalszych losów; b) możliwość rozwoju Polski we właściwym kierunku z małym prawdopodobieństwem realizacji”.

Zacytuję ze wstępu do czarnego scenariusza (cóż, jestem pesymistą):

„... o dziwo! zapanowała u nas zgoda narodowa. Jeśli nie *consensus* ogólnonarodowy, to w każdym razie większość narodu jest zgodna co do tego, że dla naszej *prosperity*

konieczne jest przystąpienie Polski do NATO i do Unii Europejskiej, a także – chociaż tu większość już się wykrusza – musimy płynąć na falach wolnego rynku. A ja jestem przeciw wszystkim trzem filarom tej polityki: jeden uważam za bzdurę (przystąpienie do NATO – K.W.), inne za zbrodnię narodową. Aby osiągnąć takie rezultaty myślenia narodowego, musiało się namęczyć kilka wywiadów wielkich państw (znowu! – K.W.)...”

Zalecam zapoznanie się z argumentami

Krzysztof WOLICKI

„Wartości w sztuce w czasach zamętu”

Tytuł tej recenzji jest jednocześnie tytułem jednego z artykułów Stanisława Rodzińskiego przedrukowanych z prasy w zbiorze pt. „Sztuka na co dzień i od święta”, który ukazał się kilka miesięcy temu w Wydawnictwie Diecezji Tarnowskiej „Biblos”*. Pierwodruki publikowanych w książce artykułów ukazywały się w latach dziewięćdziesiątych na łamach *Tygodnika Powszechnego* i *Gościa Niedzielnego*, w katalogach różnych wystaw obrazów w miastach dużych i małych, także w *Osservatore Romano* czy *Śląskich Studiach Historyczno-Teologicznych*. Dodać do tej listy wypada jeszcze wykład w Auli Collegium Novum UJ w styczniu 1998 r. aby uzyskać nieco osobliwy zarys treści książki i jej autora. Jak bowiem inaczej określić fakt, że jeden z czołowych współczesnych malarzy polskich, od wielu lat rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, publicysta *Tygodnika Powszechnego* i *Znaku*, profesor i członek towarzystw naukowych, raz

* Stanisław Rodziński, „Sztuka na co dzień i od święta”. Biblos. Tarnów 1999. Str. 236.

drukuję swoje myśli w *Gościu Niedzielnym* w Katowicach, a drugi raz w dzienniku watykańskim w Rzymie? Gdyby treścią publicystyki Rodzińskiego były jakieś tylko aktualności artystyczne, wystawy i wystawki znajomych po pędzlu i dłucie, sprawa nie byłaby tak godna uwagi. Ale ta książka zawiera wiele osobistych wyznań artysty na temat źródeł sztuki własnej i innych, ulubionych przez niego twórców. W ogóle jest to jedno obszerne (236 stron druku), wyznanie wiary w sztukę uczestnika XX wiecznej historii – jej wzlotów, upadków i powikłań wynikłych z poszukiwania piękna i „wartości” w czasach zamętu. Jakich wartości? Takich, jakie składają się na tradycję i współczesność naszego, europejskiego kręgu kulturowego. Rodziński uznał, że trzeba o nich pisać zarówno na prowincji jak i w stolicach.

Dobrą próbką wagi spraw, o których rozmawia z czytelnikami artysta, jest taki oto fragment jednego ze szkiców: „Świat w codziennych relacjach telewizyjnych nie oglądał głodu na Ukrainie czy wysadzania rosyjskich cerkwi, gdy czołowi intelektualiści europejscy fascynowali się nowym strojem. W tym samym niemal czasie na płótnach Georges’a Rouaulta zaczęły pojawiać się sceny męki Chrystusa – zobaczone inaczej. Ta inność jego obrazów była znakiem odszukiwania malarskiego słowa, które miałoby ciężar czasu, które by uniosły udrękę nowego świata”.

Kto zna malarstwo Rodzińskiego, zwłaszcza okres lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, obfitujące w nieustające próby „zobaczenia inaczej” sceny ukrzyżowania Chrystusa, ten odnajdzie właściwie w tym cytacie klucz do głównego nurtu twórczości malarza. Ale chodzi tu nie tylko o wpływy i formalne źródła inspiracji artystycznej, ale i o poszukiwanie wyrazu jakiejś pełni i dążności do piękna, związanej z dobrem w czasach – co tam mówić – strasznych; w wieku zamętu i zagubienia. Rouault jako temat rozważań wraca w książce kilka razy, a dołącza się do niego postać Adama Chmielowskiego tyle, że nie jako przykład drogi w sztuce, lecz w życiu. Piszącego te słowa zafrapowała myśl, że Jerzy Turowicz również był wielbicielem francuskiego malarza nie tylko ze względów estetycznych lecz i z głębszych, duchowych powodów. Pod tym względem Rodziński jest niewątpliwym towarzyszem klimatu myślenia o sztuce środowiska *Tygodni-*

ka Powszechnego z ubiegłych dziesięcioleci.

Wzmianka o wysadzanych cerkwiach i stalinowskim głódzie na Ukrainie w cytowanym fragmencie książki prowadzi nas też do zagłębienia się w krótkich esejach o Józefie Czap-
skim i o Andrieju Tarkowskim. Pierwszy z nich jest pośmiertnym wspomnieniem przyjaciela, drugi zaś przypomnieniem walki o prawdę w sztuce w Rosji i w Polsce w czasach komunistycznych.

W „Sztuce na co dzień i od święta” Rodziński porusza też aktualne problemy życia kulturalnego, zwłaszcza związane z przemianami chrześcijaństwa w świecie i w kraju. Bardzo m.in. interesujące są rozważania o fenomenie nagłego zwrotu ku tematyce religijnej w malarstwie w czasie „stanu wojennego” i następujących po nim narodowych udręczeń. Ta fala fascynacji owocującej też i kiczem już przeminęła. Jednak jako fenomen życia sztuki pod koniec naszego stulecia godna jest zastanowienia.

I Rodziński zastanawia się nad nim bardzo poważnie, dzieląc się w szkicu „Paradoksy polskiej sztuki religijnej” refleksjami byłego uczestnika ruchu kultury niezależnej i TKN-u. Podobnie jak w całej książce i jak w swym artystycznym życiu, występuje przeciwko pustemu, beztreściowemu estetyzmowi, opowiada się za opinią „dobrze lub źle, ale zawsze prawdziwie...” Wyznania Rodzińskiego są przeto głosem we współczesnej dyskusji o „śmierci Boga”, czy też o braku współzależności w sztuce między etyką i estetyką – za istnieniem Boga i za wiązaniem ze sobą zawsze: piękna i prawdy. Ideał nieomal norwidowski wyrażony jest znowu w paru miejscach tekstu refleksjami nad malarstwem Rauoult, które tak brzmią, jakby były naszymi myślami związanymi z twórczością Rodzińskiego: „Jest więc Georges Rouault – czytamy – malarzem rozważania i spokoju, malarzem modlitwy, ale i gorzkiego bólu. Jest malarzem Chrystusa przedmieść i drogi do Emaus, autorem graficznych serii *Miserere*, słynnego *Naigrywania*, ale i wielu dziwnie pogodnych krajobrazów biblijnych”. Z tym, że owe pogodne obrazy u Rodzińskiego (podobnie chyba jak u Czapskiego) to krajobrazy z piękną bryłą stodoły skąpanej w jesiennych, polskich mgłach lub słoneczne euforie Asyżu.

Marek SKWARNICKI

Nadestane nowości wydawnicze

- Akcja niepodległościowa na terenie międzynarodowym 1945-1990.* Red. T. Piesakowski. Str. 791. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1999.
- BART (Andrzej). *Le Goût du voyage.* Przekł. E. Morin-Aguilar. Les Éditions Noir sur Blanc, Montricher 1999.
- BASHA (Eqrem). *Wiersze.* Str. 129. Pogranicze, Sejny 1999.
- BAŁA (Stanisław). *Materiały do bibliografii frazeologii polskiej.* Prace opublikowane w latach 1945-1995. Str. 59. wyd. WiS, Poznań 1998.
- Bicentenaire Adam Mickiewicz, poète qui unit la Lithuanie, la Pologne et la France.* Actes du colloque, Lyon 8-9 XII 1998. Str. 202. Éditions PROFAC, Lyon 1999.
- BOKOV (Nicolas) *Déjeuner au bord de la Baltique.* Przekł. M. Minoustchine. Str. 92. Les Éditions Noir sur Blanc, Montricher, 1999.
- BRAUN (Jerzy). *Unionizm.* Str. 114. Ogólnopolski Klub Miłośników Litwy, Warszawa, 1999.
- BRONCEL (Zdzisław). *Wiersze.* Dawne i nowe. Str.105. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1998.
- CYPRYŚ (Wiesław). *Dżungla.* Felietony amerykańskie. Str. 228. Wyd. RAF. Rzeszów, 1999.
- DUBOWNIK (Henryk). *Fantastyka w literaturze polskiej.* Dzieje motywów fantastycznych w zarysie. Str. 324. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Oddział w Bydgoszczy, 1999.
- GAWROŃSKI (Staś). *Ochotnicy miłości bliźniego.* Przewodnik po wolontariacie. Str. 250. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.
- GOETHE (Johann Wolfgang). *Faust.* Tragedia. Przekł. A. Pomorski. Str. 571. Świat Książki, Warszawa 1999.
- GRABOWSKA (Alina). *Polska w komentarzach.* T.I Str.200, T.II Str. 286. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1999.
- HERBERT (Zbigniew). *89 wierszy.* Wybór i układ Autora. Str. 178, Wydawnictwo a5, Kraków 1998.
- HERLING-GRUZIŃSKI (Gustaw), abp ŻYCIŃSKI (Józef). *Pięć dialogów.* Str. 118. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.
- IWASZKIEWICZ (Jarosław). *La Gloire et la Renommée.* Przekł. G. Lisowski. Str. 595. Les Éditions Noir sur Blanc, Paris 1999.
- Janusz Onyszkiewicz. Ze szczytów do NATO.* Z ministrem Obrony Narodowej Januszem Onyszkiewiczem rozmawiają Witold Bereś i Krzysztof Burnetko. Str. 256. Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1999.
- Józef Wieżan – życie i twórczość.* Str. 51. Wyd. Regina Wieżan-Siemieńska, Jelenia Góra 1998.
- KAMIENSKI (Henryk). *Rosja i Europa.* Polska. Wstęp do badań nad Rosją i Moskalami. Str. 420. Czytelnik, Warszawa 1999.
- KARPIŃSKI (Wojciech). *Polska a Rosja.* Z dziejów słowiańskiego sporu. Str.190 Wyd. UMCS, Lublin 1999.
- KOMOROWSKI (Paweł), KOŁYSZKO (Aleksander). *Ludwik Narbut.* Z dziejów historycznej świadomości Polaków na Ziemi Lidzkiej. Str. 41. Wyd. Retro-Art, Warszawa-Lida 1999.
- KORZENIEWSKI (Bohdan). *Oczy.* Str. 59. Biblioteka „Tygla Kultury”, Łódź 1999.

- KROK-PASZKOWSKI (Jan). *1000 lat – 100 dat w historii Polski i świata*. Str. 414. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1999.
- Księga Mickiewiczowska*. Patronowi uczelni w dwusetną rocznicę urodzin 1798-1998. Praca zbiorowa pod redakcją Z. Trojanowiczowej i Z. Przychodniaka. Str. 532. Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1998.
- KULCZYCKI (Andrzej). *The Abortion Debate in the World Arena*. Str. 246. MACMILLAN PRESS, London 1999.
- LASOCKI (Wiesław A.). *O koniu bojowym*. Z zapisków kawalerzysty. Str. 159. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1999.
- LEON (Donna). *Acqua alta*. Przekł. M. Fedyszak. Str. 310. Les Éditions Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- LEON (Donna). *Śmierć i sąd*. Przekł. J. Wroniak. Str. 288. Les Éditions Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- LEWCZYŃSKI (Jerzy). *Antologia fotografii polskiej 1839-1989*. Str. 323. Wyd. LUCRUM, Bielsko-Biała.
- LIPIŃSKI (Wacław). *Religia i Kościół w dziejach Ukrainy*. Str. 151. Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyślu, 1999.
- Maria Danilewicz Zielińska*. Str. 18. Dobrzyńsko-Kujawskie Towarzystwo Kulturalne, Włocławek 1999.
- Mniejszości narodowe i wyznaniowe na Pomorzu w XIX i XX wieku*. Red. M. Wojciechowski. Str. 292. Uniwersytet M. Kopernika, Toruń 1998.
- Moje miejsce magiczne*. Przewodnik po Warszawie. Str. 127. Piątek Trzynastego Wydawnictwo, Łódź 1999.
- MYFTIU (Mehmet). *Léka, un enfant partisan de Tirana au camp de Pristina*. Roman. Przekł. z albańskiego E. Chabuel. Str. 251. Les Éditions Noir sur Blanc, Montricher 1999.
- NOWAK (Mieczysław). ks. *Listy do pani Antoniny*. Str. 124. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.
- Odojewski i krytycy*. Antologia tekstów. Wybór i opracowanie S. Barć. Str. 416. Wyd. UMCS, Lublin 1999.
- Pani Stefa*. Oprac. R. Habielski, K. Muszkowski, P. Kądziała. Str. 192. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1999.
- PISARKOWA (Krystyna). *Pragmatyka przekładu*. Przypadki poetyckie. Str. 206. Instytut Języka Polskiego PAN, Kraków 1998.
- Polonica zagraniczne*. Bibliografia 1992. Str. 308. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1999.
- TABORSKI (Bolesław). *Poezje wybrane*. Str. 446. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1999.
- WARNEŃSKA (Monika). *Śladami Pol Pota*. Str. 310. Wyd. Świat Książki, Warszawa 1999.
- WEINTRAUB (Wiktor). *Mickiewicz-mistyczny polityk*. Oprac. Z. Stefanowska. Str. 250. Wydawnictwo, IBL Warszawa 1998.
- WIERZBICKI (Zbigniew T.). *O pewnym stereotypie socjologii religii*. Str. 32. Wyd. Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 1999.
- ZALICA (Antonije). *Ślad smoczey lapy*. Przekład M. Petryńska. Str. 157. Biblioteka Krasnogrudy, Pogranicze, Sejny 1999.
- Zbiory i prace dotyczące emigracji Polonii w Bibliotece Uniwersyteckiej oraz Książnicy Miejskiej w Toruniu*. Informator. Str. 291. Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1999.
- ŻAKOWSKI (Jacek). *Pół wieku pod włos czyli życie codzienne „Tygodnika Powszechnego” w czasach heroicznych*. Str. 164. ZNAK, Kraków 1999.

KOMUNIKAT O STYPENDIACH

FUNDACJI BANKOWEJ im. LEOPOLDA KRONENBERGA (Warszawa) i FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ (Paryż)

Stypendia przyznawane są pisarzom, artystom oraz badaczom w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych, ze szczególnym uwzględnieniem historii. Stypendia służą pokrywaniu kosztów pobytu w zagranicznych (w przypadku osób zamieszkałych w Polsce) oraz – w odniesieniu do osób zamieszkałych za granicą – w polskich ośrodkach naukowych i kulturalnych.

Do otrzymania stypendium uprawnione są osoby, które nie przekroczyły 35 lat.

Podanie powinno zawierać :

- życiorys,
- informacje o dorobku twórczym oraz
- program pobytu za granicą wraz z informacją na temat przewidywanego czasu jego realizacji.

Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Stypendiści będą mieli prawo do wykorzystania stypendium w terminie nie przekraczającym 6-u miesięcy od daty wysłania zawiadomienia o jego przyznaniu.

Organizowanie podróży, ubezpieczenia i mieszkania nie leży w gestii fundatorów.

Stypendia przyznawane są dwa razy do roku. Najbliższe terminy nadsyłania podań upływają z dniem 1 stycznia 2000 roku i 30 czerwca 2000 r.

Podania prosimy przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, FPnLiNP,
31, rue de Garlande,
77-220 Tournan-en-Brie
Francja

Efektom podpisanego przed dwoma laty porozumienia o współpracy w zakresie przyznawania stypendiów naukowych między warszawską Fundacją im. Leopolda Kronenberga i paryskim Funduszem Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej są dotychczas 62 stypendia (łącznie na sumę 220 tysięcy złotych). Wśród stypendystów – reprezentujących dziedziny humanistyczne – przeważali historycy; poza Polakami stypendia otrzymało kilka osób z Litwy i Ukrainy.

Oprócz Fundacji im. L. Kronenberga, program stypendialny Funduszu wspierały w ostatnich dwóch latach: Fundacja Kultury, Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne, PZU SA i Państwowe Wydawnictwo Naukowe.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

1.09.99

W bieżącym roku ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” oraz Fundacja „Pogranicze” po raz pierwszy przyznają tytuł „Człowieka pogranicza”. Celem tego wyróżnienia jest upowszechnianie idei etosu „pogranicza” poprzez prezentację sylwetki twórczej i postawy życiowej wybitnego twórcy kultury. Tytuł „Człowieka pogranicza” otrzymał w tym roku Jerzy Ficowski, wybitny poeta, pisarz, tłumacz, autor książek z dziedziny etnografii, historii sztuki i literatury. Zajmował się poznaniem i popularyzowaniem historii i kultury Cyganów w Polsce, przyswojeniem językowi polskiemu kultury jidysz oraz twórczości Brunona Schulza.

15.09.99

We Wrocławiu miał miejsce XVI Powszechny Zjazd Historyków Polskich. Sprawozdanie ze Zjazdu zamieścimy w następnym numerze. ■ Prof. Gerard Labuda otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego.

24.09.99

W Toruniu, w galerii TUMULT została otwarta wystawa pt. „Studium Bestii. Jan Lebenstein i Galeria Lambert (w 40-lecie pierwszej wystawy)”. Wszystkie eksponaty (obrazy, rysunki, listy, fotografie, plakaty) pochodzą ze zbiorów Archiwum Emigracji. Wystawa będzie aneksem do dużej wystawy prac Jana Lebensteina.

ZACHÓD

15.07.99

W londyńskiej Air Galery została otwarta dwutygodniowa wystawa malarstwa i rzeźby Izabelli Godlewskiej de Aranda. Artystka była blisko spokrewniona z Józefem Czapskim.

25.08.99

Dla uczczenia 60-lecia pracy zawodowej i społecznej Stefanii Kossowskiej w Polsce i na emigracji, została wydana przez londyńską Polską Fundację Kulturalną książka pt. „Pani Stefa”, opracowana przez dwunastu pisarzy emigracyjnych i dziewięciu krajowych. Projektodawcą książki był Rafał Habielski, historyk z Warszawy, a książkę opracowali redaktor *Więzi* Paweł Kądziała i Krzysztof Muszkowski z Londynu.

27.08.99

Zmarł w Edmonton (Kanada) w wieku 75 lat Aleksander Matejko, wybitny socjolog. Zajmował się socjologią organizacji, spółdzielczością i socjologią pracy. M.in. publikował w *Kulturze*.

30.08.99.

Ambasador RP w Londynie Ryszard Stemplowski zakończył swoją misję. Na jego miejsce został mianowany dr Stanisław Komorowski.

6.09.99

Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało odczyt Stefana Wilkanowicza pt. „Europa pod rządami nazistów a holocaust”.

7.09.99

Zmarł w Toronto w wieku 87 lat Baltazar Krasuski, przyjaciel i wieloletni kanadyjski przedstawiciel *Kultury*. Aresztowany za działalność konspiracyjną pod okupacją niemiecką, został wysłany do obozu koncentracyjnego. Po wyzwoleniu emigrował do Kanady. W 1949 r. był jednym z założycieli Koła b. Żołnierzy AK. Działal też w Stowarzyszeniu b. Więźniów Politycznych.

10.09.99

Prof. H. Ratajczak, dyrektor Stacji Naukowej PAN w Paryżu został wybrany członkiem Academia Europae z siedzibą w Londynie.

16.09.99

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Romuald Z. Klekowski wygłosił odczyt o badaniach morskich i polarnych.

20.09.99–24.09.99

W Bibliotece Polskiej w Paryżu przy współudziale Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbywał się XVIII Uniwersytet Letni Communauté Franco-Polonaise. M.in. miały miejsce następujące wykłady: Książę Napoleon „Tradition et traditionalisme”, Krzysztof Jeżewski „Chopin et Słowacki”, Jaroslav Lebedynsky „Les Cosaques d'Ukraine et l'identité nationale ukrainienne: une civilisation originale et son héritage contemporain”, Tomasz Schramm „Pilsudski et de Gaulle, parcours historique”, Roger Pierrot „Balzac et ses amis polonais d'Ukraine”.

27.09.99

W Instytucie Polskim w Paryżu miał miejsce wieczór poświęcony prezentacji „La gloire et la renommée” Jarosława Iwaszkiewicza, wydanej przez Edition Noir sur Blanc. W wieczorze wziął udział Jerzy Lisowski, redaktor miesięcznika *Twórczość*, który książkę przełożył, oraz p. Maria Iwaszkiewicz-Wojdowska, córka autora.

29.09.99.

L'Institut des Etudes Slaves zorganizowało pod protektoratem prezydenta Francji Jacquesa Chiraca międzynarodowe kolokwium poświęcone Puszkiniowi. Zwraca uwagę fakt, że w kolokwium nie znalazł się ani jeden uczestnik z Polski, co jest bardzo dziwne, biorąc pod uwagę przyjaźń Puszkina z Adamem Mickiewiczem i to, że obchody Puszkiniowskie organizowane są w Polsce w tym samym czasie.

1.10.99.

W Centre du Dialogue w Paryżu miało miejsce spotkanie z p. Janiną Ochojską prezesem Polskiej Akcji Humanitarnej.

List do Redakcji

12.08.99 Bethlehem

Szanowny Panie Redaktorze,

Zaczynam lekturę każdego numeru *Kultury* od Smecza i od Ewy Berberyusz, którą miałam przyjemność poznać osobiście w Nowym Jorku parę lat temu. Moje anarchistyczne diabluki radują się gdy tylko spotkam piętnowanie wszelkiego „upupiania” mówiąc po gombrowiczowsku.

W numerze czerwcowym uderzyło mnie zdanie:

„Postacia najbardziej anegdotyczną w Senacie jest rzecz jasna radiomaryjna pani marszałek Alicja Grześkowiak. To za jej błogosławieństwem pewnego dnia do Senatu wmaszerował w krótkich spodenkach tustoudy oddział harcerzy niosąc ogień święty. Jakby chciano wypłoszyć pogańską część naszego Senatu. Pękamy ze śmiechu słuchając tych opowieści i by uświadomić sobie, że podobnie wygląda Sejm i że to jest wybrana przez nas reprezentacja polityczna kraju. Wybraliśmy kabaret.” (...)

Szkoda jednak, że do pękania ze śmiechu z tego kabaretu włączył Smecz Harcerstwo i betlejemskie światło pokoju, zapewne wskutek nieświadomości: Corocznie w grudniu pobierany jest płomień z Groty Narodzenia w Betlejem, skauci austriacy samolotem przewożą je do Wiednia, gdzie odbierają je skauci wielu narodów tak, że sztafeta obejmuje Szwecję, Danię, Wielką Brytanię, Niemcy, Luksemburg, Liechtenstein, Węgry, Włochy, Chorwację, Słowenię, Czechy, Słowację, Polskę, Litwę, Łotwę, Białoruś, Ukrainę, Rosję. (...)

Obzęd przyjmowany w coraz szerszym gronie, symbol łączący ludzi dobrej woli, nie tylko wierzących. Odtrutka na obraz zapęrzającego „Polakatolika”, dobry przykład skautowej „służby Bogu”, o którą w trudzie stara się otwarty, pluralistyczny ZHP. Słowa Baden Powella „gdyby skauting był bez Boga, to lepiej aby go wcale nie było” w Polsce nieraz ograniczane są do katolickich praktyk kościelnych. Kapelanów rozumiejących skauting na palcach można policzyć. Wielki potencjał skautingu, jego możliwości wychowawcze, nie są dość doceniane: obejmuje 25 milionów dzieci i młodzieży w 250 organizacjach na świecie. WOSM (World Organization of Scout Movements) prowadzi człowiek, który poprzednio był głową Czerwonego Krzyża. Ale niestety zbyt często myśli się o harcerzykach w krótkich portkach, biegających za strzałkami po lesie, albo bohaterko umierających za Ojczyznę. W XXI wieku nie przysposobienie wojskowe, nie przewlekle akademie ku czci z potokiem patriotycznego pustosłowia, ani nie dwugodzinne msze na słońcu stanowią o harcerskiej służbie Bogu, Polsce i bliźnim.

Już odchodzi pokolenie przedwojenne, które potrafiło utrzymać jeden Związek Harcerstwa Polskiego, mimo różnic między sanacją Grażyńskiego a endecją Sedlaczka. Historia wojenna, okupacyjna, PRLowska, zagraniczna domaga się obiektywnego opracowania. Wpływ

mediów na młodzież jest znaczny. Może moje ulubione Smecze i wszelkie kartki ze skażonej strefy zechcą pomagać nam w budowaniu otwartego, pluralistycznego społeczeństwa obywatelskiego. (...)

W sierpniu 2000 w Warszawie odbędzie się III Kongres Światowej Skautowej Unii Parlamentarnej pod hasłem: „Acting with youth in a changing society”. Przyjaciele skautingu ze 100 parlamentów świata dyskutować będą o edukacji i czynnikach kształtujących społeczeństwo obywatelskie i o długofalowej polityce państwa wobec młodzieży. Od 1997 przewodniczącym tej Unii Parlamentarzystów jest prof. Aleksander Łuczak, poseł na Sejm, a sekretarzem Ryszard Paclawski, Naczelnik ZHP.

Nie wątpię, że spoglądając z ukosa pod różnymi kątami Smecz i w ogóle dziennikarze, media, zechcą dojrzeć i omawiać skautowe cele i możliwości. Gdy spotykają się skauci Izraela z arabskimi, albo Niemiec, Polski i Izraela, nawiązują osobiste przyjaźnie, snują projekty, lecz ich realizację odkładają aż do odejścia starszego pokolenia, które żyje przeszłością. Dostrzegajmy ich wysiłki, zamiast je bezmyślnie ośmieszać.

Właśnie otrzymałam z Warszawy raport 30-tej Światowej Konferencji WAGGGS (World Association of Girl Guides and Girl Scouts) (400 osób ze 120 krajów), w której uczestniczyły trzy harcerki z przewodniczącą ZHP prof. dr Marią Hrabowską. Tematem obrad w lipcu w Dublinie było: Budowanie Światowego Obywatelstwa. ZHP w Polsce jest pełnym członkiem dawnych światowych skautowych struktur, których był współzałożycielem przed laty. ZHP poza granicami kraju, po 60 latach, słusznie chlubi się osiągnięciami, ale światowym skautingiem mało się interesuje. A prawnicowo-katolicki ZHR, który celebrytuje swe 10-lecie, uważa, że stare skautowe struktury odstąpiły od ideologii Baden-Powella i są zbyt liberalne. O przyszłości młodzieżowych organizacji niech decyduje pokolenie rodziców, nie dziadków, ale media niechaj pomagają tworzyć społeczny klimat, nie szczędząc ciętej satyry po rozpoznaniu sytuacji.

Ewa GIERAT

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Elżbieta R., Polska: – Najlepsze z nadesłanych utworów to „Wzrok i powietrze”, lecz i on jest przegadany. Pani poczucie humoru i autoironia zapowiadają jednak postępy.

Wojciech B., Polska: – Wiesze słabe. Nie skorzystamy.

E.B., Polska: – Kolejna porcja haiku nie nadaje się do druku.

Sebastian K., Polska: – Wszystko się Panu kojarzy ze wszystkim dość

swobodnie. Może dlatego trudno dociec, co oznacza „klejnot mój wewnętrzny”.

J.G., USA: – Opowiadanie „Dzika msza” bardzo słabe. A ponadto na bakier z faktami. Najpierw Miłosz dostał Nobla, a potem wprowadzono stan wojenny, a nie odwrotnie, jak Pan sugeruje.

Anna D-Sz., Polska: – Pani impresje poświęcone wierszom są zbyt powierzchowne, choć zapewne mogą spełniać rolę pożytecznych, popularnych pogadanek. Na druk jednak nie zasługują.

Bogdan L., Polska: – Pana wiersz o ożywczym wpływie słowa „kurwa” na zdolność porozumiewania się Polaków jest dowcipny, lecz to za mało, by go publikować w *Kulturze*. Pozostałe utwory nawet takim konceptem nie przekonują.

J.K., Polska: – Pana polemiki „Czy to taka ilustracja wieszczą” nie zamieścimy. Ta polemika nie trafia nam do przekonania.

Jarosław B., Polska: – Nie bardzo wiadomo, jak można „zagłębić się do środka siebie samego”, wielu woli „zagłębiać się w środku” – ale oczywiście Pana obowiązuje *licentia poetica*. Ma jednak i ona swoje granice, które przekracza Pan w opisie pytania, które „pociskiem uderzyło w uosobienie twórczości”.

Jacek G., Polska: – Prezentuje Pan skłonność do raczej źle rozumianej barokowej meandryczności, której wyrazem jest choćby wers mówiący o kruk, który „przydziobuje final fioletu nieba”. Warto czasem się uprościć.

Gabriela M., Polska: – Ma Pani łatwość oryginalnych skojarzeń – to cenne. Jeszcze bardziej jednak cenne byłoby poddać te skojarzenia intelektualnej dyscyplinie. Jak sobie Pani wyobraża „strzaskaną klawiaturę oczu”, po której ktoś w dodatku przebiega?

Julia W., Polska: – Niech Pani pisze dalej – warto. Dwa wiersze („Leżę sama, obserwuję...” oraz „Widzenie”) poświadczają talent. To miłe, że znalazła Pani adres *Kultury* i mogła wiersze przysłać. Pytaniem otwartym pozostaje kwestia następująca: czy zdoła Pani znaleźć samą *Kulturę*, by tę odpowiedź przeczytać? Jeśli tak, niech się pani odezwie ponownie.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{ème} trimestre 1999.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskiej obl.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1999			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541, Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (z Francji)
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROŚLAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 508 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: K. Pol: *Aleksander Lednicki (1866-1934)*; A. Grzywacz, M. Kwiecień: *Sikorszczycy kontra sanatorzy (ciąg dalszy)*; S. Mazurkiewicz: *Czy Radosław był postacią kontrowersyjną?* G. Wolfs: *Czy należało utworzyć Królestwo Polskie w listopadzie 1916 roku?* P. Wandycz: *Zagłada Drugiej Rzeczypospolitej 1945-1947*; P. Wandycz: *Na bezdrożach*; H. Szostakiewicz: *Wschodni sojusznicy Polski w wojnie 1920*; H. Szostakiewicz: *Obywatele ukraińscy w Polsce i w wojsku polskim*; J. Lewandowski: *Teczka Stalina*; J. Ciechanowski: *Powstanie warszawskie w oczach poety*; T. Wyrwa: *Profesor Henryk Batowski – nestor historyków polskich*; H. Kocój: *Bitwa pod Skoczowem*; A. Marton-Domeyko: *Prasa francuska o wżycie Piłsudskiego w Paryżu w 1921 r.*; J. i N. Dhombres: *Łazare Carnot w Polsce*; *Biuletyn Czeskiej Akademii Nauk* i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F